

ZBIGNIEW WRÓBLEWSKI

POD NAMIOTEM

Z GWIAZD

Opracowanie graficzne

Michał Bernaciak

Redaktor

Andrzej Bogusławski

Redaktor techniczny

Jadwiga Jegorow

Korektor

Zbigniew Żaroń

Copyright by Wydawnictwo Ministerstwa

Obrony Narodowej, Warszawa 1981

ISBN 83-11-06686-8

Z trudem rozprostował nogi, aż strzyknęło boleśnie w kolanach. Sięgnął po plecak. Jeszcze raz omiół wzrokiem towarowy wagon, który przez całe ubiegłe sześć lat był niemal jego drugim domem, poza naturalnie... innymi miejscami pobytu. Podszedł niechętnie do drzwi. W mroku zapadającej nocy żarzyły się żarówki rzucające nikły blask na wpół zburzony budynek stacyjny i mały peron, w tej chwili kłębiący się od ludzi. Stał niezdecydowany między torami.

Nie mógł jeszcze uwierzyć, że dobił do jakiegoś pierwszego celu swej podróży. Czyżby naprawdę stał w progu własnego domu? Podniósł oczy ku ciemnemu niebu usianemu rojem nikłych jeszcze gwiazd. Spoglądał w górę spod daszka miękkiej wojskowej połówki i smutny nieco uśmiech zadrgał w kącikach ust.

Po żwirze wysypanym między torami szedł ktoś w jego kierunku. Wysoki, szczupły, w wojskowej kurtce, w butach z cholewami. Nie spiesząc się przyłożył dwa palce do daszka. Spojrzał na naramienniki płaszcza Fabiana.

— Panie kapitanie, czas już. Za chwilę poprowadzimy wszystkich na kwaterę. Musimy iść razem, bo miasto nie jest zbyt spokojne.

Fabian w słabym blasku padającym od budynku stacyjnego widział przed sobą młodą twarz. Jedna gwiazdka na naramiennikach. Drogo cię musiała kosztować, pomyślał.

Odsalutował, podali sobie ręce.

— Podporucznik Ignacy Wyrwa.

— Rotmistrz Fabian Baranowicz.

— Z którego obozu jeńców?

— Ostatnio Oflag VII B, Murnau.

— Sześć lat?

Fabian bez słowa skinął głową. Dochodzili do budynku stacyjnego. Podporucznik przeprosił i już za chwilę w tłumie rozlegał się jego donośny, stanowczy głos. Dobry jest, pomyślał z uznaniem Fabian, rasowy chłopak. Ma jeszcze front we krwi.

Gdy weszli w szeroką ulicę między ruiny domów, ustawiony w kolumnę

tłum uciszył się. Gdźieniegdzie stały jeszcze wypalone, niewielkie kamieniczki. Żołnierze pocieszali człapiących ludzi, że przygotowana kwatera jest niedaleko.

— Nasza markietanka — dodał idący obok Fabiana nowo poznany oficer — czeka z gorącą zupą. Kazała ugotować grochówkę. Z łątą!

Fabian wzruszył ramionami.

— Nawet jeść się nie chce.

Ignaca przeszedł jakby zimny dreszcz. Widział wtuloną w ramiona głowę starszego wiekiem oficera o przygarbionych plecach, z trudem człapiącego w butach z cholewami. Sześć lat... Czy i ja bym tak wyglądał? Cholera!

W drzwiach oświetlonej sali ponurego budynku stała wysoka, mocno zbudowana dziewczyna w białym fartuchu, z opaską Czerwonego Krzyża na ramieniu. Oczekiwała niczym gospodyni przybyłych gości.

— Obywatelu poruczniku, ile osób?

— Według otrzymanego wykazu ponad trzysta.

— Dokładnie trzysta dwadzieścia dwie. W tym jeden były jeniec.

Ignac niechętnie spojrzał na wysokiego, o szczupłej sylwetce, mężczyznę. Już na stacji wydał mu się nieco przemądrzały i arogancki ten typ o urodzie filmowego amanta. Tytułowano go „prezesem”, a był kierownikiem transportu. Poprawił więc:

— W tym jeden polski oficer w stopniu rotmistrza, panie prezesie.

Ance, owej markietance, jak zwali ją żołnierze, a właściwie sanitariuszce w punkcie repatriacyjnym, zaśmiały się oczy. Znała zbyt dobrze porucznika, a właściwie, co tu ukrywać, po prostu Ignaca. Byli ze sobą po imieniu.

— Kapralu — zwrócił się do niej oficjalnie — po kolacji biorę rotmistrza do siebie na kwaterę.

— Tak jest.

Baranowicz mimowolnie uśmiechnął się widząc, jak dziewczyna prowadzi wzrokiem wysoką postać porucznika, górującą nad tłumem przybyłych. Wtedy na moment skrzyżowały się ich spojrzenia w nagłym porozumieniu.

— Proszą do stołu, obywatelu rotmistrzu — zawołała wesóło. — Inaczej się myśli i co innego widzi po dobrej grochówce.

I. FABIAN

— Panowie oficerowie — kapitan Baranowicz zwrócił się do czterech młodych oficerów zebranych w jego pokoju. — Meldunki wskazują na możliwość zagrożenia naszego odcinka granicznego, kto wie, czy nie w najbliższym czasie.

Siedzący obok komendanta jego zastępca, porucznik Klimek, niecierpliwie się poruszył. Spojrzał z ukosa na kapitana Baranowicza. Ruch ten nie uszedł uwadze Ignaca wprawiając go w rozbawienie. Znał zbyt dobrze Fabiana i jego półwieczne niemal nabytki przyjętych dawnych form obowiązujących w wojsku. Owo „panowie oficerowie” brzmiało w jego ustach naturalnie i w tym odezwaniu czuć było starego dowódcę. Młody Klimek obruszał się na te relikty, jak to określał, dawnej dyscypliny.

Zebrani w pokoju komendanta odcinka dowódcy strażnic granicznych zgadzali się z jego oceną sytuacji. Nigdy tu, zarówno przed powołaniem Wojsk Ochrony Pogranicza, jak i teraz, nie było spokojnie i wieczorem nie chodziło się bez broni. Jednak ostatnio było coraz więcej napadów bandyckich, widywano podejrzanych osobników, notowano przypadki przerwania granicy bez uchwycenia sprawców. Jak gdyby ktoś przygotowywał większą akcję dywersyjną. Porucznik Ziombik utrzymujący styk z południowym odcinkiem granicznym miał natomiast przypadki dziwnego przemytu. Dwukrotnie schwytano osobników z częściami do aparatury nadawczo-odbiorczej.

— Obywatel kapitan wie najlepiej, że niewiele mogli powiedzieć. Ktoś ich zgładził przed przesłuchaniem.

— Aresztowani zostali pełniący wówczas służbę. Nitka się jednak urwała — przyznał Baranowicz.

— Pożar młyna w Żabińcu — przypomniał porucznik Obolski, dowódca strażnicy, sąsiad z prawej Ignaca — jak ustaliło dochodzenie, wcale nie wynikał z wadliwej instalacji elektrycznej. Wyraźne podpalenie. Ledwie z

życiem uszedł kapral z dywizjonu artylerii, gospodarzący tam z żoną i dziećmi. A zniszczenie maszyn w państwowym gospodarstwie, które uruchomił niegdyś obywatel kapitan? Połamali siewnik, młockarnie.

— A to przerwanie u mnie? — wtrącił porucznik Iwicki, sąsiad Ignaca z lewej strony. — Przez tę cholerną mgłę, przy spadku wód na Nysie przeszli jak duchy i to w kilku ludzi.

— Przekazano nam sygnały o jakimś Rudim, imię to, czy pseudonim, diabli wiedzą. Gadano o nim po różnych spelunkach, czekają na jego przybycie na ten teren.

Baranowicz obrócił się do Klimka.

— Niemcy?

— Handlarze, szabrownicy i tacy różni, niby Polacy, ale wolałbym ich tu nie spotkać po nocy, po prostu bandziory.

Kapitan powstał, a za nim inni.

— Zaraz przekażę meldunek sytuacyjny do komendanta oddziału, a dowódcy strażnic wzmocnią czujność, nadzór i obserwację własnymi siłami. Niech osadnicy wojskowi mają bardziej otwarte oczy, a w nocy... dobrze zamknięte drzwi.

— Oni nie tacy strachliwi — bąknął Obolski. — U każdego prawie zresztą znajdzie się jakaś pukawka.

— Mimo nakazu zdania broni?

Obolski spojrzał ironicznie na Klimka.

— Czy ja coś powiedziałem? Mówiłem o pukawkach, nie o broni.

Ignac parsknął śmiechem zamykając za sobą drzwi.

Stojąc przed komendą odcinka WOP dowódcy strażnic chwilę jeszcze rozmawiali. W drzwiach budynku ukazał się kapitan Baranowicz.

— Bardzo wam pilno do domu, obywatelu poruczniku? — Ignac zaprzeczył. — Chciałem z wami kilka słów zamienić. Przejdziemy się, pogoda ładna.

Ignac szedł w milczeniu ulicą obok Baranowicza. Zaprzyjaźnili się od tamtego czasu, gdy młody podporucznik podszedł na stacji kolejowej do byłego jeńca. Obecnie, mimo różnicy wieku, na wyraźne żądanie kapitana

byli ze sobą prywatnie po imieniu. Ignac zerkał spod oka na zasepioną twarz Fabiana. Przypuszczał, że chce z siebie zrzucić troskę, którą skrywał przed innymi, o los żony. Zagadnął go wprost:

— Nie miałeś żadnej wiadomości o pani Anastazji?

Fabian jakby przebudził się ze snu.

— A... o Anastazji mówisz. Nie, mimo że ciągle nudzę Czerwony Krzyż w Warszawie i we Wrocławiu, i w Katowicach. Radzą mi nawet pisać do Genewy, ale czy w tym bałaganie dojdzie list? Jedna drobna, ludzka sprawa.

— No, nie przesadzaj. Najbliższa osoba to nie drobna sprawa.

— Masz rację, nie błaża... dla mnie.

Ignac w jego głosie wychwycił ton rozgoryczenia.

— Nie martw się. Wszyscy chcieliby doczekać powrotu Anastazji, a wiesz, że masz bardzo wielu przyjaciół. Rozpędzono nas na cztery strony świata i zanim się pozbieramy, sporo upłynie czasu. Słyszysz stale przez radio komunikaty o poszukiwaniu rodzin. Tak, należy szukać i...

— Czekać?

— Nie, wierzyć.

Szli chwilę nie rozmawiając ze sobą. Fabian przystanął, sięgnął do kieszeni, szukał.

— Daj papierosa, swoje zostawiłem na stole.

Zapalili. Kapitan zamyślony zaciągnął się dymem.

— Ja nie o sobie chciałem pogadać — przerwał milczące palenie. — Coś zaczyna śmierdzieć na naszym terenie. Wiesz dobrze, że powrócił mi stary węch pogranicznika.

— Są może informacje, o których nawet na odprawie nie mówiłeś?

Wzruszył ramionami. Przed dowódcami strażnic nic nigdy nie ukrywa. Na pewno hitlerowcy pozostawili zamrożonych agentów i czekają na stosowną chwilę. W maju 1945 rozbity został Wehrmacht, aparat wojskowy hitlerowskiej Rzeszy, ale chyba nie służby tajne. Tak sądził Fabian. Było tego dużo, z Abwehry i z SS czy SD. Nie przypuszczał, by stali się mieszczuchami, pootwierali sklepy, sklepiki lub przedsiębiorstwa przewozowe. Nie mówił na odprawie, bo to domysły, nic pewnego, ale jednak ktoś grozi osadnikom. W

ostatnim czasie zdarzały się przypadki porzucania gospodarstw z dnia na dzień i wyjazdu całymi rodzinami do centralnej Polski. Ktoś powie — nie wrośli, nie mogą się przyzwycząć. A jeżeli jest inna przyczyna? Zna trzy przypadki wyjazdu nawet osadników wojskowych. Można w lesie — tłumaczył Ignacowi — nie dojrzeć kuny lub wilka, ale widzisz ruch zwierząt. Nie poczujesz jeszcze spalenizny, a zwierzęta i ptactwo już stają się niespokojne, instynktem odgadując ledwo pełzający ogień po leśnym poszyciu. Kapitan właśnie dostrzegał niemal niezauważalny niepokój w okolicy, który łączył z konkretnymi faktami podawanymi w meldunkach ze strażnic, milicji i służb informacyjnych.

— Myślą też o twoim miasteczku, a właściwie o naszym wspólnym miasteczku. Jestem przecież jego obywatelem według burmistrza.

— I nie tylko, masz tam przyjaciół — odparł Ignac.

— Dlatego jeszcze bardziej biorą mnie diabli, gdyby im miała się stać krzywda. Tym wszystkim, Ince z jej dwiema nauczycielkami i pełną dzieciarni szkołą, szewcowi z miasta Łodzi, Grzegorzowi, który nie przeżyłby zniszczenia jego biblioteki... Czy nigdy już pod tym niebem nie zaznają spokoju?

Ignac wiedział już, że w Fabianie narasta pasja. Nigdy dawniej nie posądziłby „litewskiego niedźwiedzia”, jak go nieraz nazywała Anka, o zdolność do podobnych emocji.

— Nadepnęli ci prywatnie na odcisk? — zagadnął.

— Żebyś wiedział. O ile ten „Rudi” to nie jakieś hasło, ale konkretny, żywy bandzior, to, jakem człowiek łagodnego serca, długo wolny nie będzie, on i jego kamraty. I wiesz co? — zatrzymał się przed Ignacem zniżając głos.

— Nie on zacznie, my go wywabimy z legowiska. Tak zawsze w naszych stronach myśliwi robili.

Podali sobie ręce, a Fabian na pożegnanie ostrzegł przyjaciela:

— Uważaj dobrze na swój teren, węż jak chart, a szczególnie w mieście. Przyjadę i ja do was. Myślę, że tam trzeba zacząć wiatr w nos łapać.

Odwrócił się na pięcie i odszedł długim sprężystym krokiem.

Nie protestował, gdy wtedy, w dniu przybycia transportu, po kolacji w

punkcie przyjęcia repatriantów, Ignac zaprowadził go na własną kwaterę w pobliżu rozlokowanego, dowodzonego przez siebie oddziału i rozlał do kubków jakąś podejrzanie pachnącą ciecz.

— Zdrowie, rotmistrzu. Za powrót z niewoli!

— Nie piłem przez pięć lat. — Ostrożnie powąchał ciecz. — Samogon?

— Po wojennemu bimber. Pan może nie pijał czegoś takiego?

Baranowicz zaprzeczył.

— Pijał, pijał, jeszcze bardziej zalatujące smorodínówki, a zdrowiu nie szkodziło. Co prawda była na czarnej porzeczce, lekarska.

Mówił miękkim, śpiewnym akcentem. Pociągnęli tęgi łyk jeden i drugi. Baranowicz otarł usta wierzchem dłoni.

— Mocne.

— Rotmistrz z rezerwy?

Pokręcił przecząco głową i jakby ociągając się odpowiedział z namysłem:

— Znad granicy. — Obawiał się, że młody oficer nie bardzo go rozumie, dawne dla tamtego lata, dzieciakiem był, więc dodał wyjaśniająco: — Służyłem w Korpusie Ochrony Pogranicza... Namyslałem się nawet, czy wrócić do kraju, pan rozumie, poruczniku, pełniliśmy straż na wschodniej granicy Rzeczypospolitej.

Ignac wzruszył obojętnie ramionami. Nie bardzo pojmował te oględne słowa kapitana. Dlaczego takie obawy? Służba to służba. Może równie dobrze wstąpić od razu do wojska albo zostanie zdemobilizowany. Jest specjalistą. Zna się na służbie granicznej. Baranowicz jednak przecząco pokręcił głową.

Od chwili założenia munduru Legionów, a musiał zataić swój szczeniący wiek, nie zdjął go do tej pory. Zmieniał tylko rodzaje broni, barwy pułkowe, aż trafił wreszcie do służby granicznej. Ignac słuchał z zainteresowaniem.

— Nie bardzo rozumiem, w jaki sposób w takim razie znalazł się pan w Niemczech?

Podał mu papierosa, ale kapitan wyciągnął drewniane, inkrustowane pudełeczko.

— Może mojego? Do wyboru, z paczek Czerwonego Krzyża. Są gauloisy, nationale, camele. Po tych ostatnich w niewoli kręciło nam się trochę w

głowie. Podobno są opiumowane.

Ignac zaciągnął się i z uznaniem pokręcił głową.

— Niezłe.

Baranowicz powrócił do pytania młodego oficera.

— W czasie przygotowania do działań obronnych w 1939 roku na granicy wschód niej złuzowały nas młodsze roczniki. Stare, doborowe pułki kawalerii KOP-u zostały przerzucone na granicę zachodnią. Nasz pułk przydzielono do dziesiątej dywizji piechoty w Armii „Łódź”, na odcinku Wieruszów, Kępno, Ostrzeszów.

— A Straż Graniczna?

— Pełniła służbę na granicy zachodniej. To nie było wojsko. Naturalnie dawni wojskowi, ale stopnie służbowe mieli na wzór policyjnych: inspektor, starszy inspektor. Zeszli z posterunków na naszym odcinku zgodnie z rozkazem w chwili przejścia o godzinie czwartej nad ranem wojsk niemieckich przez granicę polską i wycofali się na tyły.

Ignac podparł brodę na pięściach z ciekawością słuchając opowiadania Baranowicza. Dla niego to była już tylko historia. Ilekroć spotkał żołnierza z innego frontu, zawsze chłonał nowe dla siebie wiadomości. Był smarkaczem, gdy wybuchła wojna, a niedorostkiem jeszcze w 1943 roku podczas przeprowadzki w Warszawie do nowego mieszkania w kamienicy przy ulicy Leszno. Przez mgłę pamiętał wydarzenia w czasie oblężenia Warszawy w 1939 roku. Jego wojna zaczęła się niepoważnie od kiwania okupantów podczas zarabiania na rikszy, jakimiś dziecięcymi sprawami na Lesznie. Ulka, lady z trzepaka, pamięta ją dobrze, a z czasem... Z czasem niepoważne sprawy zaczęły się zagęszczać, nabierać coraz większego znaczenia. Jakbyś ruszył karuzelę dla zabawy, a ona porwała cię w biegu coraz szybszym i gdybyś nawet chciał wysiąść, bo zbiera cię na mdłości, to nie wysiądziesz...

Pomagał trochę znajomym chłopakom z konspiracji, później sam został żołnierzem, trafił do AL, aż... wybuchło Powstanie. Właściwie ta jego wojenna droga była krótka. Co to znaczy odległość z Woli na Stare Miasto, niezbyt długi kanał, Śródmieście i Czerniaków; dwie godziny i już jesteś nad Wisłą. A to trwało blisko sześćdziesiąt dni. Pamięta do dziś, i trudno się dziwić jego

wodowstrętowi, skoro ma w swojej karierze wyczyn pływacki przez szerokość Wisły na Pragę. Dziwnie plotą się losy ludzi. Ignac też nie uwierzyłby, że zrzucony w grupie dywersyjno-desantowej na dalekie zaplecze frontu, w Bory Tucholskie, odnajdzie ślad Ulki i chłopców z Leszna, a jednak znalazł. Później znów się pogubili, a Ignac, już jako żołnierz regularnej armii, powrócił nad Nysę. Postawili go tu, a on niby w drzwiach stoi i przyjmuje powracających. I każdy przynosi ze sobą, jak ten Baranowicz, własne wspomnienia, jakby Ignac czytał stale nową książkę. Uczył się tak bardzo bliskiej, a jednak już historii.

Rotmistrz został ranny w drugim tygodniu kampanii wrześniowej. Pocisk nie uszkodził kości przedramienia, przeszedł przez mięśnie, ale wtedy kontuzjowanego zdmuchnęło z konia, co na pewno uratowało mu życie, bo reszta serii poszła nad nim. Wylądował w cywilnym szpitaliku. Podleczonego zabrano do niewoli...

— Ot i wszystko. Wojna skończyła się dla mnie. Dziewięć dni i po wojnie.

Ignac zamyślił się. Dziewięć dni i po wojnie. Widział skulonych na bruku na Woli, wtedy na Młynarskiej, dla których wojna trwała jedną godzinę. Inni, człapiąc buciorami po błocie, w kurzu wielu pokręconych dróg, przemierzali niemal całą Europę, by jednak dojść, po sześciu latach, pod sam Berlin.

Baranowicz poczęstowany porcją opowieści Ignaca, słuchał równie spragniony wieści z tych ostatnich dni, gdy zamykano w maju rachunki rozpoczęte we wrześniu.

Wreszcie, obaj zmęczeni, za oknami świtało, umilkli. W zardzewiałym pudełku po konserwach urosła sterta niedopałków. Mimo otwartego okna unosił się w pokoju dym wielu wypalonych papierosów. Pierwszy przerwał ciszę świtu Ignac wstając i rozprostowując kości.

— Jeżeli nie chce pan zostać w wojsku, to co pan będzie robić? Myślał pan o tym?

Za oknami zadzwoniły po bruku kroki żołnierskie w podkutych butach i oddaliły się niespiesznie. Szczekał gdzieś z zawziętością pies, jakby obcemu bronił wstępu do domu.

Kapitan podniósł twarz na młodego oficera i nagle rozjaśniły mu się

oczy. Gospodarować, pracować na ziemi! Tak, odpowiadał zdumionemu rozmówcy z żywością. Ziemia! Przez blisko sześć lat chodził w kółko po apelowym placu. Nawet nie druty tamowały swobodę oddechu, tylko świadomość zamknięcia i szary żwir na placu, i bruk, po którym miarowym, wolnym krokiem — bo pośpiech był wrogiem zamkniętego człowieka — krążyło się bez celu. Od apelu rannego do obiadu, od obiadu do godziny policyjnej i do zamknięcia drzwi bloków. Zawsze idąc wokół wlokło się za sobą nogi patrząc na te same baraki czy bloki, ten sam bruk pod stopami, te same twarze współtowarzyszy bractwa złamanej szpady. Tylko natura była dla nich łaskawa. Jedna tylko natura, bo przynosiła odmianę.

Wiosna dawała znać o sobie ciepłym wiatrem. Poddawali twarze pod podmuch tego wiatru, zachłannie chwyтали go w nozdrza. Wiosna idzie! A z tym wiatrem słońce, inne niż w zimie. Nawet tamto u podnóża Alp, w Bawarii, zimowe słońce opalające w południe na brąz, było tylko zimowym słońcem. Wiosenne świeciło i grzało inaczej. Tłumy mężczyzn zbite w milczące gromady stawały na wózkach gospodarczych, na stertach kamieni, w oknach szpitala, które wychodziły na drogę, by spoglądać na drzewa, na pola orne, na pastwiska. Ożywiali się, gdy któryś z nich dostrzegł źdźbło trawy na polu, tuż za szosą. Wiosna! A później każdego dnia, nie, niemal w każdej godzinie znajdowali odmianę w drzewach. Już nie ledwie uchylone pęknięcia pączków, lecz drobne, delikatnie zielone listeczki.

Fabian urzeczony wpatrywał się w brązowo-czarne orne pola. Gdyby tak móc zagłębić w tę ziemię dłonie, grzebać w niej palcami, wchłaniać jej zapach.

Mówił o tym wszystkim Ignacowi w następnym wieczór, gdy znów zasiedli po kolacji, a porucznik powrócił do pokoju po odprawieniu służby. Mówił to, o czym myślał przez bezsenną noc po pierwszej rozmowie.

Przeszło piętnaście lat służył w jednostkach granicznych. Zaraz po wstąpieniu do służby tuż przy strażnicy miał niewielkie poletko i wraz z Anastazją sadił tam warzywa, czyścił grządki wrywając chwasty, hodował kwiaty. Nie wyręczał się nigdy nikim. Sam nosił wielkie konwie nabranej z beczek deszczówki, a zbliżając się ku Anastazji prawie by śpiewał głośno na

widok jej zarumienionych od słońca i wysiłku policzków, na które spadały kosmyki kruczych włosów.

A zapach stajni... Właśnie wiosna napierała na niego wspomnieniami, gdy okrążał nieodmiennie apelowy plac, gdy leżał na pryczy.

Z marzeń sennych przebudził Fabiana rozkaz. Był starym zdyscyplinowanym żołnierzem, więc bez słowa przyjął polecenie włączenia się do konspiracyjnej organizacji obozowej. Traktował ten rozkaz jak przydział do nowej jednostki wojskowej. Nie wiedział naturalnie o zorganizowaniu szerokiej siatki wywiadowczej działającej daleko za obozem, sięgającej do kraju, nie śmiał wiedzieć o pracującej radiostacji. Byli zresztą znacznie młodszy od niego oficerowie nadający się do oddziału bezpieczeństwa, który przygotowywał obronę na wypadek likwidacji obozu.

Organizowanie wśród oficerów zbiórki odzieży dla przymusowych robotników polskich pracujących w pobliżu obozu i przerzucanie jej poza druty w sposób nielegalny, a niezwykle przemyślny, odpowiadało naturze Fabiana. Niemal w sposób realny, rzeczywisty wychodził wyobraźnią wraz z paczkami poza kamienną wyspę. Mógł w dalszym ciągu marzyć, że oto te kostiumy damskie uszyte w pracowni teatralnej przez oficerów-jeńców trafią do rąk zabiedzonych kobiet czy dziewcząt, wywołają na ich umęczonych twarzach uśmiech, sprawią radość, jaką nie spełnił żaden w życiu zakup dokonany przed wojną w najbardziej renomowanej firmie w Warszawie. Paczka ciepłej bielizny może uratować życie niejednemu chłopcu wziętemu w lecie w łapance w samej tylko koszuli. Spoglądając zza drutów na pole widział niemal te dziewczęta i tych chłopców pracujących przy krowach, w chlewniach i na pewno przy koniach. Łapał w nozdrza zapach stajni.

Przez wiele lat sprytnie obmyślane kanały przerzutowe za obóz działały sprawnie. Tam oczekiwali łącznicy, którzy z rąk do rąk oddawali przesyłki trafiające do właściwych ludzi naprawdę potrzebujących. Nigdy nie zdarzały się przypadki kradzieży. Potwierdzały to listy powracające do obozu. Oni byli szczególnie uczuleni na uczciwe traktowanie spraw ludzkich. Zbyt drogie były te dary. Jeniec zdejmował z siebie niemal ostatnią koszulę czy skarpety, dawał na święta słodycze z miesięcznej paczki Międzynarodowego

Czerwonego Krzyża. Rozdział musiał więc być sprawiedliwy, o co szczególnie dbali oficerowie z organizacji konspiracyjnej obozu. Fabian między deszczułkami przytrzymującymi siennik jego pryczy chował spis nazwisk i miejsce pracy robotników polskich, którzy potrzebowali natychmiastowej pomocy. Potrafił być twardy w ustalaniu kolejności przekazów. Skoro wyznaczono go do tej służby, wykonywał ją rzetelnie.

Uchyłał się jednak od rozmów, których wiecznym tematem był termin zakończenia wojny i jej skutki. „Jop” — jeden oficer powiedział — nie interesował Fabiana. Nie potrafił wróżyć z fusów. Chętnie chwycił komunikaty radiowe wydawane przez organizację, by mieć bieżące wieści o rozwoju sytuacji, ale nie wpadał w rozpacz, gdy dowiedział się o klęskach. Nie dopuszczał nigdy myśli, że mogą zwyciężyć Niemcy. Jego głębokie przekonanie wynikało nie z wiedzy o strategii i taktyce, ale z wiary w porządek świata. Życie nie może ulec śmierci, byłoby to przeciwne prawom natury. W zimie pozornie ginie wszystko na ziemi, ale odradza się wiosną. Nie mogli zwyciężyć ci, którzy chcieli zburzyć i wypalić świat. Fabian dlatego był spokojny o przyszłość, nie poddawał się nastrojowi.

I okazało się, że zakończenie wojny w owym maju nie mogło być inne. Zwyciężyła sprawiedliwość ludzka, choć wyszła z tego zwycięstwa pokiereszowana i okulała.

Był wreszcie wolny. Miał prawo decydować sam o sobie. Musiał przewidywać wszystkie warianty tego, co może nastąpić za chwilę, za godzinę, jutro. Niewielki wzrostem generał z uwagą, upartymi oczami spoglądał na niego spod siwych brwi, gdy zameldował swój powrót do kraju. Generał był zbyt mądrym człowiekiem, by dawać rozkazy wywołujące moralne rozdarcie podkomendnych. Niektórzy koledzy z oflagu z niemym zdziwieniem śledzili wzrokiem pochyloną sylwetkę Fabiana, gdy już w połowie maja wychodził przez bramę obozu. Na plecach kurtki nie miał nawet śladu po literach „KG”, którymi Niemcy znaczyli niby własne krowy jeńców wojennych. I był to jego pierwszy samodzielny krok po sześciu latach.

Długo rozważał, zanim się zdecydował. Słuchał polskich audycji z Londynu, łapał również i stację w Warszawie. Wiedział o utworzeniu w kraju

Krajowej Rady Narodowej, o postanowieniach z Jałty. Nie powróci już w swoje rodzinne strony, jednak do kraju, a tam gdzieś żyje i czeka na niego Anastazja. Wychodził więc z pragnieniami realnymi odnalezienia żony i zdobycia kawałka własnego poletka. Uczepi się tej ziemi, która śniła mu się nocami, i zacznie wszystko na nowo, jak poborowy, który powraca do cywila. Temu chłopcu w wojskowym mundurze, który gościnnie przyjął go na kwaterę, powiedział prawdę. Ziemia. Tylko ona miała dla niego teraz sens. Narzucała mu sama, w sposób nieodwołalny, program działań na każdy dzień, na każdą porę roku.

Ignac nie był jednak przekonany. Pochodził z Warszawy i nie znał takich tęsknot. Rozumował praktycznie.

— Tu na zachodzie ziemi do cholery i trochę, aby chętne ręce się znalazły. Gospodarstwa czekają, ale na chłopów, na urodzonych rolników. Pan, rotmistrzu...

Uśmiech przygał w oczach Baranowicza. Mężczyzna jakby wypuścił z siebie energię, zgarbił się za tym stołem. Ignac pożałował swoich słów, bo odczuwał coraz większą sympatię do starego oficera. Chciał go odzyskać dla wojska. Tu był potrzebny.

— Mnie nie dadzą ziemi?

— Ależ nie, może pan dostać tyle, ile przysługuje każdemu zdemobilizowanemu żołnierzowi, od dziesięciu do piętnastu hektarów. Krowę i konia też dla pana znajdziemy.

W oczach tamtego pojawiło się natychmiast zainteresowanie.

— Może to być?

— Jak tu żywy jeszcze przed panem stoję.

Ignac dotrzymał słowa. Po paru dniach zaprosił go na przejażdżkę po powiecie. Zapewne musiał rozmawiać przedtem z sierżantem Andrzejem Krasickim, który pełnił w mieście tymczasowo funkcję burmistrza i delegata Państwowego Urzędu Ziemskiego czy też Wydziału Repatriacji i Osadnictwa. W czasach tych niemal z tygodnia na tydzień zmieniały się urzędy, a właściwie ich nazwy. Pan burmistrz, mężczyzna krępy, rumiany na twarzy i zawsze pogodny, wylewnie witał kapitana.

— Słyszałem, słyszałem, poradziłem porucznikowi, gdzie ma pana zawieźć. Krajanie zawsze przyjdą sobie z pomocą.

Widząc zdumienie Baranowicza roześmiał się głośno.

— Rotmistrz zza Lidy, a ja spod Stryja, słowem krajanie, choć od siebie dość daleko mieszkali.

Nie omieszkał przy okazji spotkania Ignaca załatwić interesu, jako że burmistrz urzędował nie tylko w budynku ratusza, ale w przejściu na ulicy, w stołówce, czy o nieprawdopodobnych porach we własnym mieszkaniu.

— Samochodzik porucznik na chwilę pożyczysz?

Ignac przymrużył Oko.

— Na chwilę?

— No, niedaleko musimy pojechać, tylko do Wrocławia.

Wybuchnęli śmiechem. Taki już był tutejszy burmistrz, z wojska — podoficer ewidencyjny, a w cywilu sekretarz gminy spod Stryja. Gładko, z uśmiechem, a i z Cygana wydusiłby złotówkę, gdyby potrzebna była dla innych.

— Pożyczyć zawsze burmistrzowi mogę, choć ten rozklekotany zis już ledwie zipie, ale miałem z rotmistrzem jechać obejrzeć te gospodarstwa.

— Serce moje — zdumiał się burmistrz — tym gratem, a nie konno? I ruch dobrze zrobi krajanowi, i powietrze inne.

— Daleko, a rotmistrz wierzchem dawno nie jeździł.

Twarz Baranowicza rozpromieniła się szerokim uśmiechem.

— Poruczniku, jeżeli tylko macie konia...

Oddział dowodzony przez Ignaca kwaterował w ocalałym budynku dawnej policji niemieckiej. W bramie natknęli się na kaprała w spódnicy, czyli dziewczynę, którą Baranowicz ujrzał po raz pierwszy w fartuchu pielęgniarskim na kwaterze dla repatriantów. Pęk jasnych włosów ledwie mieściła pod czapką, kurtka jeszcze bardziej uwydatniała postać dobrze rozwiniętej dziewczyny-żołnierza, spódnica do pół łydki, nieco zbyt szeroka, zapewne fasowana na oko podoficera mundurowego i te okropne grube buty, pomyślał z pewną przykrością Fabian. Przypuszczał, że miała ładne nogi, ale kto je teraz dojrzy. Przytknęła dwa palce do daszka.

— Obywatelu poruczniku, rano powinien odejść transport repatriantów z Niemiec w rejon Jeleniej Góry, a kolejarze mówią, że nie zbiorą zestawu wagonów. Nie wywozę ich na furmankach, ani nie wyniosę na plecach.

— Kiedy spodziewasz się następnego transportu z Niemiec?

— Za dwa dni.

— Zaczekaj — przeszedł na ty — pogadam jednak z Mularczykiem. Niech zawiadowca stacji ruszy głową. Jakąś radę musi znaleźć.

— Pójdę z tobą.

— My jedziemy konno z rotmistrzem na wieś. Po drodze wstąpimy na stację.

— Nie znajdziesz dla mnie żadnego wałacha?

Dziwne to wojsko, myślał Baranowicz przyglądając się Ance. Kobiety dawniej w wojsku nie służyły. Czuł wobec niej skrępowanie. Gdy przychodził na obiady do punktu repatriacyjnego, witała go zawsze serdecznie, jednak pod jej żartobliwym spojrzeniem dużych, jasnych oczu jąkał się, zachowywał niezręcznie, mrukliwie. To te blisko sześć lat przypominało o sobie w różnych sytuacjach. Po prostu nie bardzo potrafił rozmawiać z kobietami, płoszył się. Anka intuicyjnie wiedząc o tym nigdy nie minęła go ani na stołówce, ani na ulicy, by nie zagadnąć, rzucić jakiś żart, spojrzeć w oczy spod przymrużonych powiek. Jakby chciała powiedzieć: „Zbudź się wreszcie, chłopie!” Fabian czerwienił się niczym młoda dziewczyna i po prostu... uciekał.

Szli teraz w stronę stajni. Szeregowiec Józek Kurak, starszy mężczyzna z obwisłym wąsem, pełniący funkcję przy koniach, namyślał się, którego dać temu zapewne starszemu wiekiem rotmistrzowi. Fabian obejrzał pięć stojących w stajni i zdecydowanie podszedł do siwka o czarnej plamie biegnącej od grzywy do nozdrzy. Gdy wchodzili, koń zwrócił ku nim łeb wyginając lśniąca, płaską szyję w piękną linię i błysnął jednym okiem niby zastanawiając się, czy przyszedł tu odważny, by go dosiąść.

— Ta, rotmistrzu, niech obywatel rotmistrz nie bierze tego diabła prosto z piekła rodem.

Fabian pogłaskał końską szyję czując pod dłonią przebiegające drżenia przez skórę. Wierzchowiec poruszał nogami niby przygotowując się do biegu

lub tańca.

— Spróbujemy.

Ignac, Anka i Józek z ciekawością spoglądali, jak Fabian spokojnym krokiem podchodzi do okulbaczonego „diabła”. Koń próbował szparnąć do góry łeb złym okiem spoglądając na obcego jeźdźca. Niespokojnie przebierał tylnymi kopytami, przysiadał na zadzie. Baranowicz mocno uchwycił cugle i lekko skoczył w siodło. Skry szły spod kopyt po bruku podwórza. Słysząc było dźwięczenie podków i nagłe parsknięcia, później coraz cięższy oddech.

— Na koniach to on się zna.

Ignac odwrócił twarz w stronę Anki z kpiącym uśmiechem w kącikach warg.

— Powiedziałaś to z żalem?

Wzruszyła niecierpliwie ramionami i podsadzona przez Józka furknęła na wietrze spódnicą. Dosiadła poczciwej kasztanki, która według szeregowca, doskonałego znawcy koni, ciągnęła chyba niegdyś karawan, bo zawsze szła z opuszczonym łbem.

Z pomocą Anki, wcale nie takiej bezradnej przy przekonywaniu opornych, Ignac załatwił wagony z Mularczykiem, zawiadowcą stacji. Tamten dzwonił gdzieś, krzyczał w słuchawkę telefoniczną, aż słysząc go było na końcu peronu, mówił, że ma w sobie wymierzone dwa pistolety maszynowe, na co Anka promiennie się uśmiechnęła wlepiając w niego oczy, aż wreszcie ustalił, że otrzyma osiem wagonów towarowych, sam ma trzy, więc zestawi transport. Wtedy usłyszał, że jest najmilszym poznaniakiem, jakiego ona widziała w życiu i nigdy mu tego nie zapomni.

— Do następnego razu — bąknął zawiadowca ocierając pot z czoła.

Miał podkrążone oczy, zaczerwienione białka i opuchłe powieki. Ich szczupła poznańska ekipa kolejarska przybyła nad Nysę już w maju, tuż za wojskiem polskim, i pracowała niemal bez snu, by przyjmować stale przybywające nowe transporty z powracającymi z Niemiec, organizować składy na przetrzymanie tłumów ludzi po całej Polsce, dawać drogę kursującym transportom wojskowym. Nieraz młody podporucznik z grupy operacyjnej, przysłanej tu przez 7 dywizję piechoty, dawał mu do pomocy

żołnierzy i dlatego też trudno było odmówić mu teraz, gdy sam znalazł się w kłopotliwej sytuacji. Zresztą Mularczyk, doświadczony kolejarz, rozumiał, że sytuacja jest wyjątkowa i musi obronić honor poznański zaprowadzając ład, porządek i sprawną organizację mimo tymczasowej wielkiej improwizacji.

Po wydostaniu się z miasta jechali stępą. Baranowicz ciekawie rozglądał się po okolicy. Od przybycia na ten teren nie widział nic poza w dużym stopniu zniszczonym miasteczkiem, co wprowadzało go zawsze w stan przygnębienia. Anka nie miała jednak racji, że nie wychylał nosa z kwatery Ignaca. Poznał mężczyznę, który go zainteresował, wabił nieco dziwną filozofią i wdziękiem erudyty o dużej kulturze. Grzegorz jednak nie pomagał mu wyjść z krążenia po kamiennym deptaku oflagu, pozwalał jedynie na rozwinięcie tych wątków myśli Fabiana, które snuł przez owe sześć lat.

Dopiero teraz, mając pod sobą konia, wchłaniając zapach sosnowego lasu poczuł, że zaczyna stawać się w nim jakaś niepojęta odmiana, jakby na nowo ujrzął świat, oddychał inaczej.

Nie był to las ciemny, jaki rósł w jego stronach, gęsto podszyty. Liche, karłowate sosny ledwo trzymały się z wysiłkiem piasku rozpostartymi szeroko po wierzchu pazurami korzeni. Tu i ówdzie między drzewami bieliły się piaszczyste wydmy otoczone krzakami jałowca. Na prośbę Baranowicza zsiadli z koni. Ignac w zamyśleniu spoglądał na Fabiana, gdy ten pochylał się nad tymi krzakami, dotykał je dłońmi, nabierał w nozdrza dawno zapomniany zapach. Rozejrzył się. Wskazał w głębi na nieco gęściejszy las, gdzie wśród sosen widać było białe konary strzelistych brzoź, rozpinał się szeroko klon.

— Będziemy tu kiedyś zbierać borówki. Da się chyba namówić na przejażdżkę ów zadzierzysty kapral o blond włosach?

Ignaca ubawiła uwaga Fabiana.

— A jednak rotmistrz dostrzegł wreszcie pod mundurem dziewczynę?

— Wreszcie? — zdumiał się Baranowicz, a Ignac już sobie obiecywał pożartować z Anki, która uważała, że rotmistrza trzeba dopiero obudzić.

Dojeżdżali do jakichś zabudowań.

Wyszedł naprzeciw nich młody żołnierz z pistoletem gotowym do strzału.

— Coś taki wojowniczy — zaśmiał się Ignac.

— A, obywatelu poruczniku, różne tu łachy się kręcą. Nie przypilnujesz, sam głowę stracisz, i nie na wojnie. Nie honor.

— A gospodarować próbujesz, czy tylko z ciebie wartownik?

— Gospodarować? — wzruszył ramionami. — Niech obywatel porucznik sam zobaczy. Ruszy to kto...

Z posępną miną oglądał rotmistrz zabudowania, walający się po podwórzu sprzęt w większości celowo zniszczony, chwastem porośłe podwórze, słowem — jedna ruina.

— Nawet gdybym dostał konia i krowę — tłumaczył się chłopak — nie podołam. Nie zostanę w tej głuszy. Obco mi tu i jakoś dziwnie. W moich stronach inaczej, swojsko.

— Kawaler?

— Jakżeby inaczej, czas jeszcze do żeniaczki.

Ignac poprowadził Fabiana w sąsiedztwo. Gdy przejeżdżali miedzą, Baranowicz nagle zeskoczył z konia i wszedł między złocące się łany zboża. Oglądał z uwagą, ważył w ręku wąsate, ciężkie kłosa.

— Nie można przegapić. Pięknie obrodziło, na pokój.

— Nie przegapi się. Skosimy na czas. Następne gospodarstwo niewiele różniło się od poprzedniego. I tu kilku żołnierzy sнуło się po obejściu, ale nie wybiegali inicjatywą poza rozkaz pilnowania dobytku, by to, co jeszcze zostało, nie było rozciągnięte przez szabrowników coraz częściej pojawiających się w tych stronach. Ci nie szukali miejsca do zamieszkania, tylko towaru na handel.

Fabian dojrzał zardzewiałą lokomobilę obrosłą chwastami. Obszedł ją dokoła, próbował poruszyć. Odszedł zniechęcony.

Ignac z zainteresowaniem obserwował spod oka rotmistrza. Będziesz się chciał za to sam wziąć? Tamten niechętnie wypowiedział słówko, trzy zmilczał, chodził, oglądał. Właściwie nie decydował się, ale też nie odrzucał. Poprzestał na obserwacji. I wtedy jakoś po drodze wypadło im Cielątkowo, tak nazwali je cekaemiści, którzy tu zostali osadzeni dla ochrony, i nazwa się przyjęła. Zabudowania folwarczne duże, solidnej budowy, w głębi pałacyk podniszczały, cały w plamach odpadniętego miejscami tynku.

Sierżant Sieliczko meldował się porucznikowi zerkając ciekawie na rotmistrza.

— Jak wam się żyje, sierżancie?

— Nieźle, ale bez dobrej ręki.

— Jak to? Ilu tu was?

— Ośmiu plus jeden, ale ja nie znam się na gospodarce. Miałem kiedyś ogród przy domku, to wszystko.

— Sierżant — objaśniał Ignac rotmistrza — jest dawnym funkcjonariuszem straży granicznej.

Baranowicz serdecznie uściśnął dużą, mocną dłoń. Zaproszeni do pokoju w pałacu słuchali narzekań sierżanta. Na karabinach maszynowych zna się naprawdę. Trzy lata partyzantki, różne widział. Wstąpił do 2 armii i... naprzód.

— Nierzadko pola mijaliśmy i nawet nie czas na nie było spojrzeć. Zawsze naprzód. Tu rządzą się regulaminowo, tok służby jak w jednostce, ale... nie tak trzeba. Wiem, że nie tak. Powiem obywatelowi porucznikowi prawdę. Chciałem się już u pułkownika odmeldować, bo powiedzą: stary szef kompanii, a dupa. Rady sobie nie dał. Niszczuje taki szmat ziemi, a on nic. W pułku nikt o mnie tego nie powiedział, więc nie honor, by po latach służby oczami świecić.

W pewnej chwili, gdy Ignac spojrział na rotmistrza, zrozumiał, że ryba połknęła haczyk. Już ty stąd się nie ruszysz, a ten stary szef kompanii wie, że cię za serce chwyci.

Sieliczko niby dla zdrowia zaprosił na spacer po okolicy. Wyszli z zabudowań gospodarskich, skręcili na drogę, której prawie końca nie było widać, aż gdzieś po lizjerę czerniejącego lasu. Po obu stronach drogi to jaśniały żytem, to złociły się pszenicą lub zieleniły rzepakiem przeogromne stanowiska jednorodnych zasiewów.

— Piękny kawał ziemi — powiedział rotmistrz. — Ile tego będzie?

— Przeszło osiemdziesiąt hektarów — odparł Sieliczko. — Ja na to bogactwo patrzę i jeszcze większe ogarnia mnie przerażenie. Nieprawdę mówiłem porucznikowi, że muszę się stąd odmeldować? Teraz to już tylko

dojrzewa, co wzeszło.

— Na żniwa przyjadą chłopcy, którzy się na tym znają. Skoszą, zwiozą — pocieszał Ignac.

— A po żniwach co? Pół dywizji tu będzie siedzieć? Taka ziemia, a zmarnieje, jak matkę własną kocham. A ziemia dobra, rodzić będzie pięknie, choć może nie jak w Krakowskim, Lubelskim, ale pięknie.

Ignac niby mrużąc oczy od dymu papierosa, który zaleciał na twarz, uśmiechał się ubawiony. Chwyciło cię? Fabian stał przy szosie i bez słowa rozglądał się wokół.

I chwyciło...

Fabian Baranowicz nie chciał jechać skrajem szosy prowadzącej z powiatowego do granicznego miasta. Szosa kilkakrotnie kręciła, więc musiałby nadkładać drogi, a i koń płoszył się, strzygł uszami, gdy mijaly ich duże, ciężarowe samochody. Znał już dobrze te lasy, a stary pogranicznik nie lubi wydeptanych szlaków. Wjeżdżając w dróżkę wysadzoną topolami pogłaskał pieszczotliwie szyję Diabła. Siwek zarżał radośnie podrzucając łeb. Przyjaźń między nim a koniem rozpoczęła się od pamiętnego dnia, gdy spróbował go dosiąść i nie pozwolił się zrzucić. Od tego czasu często go wypożyczał, aż wreszcie, gdy został wyznaczony przez dywizję na kierownika państwowego gospodarstwa Cielątkowo, Ignac sprezentował go Fabianowi ku uciechu szeregowca Józka Kuraka, którego siwek nieraz usiłował ugryźć i kopać.

Porucznik miał rację, że rotmistrz chwyci przynętę zarzuconą przez szefa kompanii karabinów maszynowych. Z dziewięcioma żołnierzami na folwarku Fabian poczuł się jakby w domu. Marian Sieliczko promieniał. Znów był tylko sierżantem szefem i miał z prawdziwego zdarzenia oficera dowódcę. Pod okiem „rotmistrza”, inaczej go Sieliczko nie nazywał, folwark ożywał z każdym dniem. „Pies w służbie” mawiał o nim sierżant, przejdzie tylko po podwórzu, zajrzy do zabudowań, wyjedzie koniem na pole, a wszystko zobaczy i rozkazy sypią się do wykonania nie na jeden dzień, lecz na tydzień. W oborze brząkały łańcuchami krowy sprowadzone przez wojsko, cztery mocne, o szerokich zadach perszerony stały w stajni.

W żniwa ruszyły kosiarki uruchomione przez kaprała szefostwa uzbrojenia. Dorobiono na miejscu brakujące części. Mała kuźnia też się znalazła. Obok ofiarowanych perszeronów przybył oddział z własnymi końmi. Założono je do zgrabiarek. Skoro świt co dnia z folwarku ruszała kolumna maszyn ku polom. W pomieszczeniach gospodarczych dzwoniły młotki, odbywał się zgrzyt pilników i pogwizdywanie przy robocie. Folwark był dość zasobny w maszyny rolnicze, choć nowi gospodarze zastali je w stanie opłakany. Już teraz w okresie żniw przygotowywano do użytku młockarnie, w których niejeden bęben pozbawiony był większości kolców, opatrywano pługi konne i siewniki. Najdłużej chodzono wokół jednej dużej lokomobili i dwóch mniejszych. Dowieziono ropę. Wyremontowany agregat zapewnił wreszcie prąd elektryczny.

Na wspomnienie tych pierwszych żniw jadący lasem Baranowicz uśmiecha się do siebie. Takiej radości nie zaznał od lat i on, i ci jego koledzy żołnierze, którzy razem z nim pracowali pod Skwarnym słońcem w polu.

I markietanka się zjawiła. Kaprał w spódnicy przyjechała nie do pomocy jednak, ale przywiozła pomoc. Ze starego zisa wysiadło jedenaście dziewcząt. Twarze jeszcze blade, zapadłe policzki, zbierana odzież. Spoglądała Anka uważnie w twarz rotmistrza, a na dnie jej niebieskich oczu paliły się drobne iskiereczki ironii.

— Nie może pan gospodarzyć tu sam. Widział kto obywać się bez kobiecych rąk? Nawet pan tego nie potrafi. Byłam w stajniach i w oborze, na podwórzu. Wszędzie prawie jak w pałacu, oprócz... samego pałacu. Tam nie przymierzając, za przeproszeniem, jak w chlewie.

— Kogo mi pani przywiozła?

— Dziewczęta, samotne, poszukują pracy i ciepła własnego domu.

— Bez nich miałem spokój.

— Ale, wszystkim nudno, a przygarnąć sieroty to też obywatelski obowiązek.

W miasteczku chyba zamieszkał krawiec. Anka miała zgrabnie dopasowaną w pasie nieco przechodzącą w klosz spódnicę z miękkiej gabardyny, równie dopasowaną bluzę z zawiniętymi rękawami odsłaniającymi

opalone ręce. Zamiast połówki wyfasowała niewielką furażerką, najprawdopodobniej w handlu zamiennym z wojskowymi przejeżdżającymi w transporcie, pod którą nie mogła schować bujnych, miękkich włosów. Gdzie ona zdobyła takie zgrabne buty? Uchwyciła szybkie, lustrujące spojrzenie rotmistrza i zadrgały jej w uśmiechu kąciki ust.

— Ładne? — Wysunęła do przodu nogę klapiąc z wyraźnym zadowoleniem dłonią po błyszczącej, do połysku wyczyszczonej cholewie. — Podobne dostałam kiedyś od żony sołtysa Mateusza, ze wsi Pokora. Zdarły mi się jednak szybko, bo częściej maszerowało się w naszej drugiej armii, niż jechało samochodami.

— Pani z drugiej armii? Zna pani zapewne szefa Sieliczkę?

Spojrzeniem poszukała go na polu wśród pracujących żołnierzy.

— Z jednego jesteśmy batalionu. Stary cwaniak. Sprzeda pana, odkupi i jeszcze na tym zarobi.

Zaśmiała się szeroko, swobodnie, z kolei oceniając postać Baranowicza.

— Zmienił się pan. Ogorzały na twarzy, w tej rozchełstanej koszuli, niepodobny do siebie sprzed trzech miesięcy. Wygląda pan jak prawdziwie litewski niedźwiedź.

— Pani też do rekruta niepodobna — odparował.

— Zmieniłam się? Może pojedziemy poszukać borówek? — parsknęła śmiechem i wsiadła do szoferki. Z otwartego okna podała mu rękę. Musnął jej dłoń ustami. — Rotmistrzu, odzwyczaiłam się od wyszukanej grzeczności.

— Może czas się przyzwyczaić?

— Może, jeżeli spotka się mężczyznę, który potrafi tego nauczyć.

Kierowca zapuszczał motor, ale rotmistrz zawołał jeszcze do uśmiechniętej dziewczyny:

— Co mam robić z wojskiem, które mi pani przywiozła?

— Zająć się nimi, by się nie nudziły. To bardzo silne dziewczyny!

Odjeżdżając wychyliła się i z daleka pomachała mu dłonią. Wtedy dopiero dojrzał na przegubie jej ręki zegarek, gdy słońce jakimś jednym promieniem odbiło się w szkiełku. Pokręcił głową. Już się nie płoszył jak dawniej przy spotkaniu Anki. Nieraz bywając w mieście nie oszukiwał się,

sam znajdował sposobność, by ją spotkać. Polubił ją. Podobała mu się. Czy może odwrotnie? Zresztą...

Teraz też jadąc lasem postanowił zajrzeć do „jej folwarku”, małej huty szkła. Zawsze tam zaglądał, gdy zajeżdżał do miasta. Mimo tęsknoty za Anastazją nie kłamał przed sobą, że może nawet po szczenięcemu zaproszył sobie głowę Anka, nie bez jej zabiegów. Dlaczego to robiła? Sądził trzeźwo. Zawsze bał się śmieszności. Ona z pewnością jest o połowę lat młodsza od „pana rotmistrza”. Gruchanie starego głuszca to żenująca sytuacja. Zachnął się jednak jakby w nagłym buncie. Skoro ona nie uważa tego za śmieszne?

Jak na ironię, drażniąc się z nim przywiozła mu wtedy dziewczęta na folwark. Kto wie, o czym rozmawiała Anka z nimi przed przyjazdem? Dlaczego przywiozła jednaście? Mogła postawić sprawę z nimi otwarcie. Jednak coś z tym jej przyjazdem do Cielątkowa musiało się wiązać, skoro sierżant szef zameldował mu się z najwyższą wzrostem i bez zdziwienia oświadczył, że pani kapral kazała Magdzie zająć się gospodarstwem domowym „rotmistrza”. Fabian wbił surowe spojrzenie w Mariańcia.

— Co wy mnie będziecie tu... — próbował od razu stawiać sprawę służbowo, ale sierżant szef nie dał się zbić z tropu.

— Panie rotmistrzu, tak po prawdzie Anka miała rację. Zjemy coś przyzwicie? Każdy spaprze byle jaką zupę, niby do zjedzenia, ale smaku brak.

— A... pani? — zaczął indagować Baranowicz, lecz nie dano mu dojść do słowa.

— Szefowa powiedziała, że mam się tu zająć gospodarstwem i koniec. Baranowicz machnął ręką.

— No to się zajmujcie, skoro tak powiedziała. Szefie, wszystko na waszej głowie.

Mariańcio zrobił perskie oko do dziewczyny, że nie ma o czym mówić, bo rotmistrz i tak zna się na... koniach.

— Myślę — dodał sierżant, gdy dziewczyna odeszła — że trzeba je wszystkie jakoś przyodziać. Nie wypada, by w łąkach tu pracowały. Przecież to nasze rodaczki, a stamtąd wróciły obszarpane.

Magda swoje przeszła w życiu. Po pacyfikacji wsi na Lubelszczyźnie młode i zdrowe dziewczyny załadowali w wagony na roboty. Magda mieszkała w chałupie sama, tylko ze starą ciotką, którą zabili za starość. Po ojcach miała maleńkie poletko, a zarabiała wynajmując się do pracy u innych.

Jeszcze przed wojną najchętniej chodziła na pola folwarczne do robót sezonowych. W pobliskich wsiach gospodarstwa chłopskie były drobne i niełatwo znaleźć tam robotę. Gospodarze sami dawali sobie radę, a jeżeli już wynajmowali na żniwa, to młodych mężczyzn. Ile wtedy miała lat, ledwie skończyła piętnaście, zawsze rosła i silna. Jeżeli marzyła o czymś pochylona przy kopaniu kartofli, to aby mogła kiedyś zajrzeć tam, gdzie mieszkali „państwo”. Nie był to taki pałac jak ten, raczej biały niewielki dom, ale również z podjazdem.

W kurzu unoszącym się nad drogą widziała nieraz dwa kare konie zaprzężone do powozu. W powozie jechały w jasnych sukienkach „panienki” albo „pani” zawsze osłaniająca się od słońca parasolką. Kiedyś spotkała na leśnym dukcie „panienki” jadące wierzchem. W spodniach, butach do konnej jazdy i w białych bluzkach, z rozpuszczonymi na ramiona włosami, wydawały jej się bardzo piękne niby jasne obłoki. Magda wymieniła nawet nazwisko właściciela majątku, ale ono nic Fabianowi nie mówiło. Na pewno jacyś drobni właściciele ziemscy, może nawet dorobkiewicz udający wielkie państwo. Znał takich i na kresach. Rozumiał jednak Magdę, gdy z przejęciem opowiadała, jak dwa razy wzięto ją do sprzątania do dworu, a raz nawet pomagała w kuchni podczas większego przyjęcia. Widziała wtedy prawie z bliska panią i panienki. Kiedyś minęła ją któraś bardzo blisko, ale nie spojrzała na dziewczynę. Patrzyła gdzieś nad nią. Długo Magda nie mogła zasnąć w nocy. Pojawiały się przed jej oczami przesuwające się po lśniących posadzkach mieszkanki pokoi oraz piękne zjawy na koniach.

Niemcy powieźli ją daleko — relacjonowała Fabianowi beznamiętnie. Historia jak inne. Niewiele dodać i niewiele ująć. Magda nawet w tych wspomnieniach nie skarżyła się.

Wyznawała swoiste poglądy na skomplikowane sprawy wojny. Nienawidziła żandarmów, którzy spalili jej wieś, i esesmanów, jak też

kolejowych banszuców, którzy ją kiedyś pobili, gdy szmuglowała żywność do Lublina. To byli dla niej wrogowie. A bauerzy, co ją kupili, niczym zwierzę na targu? Wzruszała ramionami. Czy przedtem nie pracowała na gospodarce? Nie wstawała rano, nie oporządzała bydła, a w plecach jakby kto drągiem łamał, tak bolało przy okopywaniu kartofli? Robić trzeba wszędzie, jeżeli chce się żyć. Od nich ze wsi starzy ludzie na „saksy”, jeździli i dobrze.

Jej „frau”, czyli pani, taka sobie ciemna chłopka z Bawarii, określiła ją pogardliwie Magda, mimo pozorów pobożności, bo ciągle do kościoła latała, była jednak w domu wredną wiedźmą. Nawet nie o to miała do niej pretensje dziewczyna, że lunęła czasem przez gębę. Gospodyni ma prawo karcić za lenistwo. Magda zwyczajowo całowała ją w rękę. Czy nie całowała po rękach ojców, babki, proboszcza czy pani nauczycielki? Wiadomo, trzeba okazywać szacunek, wiedzieć, jakie każdego miejsce w świecie. Jednak kto pracuje na gospodarce, musi jeść, by mieć siłę. Głodny koń też nie uciągnie. Tego nie chciała zrozumieć jej „frau”. Gęsta zupa była dla gospodyni, dla jej ojca i siostry, starej panny. Magdzie pozostawała wodzianka, po której pływały rzadko kartofle, i niewielki kawałek chleba. „Mój mąż na froncie wiele nie je, to i ty nie musisz. Młoda jesteś, wytrzymała”. Frau Hermina od świtu do późnej nocy znajdowała dla niej zajęcia. Nie tylko w gospodarstwie, ale i w domu. Oczy prawie straciła cerując bieliznę pościelową i osobistą domowników, którą sama dawno by już porwała na szmaty do mycia podłóg. Frau Hermina była jednak oszczędna. Nie zniszczyła nawet jednej szmatki. Wszystkie starocie, uprane, wycerowane leżały na dole w szafie lub komodzie.

Później Hermina nie kazała mówić na siebie „frau”, prosiła, żeby Magda odpoczywała, nie wstawała rano do pracy. Erika, córka Herminy, miała nawet Magdzie przynosić do łóżka śniadanie. Dziewczyna śmiała się. A bo to nie widziała, jak po powrocie Eriki w końcu kwietnia „frau” schowała na strychu jej fotografię w mundurze? Szosami jechały już amerykańskie czołgi, ogromne samochody, z których wychylali się żołnierze o białych zębach i ciemnych twarzach rzucając dziewczynom z literą „P” na piersi równie ciemną, choć owiniętą w celofan czekoladę.

Anka spostrzegła to, czego nie widział rotmistrz. Teraz dopiero odkrył, że ich pałac naprawdę niewiele różni się od chlewu, i to źle utrzymanego. Znacznie czystiej jest w stajniach, w oborach i na gospodarskim podwórzu.

Magda nie czekała na dyspozycje. Nie wiadomo skąd wydołała czy znalazła trzy ryżowe szczotki. Kiedyś rotmistrz poczuł w pałacu zapach szorowanych podłóg. Szorowały je we trzy, ale robotą kierowała Magda. Nie wyobrażał sobie, że pozostało w nich tyle siły. Z czarnych jak klepiska nawierzchni spod szczotek dziewcząt błyskała jasna klepka. Co chwila z kubłami zawieszistej, brudnej cieczy wybiegały świecąc piętami na gospodarskie podwórze i wylewały na wysoko rosnące zielsko. Dotąd właściwie w pałacu używano jedynie dużego hallu i sporej sali o dwóch oknach, gdzie Stał prosty stół, krzesła, etażerka, duża zamknięta szafa szklana z książkami oraz tapczan-wyrko, na którym sypiał Fabian. Sierżant wraz z żołnierzami mieszkali w pawilonie w pokojach, prawdopodobnie gościnnych. Sieliczko tego pałacu nie lubił.

— Landara — powiadał. — Nieprzytulne to, aż strach.

Teraz Magda pootwierała wszystkie pokoje w pałacu. Nie wszędzie tak samo musiały się uszarpać nad podłogami, jak w hallu i w „gabinecie”, dawniej Sieliczki, teraz rotmistrza. W każdej sali czy salce panował jednak niesamowity bałagan. Połamane sprzęty, puszki po konserwach, porwane papiery, butelki, jakieś szmaty, a nawet części umundurowania niemieckiego. Z sufitów zwieszały się pajęczyny, kurz grubą warstwą pokrywał tę rupieciarnię. Magda ugiwała się wynosząc szczątki czegoś, co niegdyś stanowiło użytkowe sprzęty. Myła z dziewczętami okna i drzwi. Ocalałe szyby błyszcząły znów w słońcu kryształowym odcieniem.

— Co tu się działo przed naszym przyjściem? — Fabian zapytał raz Sieliczki. — Niemożliwe, żeby były właściciel zostawił wszystko w takim stanie.

— W czasie zimowo-wiosennej ofensywy podobno folwark zajmowało wojsko SS. Żołnierze frontowi jak to żołnierze. Właściciel jeszcze przed ofensywą wyjechał w głąb Rzeszy, a esesmani rozpędzili nawet folwarcznych Niemców, do tego stopnia nie mieli do nikogo zaufania. Mówił mi kiedyś

pozostały tu jedyny bauer w okolicy, zanim zdecydował się i on wyjechać ze swoimi.

Zaszły zmiany również i w nieczynnej do tej pory kuchni umieszczonej w piwnicy pałacu. Żołnierze Sieliczki gotowali systemem wojskowym zupy w kuchni polowej. Magda wraz z dwiema następnymi dziewczętami z żeńskiej jednostki ruszyła w podziemie. Niełatwo było doszorować kotlinę z wielkim blatem, pozbierać potłuczone naczynia kuchenne. Z nimi doprowadziła wszystko do ładu i wkrótce zaczęły stamtąd dolatywać smakowite zapachy.

Tak już pozostało. Dwie z czterech dziewcząt pracowały na stałe w kuchni, dwie następne sprzątały pałac i pawilon. W czasie żniw, zwózki, a później młócki zboża wszystkie cztery na czele z Magdą uwijały się po kuchni przygotowując posiłek dla pracujących żołnierzy z dywizji. Zawoziły go wojskową kuchnią na pole, a następnie zmywały naczynia. Magda wynalazła grube talerze i ku oburzeniu kucharza wojskowego stwierdziła bez dyskusji, że jedzenie „z menachy” jest niesmaczne. Stary wyga urządził się zresztą znakomicie w kuchni pałacowej i nikt właściwie nie wiedział, co robi, więc i Fabian niewiele protestował. Prowiant dowożono od dawna z dywizji.

Zauważył rotmistrz, a może jak stary myśliwy wyczuł najpierw jakby przez skórę, że zmieniły się układy w hierarchii wewnątrz małej społeczności na folwarku. Żołnierze przybyli do prac polowych mieszkali osobno, w drugiej części folwarku. Tu, wokół biura administracji gospodarstwa, kiedyś niepodzielną władzę sprawował szef, później dzielił ją z rotmistrzem. Teraz był zastępcą, ale chyba równorzędnym obok Magdy, która przejęła nie wiadomo kiedy sprawy gospodarskie ich społeczności. Porządkami, kuchnią i opraniem mężczyzn zajęły się dziewczęta pracujące w pałacu. Grupa operacyjna szefa poweselała, a stary wyjadacz zacierał z zadowolenia ręce, bo czuł się tu coraz lepiej. Do spraw dziewcząt się nie wtrącał, nawet do tej szóstki oddanej przez Magdę, tak to określił Sieliczko, do robót gospodarskich w oborze, stajni i chlewni.

Słowem, jak to się stało, że pod łokciem sierżanta wyrosła nieoficjalna szefowa, tego rotmistrz do końca się nie dowiedział, a Marian Sieliczko nigdy nie ujawnił. Nawet później, gdy razem jeździli w lasy nadgraniczne na

podchody. Wtedy wiele można sobie szczerze powiedzieć, ale Mariańcio był po prostu w tej sprawie zrobiony w konia, bo niespodziewanie podeszła go dziewczyna.

Nawet rotmistrz zrozumiał, że ktoś tu poza nim decyduje. Kiedyś zaglądając w południe do kancelarii-sypialni stanął zdumiony na progu. Pośrodku pokoju klęczała Magda froterując podłogę. Obok stała puszka z jasnym smarem. Podniosła głowę i spoglądając spod kosmyków włosów spadających na czoło, ostrym głosem ostrzegawczo zawołała:

— Niech pan rotmistrz uważa! Świeżo pastowane.

— Gdzie mój tapczan?

Uniosła się znad podłogi, ale została na kolanach. Wzruszyła ramionami.

— Kto widział, żeby spać w kancelarii? Przeniosłam pana.

— Gdzie?

— Obok, do tej sali.

Za gabinetem mieściła się duża, jasna sala o czterech oknach.

— Czy pani... — nie mógł znaleźć słowa — ma dobrze w głowie? Tam nie można spać.

— Tutaj też nie można, bo wstyd przed ludźmi. Nieraz przychodzą, a spod koca skarpetki wystają i nie tylko. Podrzuciła mu pod buty sukna. Ruszył do sypialni i aż oparł się o framugę drzwi. Nie było jego tapczanu-wyrka, lecz szerokie łoże o białych oparciach, rzeźbionych w girlandy i a morki.

— Znalazłam to w innej sali, a jeszcze gdzie indziej pościel. Niech pan rotmistrz pomaca ręką, jaki miękki materac. Wszystko to przytargałam.

Lustro wiszące w ramach wielkości portretu też „przytargała” i jakiś stoliczek o powyginanych nogach, złożony. Wieżyczki na dachach pałacowych budowli w latach trzydziestych, ciche kąpiki nad strumykiem z mostkiem też z innej epoki. W Niemczech spotykał takie budowle świadczące o złym guście hitlerowskiej burżuazji. „Nabytki” Magdy były podobne.

— Tylko niech pan rotmistrz na tym stolczku butów nie stawia, bo widziałam tak kiedyś, zaraz po wyzwoleniu w Niemczech. — Zaśmiała się wstając i wycierając dłonie o brudną spódnicę przypiętą wysoko agrafkami.

— Na złotym stoliczku sterczały buty z cholewami, a z cholew zwieszały się czerwone onuce.

— Jak na wojnie — powiedział, ale zaraz się spłoszył. — Gdzie jest moja bielizna, moje skarpetki i piżama?

— W praniu. Na słońcu zaraz wyschną. Również więc i on bez swojego udziału i woli otrzymał pałacową sypialnię, w której stała oszklona serwantka, gdzie dojrzał swoje książki, miał ich niewiele, skrzyneczkę z listami, notatniki. W rogu szafa błyszcząca, w niej kurtka mundurowa i płaszcz wojskowy. Na pole wyjeżdżał w bryczesach, koszuli i połówce.

— Wieczorem niech pan rotmistrz buty wystawia do czyszczenia, bo to nieładnie chodzić w takich jak ekonom.

— Pani Magdo — nigdy nie umiał powiedzieć nikomu „ty” — ja już dawno przyzwyczailem się sam buty sobie czyścić.

— Ale nie tu! Każdy swoje miejsce znać powinien.

Odwróciła się bez słowa kończąc rozmowę i zaczęła froterować podłogę kancelarii; Fabian usiadł na filigranowym krzeselku stojącym obok łóżka, podrapał się w głowę, wzruszył ramionami stwierdzając teraz, że nie wie, po co właściwie tu przyszedł. Nie patrząc na dziewczynę wyszedł drugimi drzwiami, które prowadziły do korytarzyka z umywalnią, łazienką i sanitariatem. Szkoda, że się nie obejrzał. Klęcząc w poprzedniej pozycji nad podłogą Magda uniosła nieco głowę i ukradkiem zerknęła za wychodzącym z pokoju rotmistrzem. W jej wzroku dostrzegłby ironię kobiety znacznie przewyższającej mężczyznę życiowym sprytem.

Salę po przeciwnej stronie hallu Magda urządziła jako stołowy pokój Fabiana. Nie dziwił się już wieczorem, gdy kolację, zwykle jadał w kancelarii, podała osobiście w stołowym. Zasiadł tam z Sieliczką i młodym porucznikiem przybyłym z oddziałem do prac polowych. Wtedy jeszcze był nieufny wobec Mariusza Obolskiego, dopiero później nie tylko poznał chłopaka w wieku Ignaca, ale i polubił.

Mariusz był niemal dzieckiem pułku. Z trudnością prześlizgnął się pod surowym okiem komisji poborowej ukrywając swój wiek. Dowódcy zorientowali się, że chłopak jest bystry, sprytny i po prostu wysłali go do

szkoły oficerskiej. Chciałeś, synku, od razu na front? Poucz się trochę, a zobaczymy. Zły był, bo dołączył do Siódmej Łużyckiej pod Łukowem, ale i dla niego starczyło. W czasie walk o Bremenhein dostał niebezpieczny postrzał, w szoku przywieźli go na tyły, młody organizm był silniejszy i chłopak wyżył. — Wyobraża sobie obywatel rotmistrz, jaki cholerny pech. Po raz pierwszy na scenie — porucznik mówił zawsze obrazowo — i aktor od razu rozbija sobie łeb. Do jednostki powróciłem, gdy zajmowaliśmy posterunki nad Nysą. Było już nawet po herbacie i obrus zdejmowano ze stołu.

Magda nie jadła z nimi. Zapewne te jej zwariowane zasady: „każdy swoje miejsce znać powinien”.

Butów do czyszczenia jej nie dał, ale później pożałował, bo weszła bez pukania do sypialni, aż spieszenie musiał naciągnąć kołdrę, i sama wzięta wychodząc bez słowa, tylko trzasnęła drzwiami.

Żałował Fabian odjazdu porucznika Obolskiego.

— Panie rotmistrzu — pocieszał go oficer na swój żartobliwy sposób — góra z górą, i tak dalej, a, bywa, dwóch mężczyzn spotyka się przed drzwiami pokoju jednej dziewczyny. Z nami może być tak samo, bo mam pecha.

Do jednej dziewczyny nie konkurowali, ale pod koniec listopada spotkali się przed drzwiami podpułkownika Jurkiewicza organizującego oddział nowej formacji wojskowej pogranicza.

— To i pana rotmistrza też dostali? — witał go jowialnie porucznik. — Nie wywinie się już pan Jurkiewiczowi. Znam go z pułku. Właśnie on mnie tak załatwił z tą szkołą.

Po wyjeździe Obolskiego z oddziałem tylko rotmistrz nie cieszył się z nagłej ciszy.

— Wreszcie mamy spokój — usłyszał kiedyś Fabian słowa szefa.

Sieliczko wiedział, co mówi. Zelżało tempo pracy, a podkomendni szefa mieli więcej czasu do spotkań z dziewczętami. Magda wreszcie dała się namówić, by nie jadła w kuchni, tylko razem z rotmistrzem i Sielicką. Siadając do stołu ubierała się starannie wiążąc gruby warkocz ciemnych włosów w koronę wokół głowy. Rotmistrz zauważył też, że do stołu podaje

jedna z dziewcząt.

Magda zmieniała się z każdym dniem w sposobie bycia, poruszania po folwarku i, co nieprzyjemnie uderzało Fabiana, inaczej odnosiła się do koleżanek. Podnosiła głos, besztala je tonem nie znoszącym sprzeciwu.

— Nie wie pan rotmistrz, jak to jest? — tłumaczył szef. — W wojsku niech, kto tylko dostanie warząchew do ręki, a stanie przy kotle rozlewając żołnierzom supę, to już myśli, że mu władza do ręki wlała. Jednemu da z wierzchu, na innego popatrzy, zamiesza, a później wleje. Wybranemu nabierze gęste, ze spodu. A jak przy tym z wysoka spogląda na resztę? Chochła w ręku dziwnymi myślami do głowy uderza. Magdzie też, ale my na tym źle nie wychodzimy, to i wtrącać się nie ma czego.

Rotmistrz za radą Sieliczki, mimo że go to i owo w zachowaniu Magdy raziło, nie wtrącał się. Obiecywał sobie zresztą pierwszego dnia do babińca się nie mieszać. Jako kierownik państwowej, nawet wojskowej farmy właściwie był zadowolony z przybycia kobiet i z tego, że jedna z nich kieruje pracą. Dokonały wielu zmian, zaprowadziły czystość i porządek. Cielątkowo stało się oczkiem w głowie dywizji. Widzieli wszyscy, że nie nadaremnie pomagali w zagospodarowaniu farmy. Nic nie poszło na zatracenie, a to wielkie gospodarstwo rozpocznie w niedługim czasie pracować samodzielnie. Przyjeżdżali, oglądali pola, zabudowania, żywy inwentarz, maszyny rolnicze i potrzęsali z uznaniem dłonią rotmistrza.

To wydarzyło się nieomal zaraz po wyjeździe Obolskiego z jego oddziałem. Jakby odejście wojska było sygnałem.

Złociły się liście na drzewach, barwiły się czerwono krzewy wokół podjazdu do pałacu. Może i kolacja tego wieczoru była wyjątkowo smaczna, a sierżant gdzieś się zapodział, zaraz po herbacie, i rotmistrz wiedział nawet gdzie. Siedzieli we dwoje z Magdą w stołowym i wspominali Bawarię. Piękna ziemia, soczysta, jeziora pełne ryb, wokół roje ptactwa. Przedpole Alp. Jakby na przedpiersiu ogromnych masywów górskich, raz uroczych, groźnych, to znów tajemniczych. W smugach mgły falowały jej pola i łąki, między którymi wiły się białe nitki dróg.

— I po jaką zarazę potrzebna im była wojna?

Fabian nie odpowiedział. Spracowany był tego dnia, sennością morzyło ciepło jesienne, a do tego trzasnął przy kolacji jedną dużą wódkę i ogarnęła go błoga ociężałość. Co tam skomplikowane problemy tego świata, kiedy mu teraz dobrze. Magda nie czekała chyba na zawiłą i głęboką analizę lat ubiegłych. Może już zapomniała, o co jej chodziło, albo w samym pytaniu zawarła już wyczerpującą dla siebie odpowiedź.

— Pościelę łóżko rotmistrzowi.

Nienawykły, choć kilka razy już zastawał łóżko rozesełane, a rano, zanim się umył, doprowadzone do porządku, też może dla porządku protestował:

— Ależ, pani Magdo...

Parsknęła tylko i poszła do jego pokoju. Nieraz wspominał ten wieczór. Gdy wrócił z łazienki w piżamie nie bardzo go zaskoczyła obecność dziewczyny stojącej przy stoliku. Wspinając się na palce bosych stóp cesała w lustrze długie, ciemne włosy. Nie była już nierozgarniętą dziewuchą do posług, kuchennym popychłem. W długiej koszuli z koronkami, cienkiej, niemal przezroczystej, nie zasłaniającej właściwie niczego, wyglądała jak właścicielka tego pałacu. Stał w drzwiach nie mogąc oderwać wzroku, a ona wiedziała, że jest obserwowana. I podziwiana.

— Lepsze lustro pan rotmistrz mógłby sobie przytargać. Byle szabrownik bierze stąd co się da i ucieka w Polskę.

Odwróciła się nie przestając cesać zgarniętych z tyłu głowy ciemnych, gęstych włosów.

Jej odezwanie nie zdmuchnęło zachwyty, tylko urealniło cielesność niezwykłego zjawiska. Uśmiechnął się niepewnie.

— Może chciałaby pani zapełnić wszystkie sale wyszukanymi sprzętami, postawić fortepian?

Podniosła na niego nieco zdziwione oczy koloru i kształtu kasztana nie chwytając żartu.

— Dlaczego nie? Mogę panu rotmistrzowi nawet powiedzieć, w której wsi stoi ukryty przez właścicieli fortepian przyrzeczony dla niepoznaki słomą i gdzie schowali co cenniejsze meble.

Chciałby w tej chwili zapalić, ale bał się, że ją spłoszy, więc nadal tkwił

nieporadnie przy drzwiach.

— I chciałyby pani...

Przerwał mu wybuch śmiechu. Rzuciła na stolik duży grzebień i przysiadła na poręczy szerokiego łóżka, jak na wsi siada się na drągu ogrodzenia.

— Panie rotmistrzu — w śmiechu ukazała duże, białe zęby — jaka ja tam pani. Magda jestem, a rotmistrz stale swoje...

— Ale pałac chciałybyś urządzić? — Baranowicz bez trudu przeszedł w tej chwili na ty.

— Bo Magda jestem tylko dla pana rotmistrza, a dla tych innych... — Nieokreślony krąg tych innych objęła lekceważącym gestem dłoni. Zawahała się. Fabian dokończył:

— Chciałybyś być panią?

Śmiała się teraz dziecinnie, przekornie. Machała nogami, wybijając takt piętami o łóżko. Nagle znieruchomiała. Zapytała zaczepnie:

— A pan rotmistrz w wojsku kim chciałby być, żołnierzem czy oficerem? Na pewno oficerem. A na folwarku też nie przyszedłby pan tak chętnie na robotnika. Myślę, że nie. Ja też nie urodziłam się, by zostać na stałe wołem roboczym. Skończyło się tamto na zawsze.

Uniosła ku górze brodę strząsając na ramię splot włosów. Z tym nieco sztucznym gestem dumy, pychy, wyglądała dziwnie, ale przypatrywał jej się z przyjemnością. Wyciągnęła ramię i zginając dłoń w nadgarstku mówiła jakby do kogoś jeszcze, obecnego w pokoju. Fabian zrozumiał: do siebie — za te podłogi oczyszczone, zabierane buty z sypialni.

— Tu, panią całować w rękę! Oderwał się od framugi drzwi i ruszył w jej kierunku. Nawet był ucieszony, że wreszcie wie, co zrobić, jak postąpić w tej sytuacji, ale gdy był blisko, wyciągnęła ku niemu ramiona, jakby w ostatniej chwili przeraziło ją to odwrócenie ról. Była teraz już tylko kobietą, spragnioną i czekającą...

Na drugi dzień sierżant szef przywiózł odnalezione wielkie lustra wymontowane ze ścian zapewne przed spodziewaną radziecką ofensywą, na trzeci dzień biały fortepian, i tak przez tydzień, stale coś nowego. Magda

urządzała swój pokój, gdzie zawiesiła na ścianie sześć zwierciadeł.

Krażyła wśród nich piękna, pewna siebie, jedna w sześciu odmianach, żywa. Bez ironii, a raczej z rozrzewnieniem podejrział ją raz, gdy osobiście odkurzała biały fortepian. Odnalazła gdzieś w rupieciach pęk kolorowych piór na patyku i tymi piórami poruszała po napiętych, lśniących strunach, szmatką czyściła klawiaturę, a gdy dojrzała na niej plamkę, po prostu śliniła palec i później polerowała do błysku. Nie śmiała uderzyć mocniej w klawisze, a jedynie opuszkami palców leciutko dotykała przykładając ucho do lśniącej powierzchni zaczarowanego dla niej instrumentu. Żałował, że nie potrafi grać. Pojawiły się nowe dziewczęta szukające pracy lub szczęścia. Płace wszędzie w tym czasie były symboliczne, więc pracowano za wyżywienie, dobre warunki mieszkania, a gdy „pani Magdalena”, tak kazała się nazywać, rozdawała niejednakowo, ale według zasług, sukienki, palta, bluzki czy nawet kosmetyki dostarczone przez szefa z paczek z UNRRA, chętnie wykonywały różne polecenia i były wdzięczne, że na jakiś czas przytulą głowę pod cały dach. Magda miała wiele sprytu. Zdawała sobie sprawę, że dziewczęta te, tak zresztą jak i samotni mężczyźni, to ptaki jeszcze przelotne, które zanim znajdą swoje miejsce w kraju dopiero uprzątającym ruiny wojny, będą próbowały dostosować się do różnych zawodów, zbiorowisk ludzkich. Nie planowała więc niczego na daleką przyszłość.

Do folwarku zajrzał kiedyś Ignac. Z zadumą spoglądał na podniesione z upadku gospodarstwo i na promieniującego przyjaciela. Magda czuła się tego dnia niezdrowo, więc do stołu nie usiadła, co zdziwiło Fabiana, a ucieszyło Ignaca. Nie po to przyjeżdżał, by pozbawić się męskiej rozmowy. Pojmował niewiedzę rotmistrza o tym, co działo się w ich rejonie. Zmieniało się z każdym dniem i ich miasto, otwarto szkołę, na ulicach słyhać głos dzwonka. Coraz więcej uruchamia się sklepów, ludzie coraz częściej osiedlają się, choć jeszcze niepewni, zaczynają dopiero z wolna nabierać zaufania i pewności, że to wszystko jest ich. Naturalnie długo jeszcze strach przed tymczasowością będzie budził ze snu zimnym potem, ale Ignac wierzył. Był młody, przepelniony energią i pewnością, że żołnierz polski znad tej granicy już się nie ruszy. Na granicy?

Spojrzał żartobliwie na Fabiana. A jednak ciągnie wilka do lasu. Nie pytał, czy rotmistrz ma już dosyć pracy w polu, tylko opowiadał o swym oddziale, o posmaku przygody, która zawsze towarzyszyła ich służbie. Zdarzały się przypadki różne, łatwiejsze, błahsze i groźne, gdy uzbrojony przestępca atakował. Mieli w oddziale kilku rannych. Dostrzegł zainteresowanie w oczach gospodarza. Mógł snuć opowieści bodaj całą noc. Mówił barwnie, soczyście, aż nieraz Fabian niespokojnie, z emocji poruszył się w fotelu.

Zaskoczył gospodarza wieścią o możliwym wycofaniu stąd dywizji. Dość głośno mówi się między nimi o powołaniu nowej formacji wojskowej wyspecjalizowanej i wydzielonej do pełnienia służby granicznej. Z tą wiadomością, niby posianym ziarnem niepewności albo tematu do rozważań, pożegnał przyjaciela. Właściwie w tym celu przyjechał.

Październik liśćmi czerwonymi i złotymi targał po polach niby odmiennym, zaczarowanym, różnobarwnym śniegiem. Płomieniem gorejącym zaczerwieniły się dekoracyjne krzewy przed pałacem. Pani Magdalena kazała wysadzać i przenosić przed mrozem kwietne krzaki. Wychowana na wsi, znała się również na ogrodnictwie.

Mrozek nadchodził wraz z zimą już w listopadzie.

— Teraz to tu jest pałac! — Anka w krótkim wojskowym półkożuszku otrząsała błoto z butów na matach położonych w hallu. Rozlewnie przywitała się ze „swoim rotmistrzem”, obejrzała go ze wszystkich stron i stwierdziła, że zsechł na szczapę, ale przy opaleniznie „jej litewski niedźwiedź” wygląda nawet młodziej. Z Magdą próbowała się przywitać protekcyjnie, ale natknęła się na spojrzenie zimne, pewne siebie. Przypatrując się jej niby nowej sukience w sklepie z podziwem uniosła ku górze łuki brwi. Z trudnością powstrzymywała śmiech. Zawsze bawiły Ankę okolicznościowe odmiany ludzi. Poprosiła „rotmistrza”, nie dodała już „swego” o rozmowę w kancelarii. Pomógł jej zdjąć półkożuszek i wtedy dopiero dostrzegł dystynkcje sierżanta. Gratulował, ale odpowiedziała, że to na otarcie łez przy przejściu do cywila. Widząc jego zdumienie opowiedziała mu o odchodzeniu dywizji i tworzeniu Wojsk Ochrony Pogranicza. Jednak stało się, a ja dó niczego nie

doszedłem w swych rozważaniach od pamiętnej rozmowy z Ignacem. Wielu żołnierzy z dywizji postanowiło tu osiąść i dowództwo dopomaga każdemu w urządzeniu się. Ance przydzielono jeszcze nie uruchomioną hutę szkła, właściwie większy warsztat. Zna się na tym?

— Znam się na ludziach — powiedziała znacząco mrużąc swoim zwyczajem oczy — a to wystarczy do kierowania, nawet do powożenia, niby cugowymi.

Usiadła na biurku machając nogami. Wzięła z pudełka papierosa i zaskoczyła go pytaniem:

— Przydały się panu rotmistrzowi dziewczyny, które przywiozłam? — Smużka dymu wypuszczona z jej stulonych ust, poszła prosto w nos Fabiana. Przeprosiła grzecznie, ale swoje mówiła: — Nikt teraz nie poznałby tej rudery.

Chcąc zejść z tematu dlań śliskiego, próbował ją zagadać opowiadając o postępujących zmianach. Paliła z kpiącym uśmiechem na wargach.

— Uwierzył więc pan w siebie? Jestem ogromnie dumna, że i ja wierciłam im dziurę w brzuchu, by panu po niewoli szybko dali jakąś robotę. Teraz pan rotmistrz odżył i... uwierzył w siebie, chyba też jako mężczyzna. — Zachnął się, ale nie dała mu dokończyć. — Czas zmywać się stąd, rotmistrzu. Ta czarnowłosa, zabiedzona dziewczyna, sprzedana jako niewolnica do bauera, chce o tym zapomnieć. Zdaje się, nawet już zapomniała, i słusznie. Pożre pana z butami i sławą mołojecką. Teraz jest najlepszy moment. Jest pan w łaskach, jednak w miarę upływu czasu...

Zeskoczyła z biurka i chodziła długimi krokami po kancelarii. Folwark przejdzie w zarząd cywilny. Nowi ludzie, nie zawsze życzliwi. Zza drutów widziało się wolność jak ziemię napełnioną aniołami. Wychodząc z wagonu miał łut szczęścia. Męska — podkreśliła to — żołnierska przyjaźń. Wielu ma przyjaciół, ale później... Obecnie jest zdobyczą kobiety i to cenną zdobyczą. Z czasem, a szczególnie przy innym zarządzie folwarku, pozostanie już tylko skórą po litewskim niedźwiedziu przy łóżku swojej pani, przedmiotem może do czegoś użytecznym, ale niezauważalnym. Znów coś mówił, że chyba zbyt wdziera się w jego prywatne życie, ale nikt jeszcze Anki nie przegadał.

Wreszcie zakończyła po kobiecemu, gdy zapytał, czemu zawsze się z nim drażni. Ona mu przysłała te dziewczyny i... Magdę. Dlaczego? Co się za tym kryje, skoro wie...

— Że pan przede mną ucieka? Tak? Proste. Wiem, lubi mnie pan i nie będę się kryć, również bardzo pana lubię. Nie wolno? Powie pan, Anastazja, że czeka pan na nią i dlatego boi się uczucia do mnie... Tu pan czeka?

Odwróciła się gwałtownie, zaśmiała się dziwnie, ale później już znów uspokojona zajrzała mu w oczy.

— Czy dwoje ludzi nie może się po prostu, zwyczajnie lubić, nawet bardzo lubić? Myślałam o tym nieraz, że takie uczucie istnieje bez żadnych z góry przyjętych przewidywań. Nie musi się coś... stać między nimi, a jeżeli nawet, aniołom nie podpadają skrzydła. Nigdy nic nie zamierzam na przyszłość, nie układam sobie we snach. Ze snów może obudzić potężny cios pięścią w łeb. My też mieliśmy swoje sześć lat... w kraju.

Niespodziewanie podeszła bardzo blisko i pocałowała go w usta. Gdy chciał ją objąć, podetkała pod nos dłoń.

— Bardzo ładnie całujesz w rękę. Nie zapominaj o tym, lubię, gdy to robisz. — Po chwili dodała rzeczowo: — Właściwie przyjechałam tu jako goniec. Przysłał mnie podpułkownik Jurkiewicz. Masz się do niego zgłosić. Tu jest pismo.

— Demobilizacja.

— Albo powtórna mobilizacja. Pułkownik organizuje oddział WOP-u. Chce z tobą pogadać.

Pułkownik Jurkiewicz kiedyś, w czasie wizytowania folwarku, zagadnął Fabiana, czy go poznaje. Sześć lat na twarzach obu mężczyzn wyłobilo nowe zmarszczki, dawniej Jurkiewicz nosił mundur radzieckiego oficera wojsk granicznych, a mimo to rotmistrzowi od pierwszej chwili powróciły wspomnienia.

Chodząc po polach wyławiali teraz z pamięci spotkania sprzed 1939 roku. Wiele odcinków granicy polsko-radzieckiej było wówczas trudnych do strzeżenia. Grasowały bandy uzbrojonych przemytników, zuchwałych, zapadających nagle w gęste lasy, doskonale znających teren. „Kochankowie

Wielkiej Niedźwiedzicy” toczyli swoistą grę z żołnierzami polskimi i radzieckimi, grę na spryt i zaskoczenie, nie cofając się nierzadko przed walką. W tych warunkach doszło do współpracy między oddziałami wojskowymi po obu stronach granicy.

Jurkiewicz był młodszy wiekiem od Baranowicza. W czasie wielokrotnych spotkań w pasie granicznym i przekazywania sobie wzajemnych spostrzeżeń i wieści o szykujących się nowych akcjach, zwłaszcza zuchwałego „Czarnego Anzelma”, który im dobrze zalał za skórę, przegadali niejedną godzinę i to nie tylko o sprawach służbowych. Jurkiewicz był wnukiem polskiego zesańca, którego grób pozostał na dalekiej Syberii, a synem rewolucjonisty poległego w trudnych latach walki z Denikinem. W tradycji rodzinnej przekazanej przez matkę, czarnooką Sybiraczkę pielęgnującą pamięć o swym narwanym a dzielnym Józku, utrzymały się barwne legendy o dziadku sięgające do dalekiej, nie znanej wtedy Jurkiewiczowi Polski, o walkach z carskimi żandarmami, ucieczkach z więzień i barykadach w fabrycznej Łodzi.

Teraz Jurkiewicz opowiadał Baranowiczowi o swojej drodze do polskiego wojska i powrocie do ojczyzny przodków. Zachował płynną polszczyznę, choć z wyczuwalnym akcentem rosyjskim. Ciekawiły go losy Fabiana, pytał o Anastazję, którą kiedyś poznał w czasie odwiedzin na strażnicy. Wspierał go otuchą, że na pewno połączy się z żoną. Obiecywał nawet dowiedzieć się o nią przez urząd repatriacyjny. Z pewnością żyje i powróci niedługo, jak wielu ze Związku Radzieckiego. Po otrzymaniu wezwania przywiezionego przez Ankę zameldował się u Jurkiewicza. Szkoda mu było opuścić Cielątkowa, marzył nawet w niewoli o kawałku własnej ziemi.

— Będziesz miał, rotmistrzu, moje słowo, będziesz miał, ale teraz jesteś potrzebny. Potrzebne nam jest twoje doświadczenie przy tworzeniu wojska wyspecjalizowanego do strzeżenia granicy. Tych młodych chłopców wiele trzeba nauczyć. Rozumiesz? Uchyłisz się od... obowiązku? Pułkownik wiedział, jak trafić do starego żołnierza. Baranowicz zameldował się służbowo, a w oczach Jurkiewicza zabłyśły żartobliwe iskierki. Wyznaczając mu do objęcia odcinek z przejściem granicznym w ich miasteczku jeszcze raz go zapewnił, że pomoże zwolnić mu się ze służby po okrzepnięciu nowo

tworzonej formacji i uzyskać własne gospodarstwo rolne, o ile trwać będzie przy swoim zamiarze.

Sierżant Sieliczko na wieść, że ich rotmistrz powraca do wojska granicznego, sprężyście zameldował się i prosił o załatwienie mu również przydziału. Baranowicz sądził, że trzyma go tu „coś”, powiedział z naciskiem, nic dziwnego, wszak szef był wdowcem. Sierżant odpowiedział:

— Folwarcznym nigdy nie byłem, a ładne łydki i uda to ja zawsze wypatrzę, ćwiczony mam wzrok w straży, w partyzantce i w armii.

Kapitan Baranowicz początkowo mieszkał w dawnej kwaterze Ignaca. Żołnierze ucieszyli się powrotem kapitana, choć Józek wprowadzając siwka do stajni stwierdził sentencjonalnie, że ten diabeł jak weksel, puścisz go w obieg, a drań do ciebie wraca.

Burmistrz Krasicki może sam z własnego sprytu albo za cichą radą Anki przydzielił Baranowiczowi mieszkanie trzypokojowe w małym domku z ogrodem. Anka zajmowała w nim parter. Pani Anastazja powróci, tłumaczył Krasicki, nie na kwaterę, lecz do mieszkania. Urządzi się je powoli, zagospodaruje. O wszystkim i o wszystkich pamiętał, tak jak w wojsku.

Do swego mieszkania Fabian zaglądał nieczęsto, ale zawsze wtedy był gościem Anki. Nie zdobywała go jak Magda, ponieważ zdobywać właściwie nie potrzebowała. Siedząc przy herbacie i przy „miejscowym rumie” czuł się dobrze w jej obecności. Zachowywała się bezpośrednio, naturalnie. Nieraz była zła, wściekła jak osa i wtedy niczym na Starówce potrafiła rzucać ciężkim słowem. Miała trudności z ludźmi przy rozruchu i prowadzeniu huty szkła. Kiedyś nieznany sprawca zepsuł jej urządzenia, innym razem w ciemnej piwnicy o mało się nie zabiła. Wiatr zdmuchnął świecę, a jej w tej chwili jakby ktoś celowo podłożył kawał żelaznego drağa. Na górze pracowali wszyscy tam zatrudnieni. Kto był w piwnicy?

— Ja tego dziobatego esesmana jeszcze dostanę w swoje ręce. Nawet go do ciebie nie zaprowadzę, bo nie będzie kogo prowadzić.

Gdyby mówiła mając na sobie mundur, wyglądałoby to naturalniej, prawdziwiej, ale ta mocno zbudowana dziewczyna w białej bluzce i brązowej spódnicy jakoś nie pasowała do gróźb, które ciskała potrząsając głową, aż

rozwichrzyła się jej grzywa nad czołem. Powiedział to. Inka, kierowniczka szkoły, przyjaciółka Anki obecna przy rozmowie, gorąco zaprzeczyła:

— Pan jej nie zna. Widziałam Ankę kiedyś w prawdziwej bitce i to z uzbrojonymi mężczyznami.

W jednej chwili Ance przeszła złość. Z równą łatwością zmieniała nastrój.

— Prawda! — Śmiała się do wspomnień i z radości aż ucałowała przyjaciółkę. — A jak bywało w Pokorze? Nie nałożyłam włosowcowi po gębie, i co? Żyję.

Nagle ktoś przebiegł dróżkę. Diabeł zastrzygł uszami, kapitan Baranowicz natychmiast wyszarpnął broń. Kto mógł włóczyć się po lesie? Na lewo były bagna i lustra maleńkich oczek stawów. Nagle usłyszał z boku strzał i niemal natychmiast podmuch powietrza poczuł na policzku. Z prawa! Błyskawicznie położył się prawie na końskiej szyi i ruszył w tym kierunku. Diabeł ściągnięty cugłami skoczył przez gęste zarośla, poczuł pod kopytami twardszy grunt. Ruszył lekkim kłusem prowadzony wprawną ręką. Coś zamigotało w zieleni. Baranowicz prawie nie mierzając pociągnął za spust i jeszcze raz, usłyszał jakby jęk. Przedzierał się więc między gałęziami. Na łacie piasku niewielkiej wydmy dojrzał ślady stóp, które jednak niknęły w lesie, jakby ktoś zapadł się pod ziemię.

Nie było sensu kręcić się w kółko. Z dala zajaśniało między drzewami pasmo szosy. Zobaczył łązika, a przy nim kilku żołnierzy. Poznali komendanta.

— Usłyszeliśmy strzały przejeżdżając na strażnicę i zatrzymaliśmy się — meldował plutonowy. — Nikt nie przebiegał przez szosę.

Baranowicz w stronę miasteczka ruszył stępą obok łązika. Do strażnicy nie miał co zaglądać. Ignac był w objeździe swojego odcinka. Przy pierwszych domkach przedmieścia zagroził im drogę ciężarowy samochód wyjeżdżający z bramy huty szkła. Z szoferki obdrapanego grata, przez otwartą szybę wyglądała Anka, jak Wtedy, w czasie żniw. Była jednak ubrana po cywilnemu.

— Dzień dobry, rotmistrzu. — Tak go zawsze tytułowała przy ludziach.

— Może jeszcze dziś się spotkamy. Jadę do Kłodzka w interesach. Wrócę po południu. Obejrzy pan chyba jak zwykle swoje mieszkanie?

Jak zawsze śliczna, pomyślał, choć wolał ją w wojskowej bluzie. Wyglądała wtedy jakby bardziej dziewczęco. A może po prostu przestała już być ową dziewczyną sprzed dwóch lat? Szefowa prywatnego interesu, tak ją nazywał żartobliwie Ignac.

Jeden z szeregowych wziął za lejce Diabła i poprowadził na strażnicę. Koń oglądał się zdziwiony za Baranowiczem, aż ten musiał zawołać:

— Idź, idź spokojnie! Przyjdę do ciebie! Przechodząc rynkiem co chwilę podnosił dłoń do daszka połówki odpowiadając na ukłony. Pan Stanisław, łódzki szewc, siedział w drzwiach swego sklepu wygrzewając na słońcu stare kości. Fabian wiedział, że to on wtedy jako pierwszą mistrzowską sztukę w miasteczku zrobił te zgrabne, dopasowane do nóg Anki buty z cholewami. Obok, jakby w koniecznym sąsiedztwie, Ludwik Rybicki, krawiec. Niezbyt wprawną ręką ktoś wymalował szyld „Biblioteka i Muzeum Miejskie”. Owionął go mrok i chłód starych murów. Czyste schody, wypolerowane aż do błysku klamki, lśniące szyby w drzwiach z rysunkami nimf w girlandach kwiatów. — Pan dyrektor jest u siebie, panie kapitanie.

Fabian obrzucił spojrzeniem chuderlawę, ubraną w czarny fartuch dziewczątko o prostych ciemnych włosach ściągniętych gładko do tyłu granatową wstążką. Jakiś nowy nabytek biblioteczny. Może uczennica ze szkoły? Zanim położył rękę na klamce drzwi gabinetu pana dyrektora, otworzyły się same i na progu stanął Grzegorz.

II. GRZEGORZ

Szeroko rozłożył ramiona kordialnie witając przybyłego oficera. Niższy niemal o głowę od Fabiana, drobniejszy, zaczesany przedwojenną modą na bok, spoglądał na każdego jakby zawsze ironicznie zmrużonymi oczami krótkowidza z za szkielek okularów. Jeżeli tym spojrzeniem oceniał, nie krytykował, lecz klasyfikował, czynił to jak badacz z nowymi okazami.

Prowadził teraz gościa do zagraconego pokoju nazwanego z dumą „gabinetem” przez szczuplutką brunetkę. W przeładowanej, oszklonej szafie bibliotecznej z nie domykającymi się drzwiami, na jej wierzchu, na krzesłach, biurku i wprost na podłodze leżały wszędzie książki różnej grubości, wielkości i formatu. Przykurzone oczekiwały zapewne na swój czas i te w starych oprawach ze złożonymi, choć poczerniałymi, tłoczonymi literami, i te w miękkich, papierowych i podniszczonych okładkach lub nawet bez okładek obnażone jakby bezwstydnie po szyte i klejone grzbiety.

Grzegorz przeproszał za bałagan tłumacząc Fabianowi, że jest stale w trakcie porządkowania i katalogowania zbiorów powiększających się z każdym dniem. Zaliczał zapewne do nich i pożółkłe litografie powyginane od starości, obrazy bez ram lub w ramach, a nawet uszkodzone bądź tylko umorusane popiersia nie znanych Fabianowi postaci. Całości dopełniały, kapitan określił to w myślach — skorupy, a były to obtłuczone lub nieco wyszczerbione barwne talerze, wazy, wazony. Między nimi dojrzał szerniały świecznik siedmioramienny i jakby z paleniska wyciągnięty kielich mszalny. Współcześnie, jakoś swojsko czerwienił się na tym tle emaliowany czajnik z pałąkiem pozbawionym jednego nitu zastąpionym niedbałym wiązaniem z drutu, jednopalnikowa maszynka elektryczna, dwie filiżanki, z tego jedna bez ucha, oraz niebieski emaliowany garnuszek.

Pan dyrektor w fantazyjnie wiązanej, barwnej apaszcze pod szyją, w rozpiętej amerykańskiej bluzie, jakie przysyłano jeńcom do niewoli z darów Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, a pochodzących z demobilu z 1918

roku, w sztuczkowych spodniach i grubych butach nie raził w tym „gabiniecie”.

Fabian rozbawiony zauważył, że amerykańska bluza pozbawiona została wypukłych, złotem skrzących się, blaszanych guzików z godłem USA. Zastąpiły je zwykłe, choć jakby wybrane z pudełka babuni, każdy inny. Grzegorz wyjaśniał, że tamte po prostu odciął nożem. Jeżeli lubi mundury, to tylko z epoki napoleońskiej lub Królestwa Polskiego. Tamte barwne, bogate, wymyślone przez ludzi z fantazją i wyobraźnią, przypominają bardziej kostiumy teatralne niż ponurą wojenną rzeczywistość.

— Napijesz się kawy? — zagadnął kapitana, choć z góry wiedział, że jest to pytanie retoryczne. — Neska, z jenieckich paczek. Odsprzedał mi ją powracający do domu, jakiś zapewne twój dawny kolega. Sam stroniący od używek nazbierał kilka kartonów blaszanych pudełek. Nie przypuszczałem, że pozbawiony innych przyjemności męskiego wieku mógł odmawiać sobie nawet czarnej.

— Bywali różni. Szczęśliwi nie palili papierosów wymieniając je na przemywany do oflagu chleb. Trafiali się również mistrzowie ćwiczenia silnej woli. Przygotował sobie taki kanapkę z wieprzową mielonką, kładł przed sobą i mimo zaostzonego apetytu sutym — obiadem złożonym z pół litra nieokreślonej cieczy i trzech kartofli w mundurkach, oczekiwał na wyznaczoną przez siebie godzinę, by spożyć smakowity posiłek.

— Czyż to nie okrucieństwo? Tortury zadawane sobie z masochistyczną satysfakcją?

W twarzy Grzegorza malowało się zdumienie pomieszane z odrazą.

— Masz może w pewnym sensie rację — zgodził się Fabian — ale w ten sposób stawali się wewnątrznie mocni, odporni na pragnienia, a nawet wyzwoleni z ludzkich słabości.

Grzegorz milcząc nasypał po dwie łyżeczki kawy. Gościnnym gestem postawił przed Fabianem filiżankę z uchem oraz emaliowany kubeczek z wodą i cukier w pudełku po mleku w proszku.

Baranowicz mimo woli spojrzął na ręce przyjaciela. Małe, drobne dłonie doktora były zniszczone, miejscami czerwieniły się na nich blizny. Zauważył

to zaraz po zapoznaniu się, prawie rok temu. Grzegorz wtedy i później zwykle zręcznie starał się ukrywać dłonie przed wzrokiem kapitana. Teraz też odszedł szybko z filiżanką od biurka do okna.

Nastąpiło misterium przyrządzania kawy sposobem jenieckim, który Grzegorz przejął od Fabiana. Na kawę sypano łyżeczkę cukru, wlewano kilka kropel zimnej wody i tę masę w milczeniu cierpliwie ucierano. Nieraz, Fabian pamięta to dobrze, „tam” przedłużali owo misterium ponad potrzebę, ale w tej czynności pozbawiali biegnący czas jego bezsensu oraz odczuwali pełną przyjemność, na którą czekali zwykle do określonej pory. Ukrop z czajnika nalany na utartą masę pienił się jasno i wydawać się mogło, że jest to kawa z mlekiem. Beżowy kożuch przykrywał smolistą ciecz. Neska pozbawiona jest aromatu kawy ziarnistej, ale... od czego wyobraźnia.

Grzegorz podsunął Fabianowi blaszane pudełeczko z holenderskim pejzażem na pokrywce pełne różnorodnych gatunków papierosów. Fabian znał pochodzenie tego pudełka. Opowiadał mu to niegdyś Grzegorz, gdy siadywali przy świeczce w tym samym, ale jeszcze niemal pustym pokoju z oknem zabitym deskami. Nowy dyrektor objął dopiero gmach biblioteczny i wiatr nocami hulał po jego na poły zrujnowanych pomieszczeniach. Dostał pudełko w prezencie od niemieckiego żołnierza, starego wiekiem człowieka, który szedł w długiej kolumnie jeńców do obozu. Żołnierz zrazu nie poznał Grzegorza, ale ten pamiętał wachmana. Niegdyś ów wachman pilnował grupę zatrudnioną przy umocnieniach, w której pracował Grzegorz jako przymusowy robotnik. Tylko tyle powiedział wtedy o swoich ostatnich wojennych losach. Grzegorz widział, jak nie ogolony, stary człowiek człapiący podartymi buciorami po błocie pochyla się po dostrzeżony na jezdni niedopałek papierosa. Głód nikotyny bywa bardziej dolegliwy niż brak chleba. Nie mógł znieść tego widoku. Zrównał się z landszturmistą i bez słowa wcisnął mu do ręki zmiętą paczkę polskich tryumfów. Odszedł szybko, choć tamten za nim wołał. Na kolumnę natknął się po raz drugi na dworcu. Czekali na transport koczując na peronie. Jeniec dostrzegł przechodzącego Grzegorza, zagadnął pilnującego ich polskiego żołnierza. Tamten wzruszył obojętnie ramionami. Stary podszedł i wyciągnął w stronę Grzegorza jakiś

przedmiot.

— Proszę, niech pan weźmie na pamiątkę. Mam je z czasów pierwszej wojny światowej. Wtedy też byliśmy w Holandii. Kupiłem w sklepie z fajkami.

Grzegorz nie wzdragał się przyjąć prezentu, nawet z przyjemnością go zatrzyma, odpowiadał tamtemu, też będzie mu wiele przypominać. Uśmiechnął się przy tym. Dopiero wtedy landszturmista poznał Grzegorza. Jakby skurczył się, zmałał, chciał coś powiedzieć, ale począpał z powrotem do swojej grupy.

Bibliotekarz nie wyjaśnił przyczyny, dla której zatrzymał pudełko, a Fabian, człowiek dyskretny, nie pytał. Grzegorz zresztą nigdy nie mówił nic o sobie, a ich dyskusje, toczone nieraz godzinami, zwykle miały charakter wymiany oderwanych myśli. Fabian podobnie był wstrzemięźliwy w sprawach osobistych. Tak jest nieraz lepiej i wygodniej, wtrącił kiedyś Grzegorz w rozmowie, bo nie obciąża się męskiej przyjaźni, czy nawet dobrej znajomości, nie byli ze sobą jeszcze po imieniu, bagażem najczęściej połamanych gratów. Na podstawie jakichś fragmentów z życia drugiego zupełnie nieraz podświadomie próbuje się go oceniać, co jest największą bzdurą. Na to trzeba wiele materiału, obserwacji własnych, niemal wnikliwych studiów, by móc wyprowadzić ogólniejsze wnioski.

Fabian wziął teraz do ręki blaszane pudełko, mimowolnie zamyślił się. Wybrał camela. Przyzwyczał się do jego smaku i lekkiego szumu w uszach po głębokim hauście dymu.

Grzegorz powrócił do przerwanej rozmowy na temat ludzi ćwiczących silną wolę.

— Wiem, że takie ćwiczenia są potrzebne, jak i mocni ludzie. Świat bez nich byłby lichy, ale nie lubię mocnych, a raczej czuję wobec nich lęk, choć najczęściej mnie nudzą. Zbyt są jednolici, wyrzeźbieni w bryle kamiennej bez szczelin.

— Wolisz takie „dziesięć deka różnaitości”, jak niegdyś sprzedawano w wędliniarniach?

Grzegorzowi rozbłyły w uśmiechu oczy.

— Coś w tym rodzaju. Zawsze lubiłem zachodzić po porcję różnaitości

do wędliniarni w czasie studiów. Była to ulubiona potrawa akademików, taka właśnie loteria. Nigdy nie wiadomo, czego ci się więcej trafiło, czy okrawków z szynki, czy „dupek”, pamiętasz, tak nazywano końcówki salcesonu, krwawej kiszki lub kiełbasy.

Żartowali przypominając sobie drobiazgi z życia przedwojennego, a właściwie z ich młodości. Na pewno, podkreślił bibliotekarz, ich dzieci, o ile następców się w ogóle doczekają, gdy będą starymi koźmi, też z przyjemnością będą wspominać nawet to miasteczko podobne do amerykańskiego osiedla z czasów „gorączki złota”.

Grzegorz kochał książki, ale był wobec nich bardziej wścibski niż w stosunku do ludzi. Chciał wiedzieć możliwie najwięcej o ich losie, pochodzeniu, wędrowności. Włączył się między repatriantami na stacji, węszył za książką, przeprowadzał karkołomne transakcje, gdy dowiedział się, że ktoś wiezie ze sobą choćby jedną, jedyną w worku tułacza.

Początkowo, zaraz po pojawieniu się Grzegorza w mieście, te jego myszkowania zdały się podejrzane. Na pytanie: „Właściwie obywatel czego tu szuka?”, odpowiadał pytaniem: „A obywatel chciałby poczytać wieczorem, przed snem, jakąś ciekawą powieść? Gdy otworzą szkołę, przydadzą się książki i biblioteka w mieście”.

Rozmowa toczyła się w punkcie repatriacyjnym i Anka była jej świadkiem. Tego samego dnia poszła do sierżanta Krasickiego.

Burmistrz, człowiek ostrożny, różnych ludzi w swym życiu widział, po różnych drogach chadzał, spojrzał na Ankę. Pokręcił głową. Poznał dziewczynę w wojsku, doceniał jej stosunek do chorych, rannych, znał odwagę, zamaszystość, co to aby tylko... a w gębę strzeli, ale i prostoduszność w rozpoznawaniu zamiarów i intencji. „Słuchaj, a jeżeli to jaka wredna mordą, jak to mówią — wróg klasowy?” Miała dla niego szacunek, ale wtedy popukała się palcem w czoło. Sierżant się nie obraził, bo taka już była ich sanitariuszka.

Obiecał sam porozmawiać z podejrzanym typem.

Ponieważ sierżant i w wojsku, i jako burmistrz nigdy spraw na „święty nigdy” nie odkładał, więc tego samego dnia nie tylko odnalazł Grzegorza, ale

porozmawiał jak gospodarz miasta z nowym mieszkańcem. Mimo że tamten skory był do żartów i kpinek, jednak sierżant Krasicki doszedł do wniosku, że intuicja nie zawiodła Anki.

Grzegorz miał dokumenty w porządku, a jeden nawet przedwojenny. Burmistrz z szacunkiem obejrzał dyplom Uniwersytetu Jagiellońskiego. Na fotografii gęba ta sama, a podmienić zdjęcie, przy takim stemplu, były sekretarz gminy dobrze się na tym znał, nie dałoby rady. Znaczący mieli w mieście nie byle kogo, doktora. To ja cię teraz, serdecznie, nie puszcę, obiecał sobie sierżant w myślach, z miasta ty mi nie uciekniesz.

Zagadnął Grzegorza, co chciałby robić. Na to tamten po swojemu, że najchętniej nic, bo już się zmęczył swoimi czterdziestoma paroma latami. Sztuki to sobie możesz stroić, burmistrz był człowiekiem dobrodusznym, ale cię podejść jak kaczkę na polowaniu.

Pierwszy strzał się nie udał. Szkołę prowadzić? Grzegorz miał tak komiczną minę, że Krasicki długo się śmiał. Drugi strzał był celny. Biblioteka? Sierżant jak w wojsku potrafił poznawać po oczach, czyś kurę ukradł, czy tylko ktoś cię posądził. Oczki tego doktora zaświeciły się niby u kota w nocy, latarniami okrągłymi wpatrywały się w twarz sierżanta. Chcesz mieć chleb bez zakalca, to go ugniataj.

Pod ramię wziął burmistrz Grzegorza i prościutko, jakby już dawno obmyślał plan założenia biblioteki, poprowadził go przed ciemny, ponury gmach świecący we wnętrzu pustkami. Bał się trochę, czy tamten go nie wyśmieje, bo to i dziury po pociskach szczybiły ściany, i różnych rupieci po pospiesznej ewakuacji miejskich władz niemieckich, uciekających przed nadchodzącymi wojskami polskimi, walało się po wszystkich kątach. Grzegorz nie tylko nie ironizował, ale nagle stał się poważny, a nawet jakaś surowa zaduma ściągnęła mu twarz.

— Pan mi to chce dać? Naprawdę?

— Jeżeli tylko obywatel doktor — burmistrz z szacunkiem go tytułował — będzie chciał wziąć ten gmach na bibliotekę?

— Tu może być biblioteka oraz przyszłe muzeum.

Grzegorz z tym muzeum wystrzeżił na wszelki wypadek, bo obawiał się,

że z czasem kogoś tu dokwaterują, gdy zrobi już porządek.

— Idziemy do ratusza!

— Po co? — spłoszył się Grzegorz.

— Po papiery. Napisane, z pieczętką, znaczy ważne, serdeczko. Urzędowo, jak u mnie w gminie.

Wieczorem Grzegorz odszukał Ankę w punkcie repatriacyjnym.

— Ładnie tak urządzić człowieka? — mówił z pogrzebową miną do zaskoczonych dziewczyny. — Nie wolno mi swobodnie bąków zbijać w mieście?

Nie rozumiała. Coś musiał pokręcić sierżant. Zmieszana jąkała, a Grzegorz wyciągnął z kieszeni dwa dokumenty z pieczętkami i podpisami burmistrza. Mówił, że będą one leżały w gablocie pod szkłem w hallu budynku, gdyż są unikalnymi pomnikami piśmiennictwa obu narodów. W tym momencie odwracając na drugą stronę swą nominację na dyrektora biblioteki i muzeum pokazał zdumionej Ance jakieś zarządzenie niemieckie, które wykorzystał jako papier skrzętny gospodarz spod Stryja.

— Tu ma pani charakterystykę dwóch narodów, po jednej powołanie polskiej placówki kulturalnej, a po drugiej zarządzenie szczegółowe o ograniczeniach, którym podlegają polscy przymusowi robotnicy. Nawet do parku mają wstęp wzbroniony! Nie ciekawe to? Niemal symbol, odwrócenie dosłowne jednej karty.

— Chyba tak, obywatelu dyrektorze — niepewnie odpowiedziała Anka.

Już na drugi dzień przechodząc rynkiem ujrzała przybity wielkimi gwoździami arkusz tektury z napisem „Biblioteka i Muzeum Miejskie”.

Grzegorz od pamiętnego aktu, dokonanego przez sierżanta Krasickiego, inaczej go nie witał spotykając na ulicy, jak tylko:

— Czołem, obywatelu prezydencie!

Na tłumaczenie i napominanie nieco trwożliwie rozglądającego się sierżanta, by kto nie posłyszał i na pośmiewisko wystawił, Grzegorz odpowiadał nieodmiennie, a uparcie:

— Dla mnie obywatel jest jeszcze więcej niż prezydent. Obiecuję, że w hallu stanie pana popiersie, jakem Krzycki herbu „kolejarz”.

Sierżant w końcu go unikał, co widząc Grzegorz stwierdził, że tylko tacy

skromni, cisi ludzie odbudują wielki ten kraj i piękny.

Teraz już oficjalnie z „bumażką” obywatela prezydenta zawiniętą w gazetę, by się nie zniszczyła, spokojnie, nie nagabywany przez żadnego podejrzliwego funkcjonariusza, chodził między ludźmi, by uzupełnić bibliotekę dla miasta. I w tym określeniu „uzupełnić” był cały Grzegorz. Do pokoiku, który zajął w pustym i podrujnowanym gmachu, przytargał ze sobą skrzynkę z napisem UNRRA zawierającą dwadzieścia trzy książki. Był skrupulatny. Każdą z tych książek opatrzył kolejnym numerem w znalezionym w rupieciach brulionie, który od połowy zaczął zapisywać nie wrywając poprzednich kartek z niemieckimi notatkami. Zrobił wykaz autorami i tytułami, podkreślił grubym ołówkiem i zaznaczył „pierwsze książki w mieście przeznaczone do muzeum, jako wieczna pamiątka nowo założonej biblioteki”.

Trzy były jego własne, kupione w Warszawie przed samym Powstaniem na wózku okupacyjnego księgarza, chłopaczka nieledwie, a obeznanego wyśmienicie z posiadanyim dobrem. Grzegorz stał niezdecydowany spoglądając na rzędami ciasno leżące do góry grzbietami książki. Nie mieszkał w Warszawie, a właściwie nie mieszkał nigdzie. Poszukiwali go od roku, gdy zerwało się jakieś oczko w polskiej siatce wywiadowczej w Berlinie i pan doktor filologii germańskiej ledwo uszedł z życiem. Nie pochodził ze stolicy Rzeszy, ale mówił akcentem rodowitego berlińczyka.

Kiedyś, gdy zobaczył po wyzwoleniu po raz pierwszy Fabiana na ulicy granicznego miasteczka i ocenił go krótko, że to jeden z tych „wrześniowców” przybyłych z oflagu, zapragnął poznać wrażenia żołnierza z 1939 roku, który po raz pierwszy ujrzał z bliska wkraczające obce wojsko. Słuchał później opowiadania, którym już Fabian podzielił się z Ignacem. W szklach lornety polowej oficera polskiego ukazały się kolumny wrogów najeżdżających kraj.

Grzegorz to wszystko widział od tyłu, jakby siedział na zapleczu sceny, niewidoczny dla aktorów i dla odbiorców sztuki. Zakonspirowany i doskonale urządzony w 1938 roku śledził wraz z innymi właśnie ze stolicy III Rzeszy przebieg przygotowań, ostatnie nerwowe posunięcia, rozkazy dla wielkich jednostek wojska koncentrujących się na granicy. Wywiadowcy polscy znad niemieckiej granicy słali alarmujące wieści. Warszawa otrzymywała konieczne

informacje. Według legendy, z pochodzenia Szwed, obywatel meksykański, nie był zbyt podejrzany, jeżeli potrafił zachować właściwe zasady gry. Pracował spokojnie, systematycznie, jak na pracownika naukowego przystało. Myślał, że już trzeba związać manatki albo podjąć decyzję ostateczną, gdy pod koniec 1939 roku rozbito grupę wywiadowczą „Grunwald” operującą na terenie Niemiec, następnie bliski zdekonspirowania był po aresztowaniach toruńskich. Wreszcie jednak, prawie przed sylwestrem 1943 roku...

Grzegorz dla rodziców był za granicą, wierzyli, że walczy w wojsku polskim. Nie wiedzieli tylko, że syn ich nie lubił wojska, mundurów i żołnierskiego drylu. Nieraz, jeszcze na studiach, myślał o wojnie, o tym, ile przecierpi człowiek, gdy czeka na śmierć wyjąca pociskami artyleryjskimi, na śmierć, która przychodzi podczas bolesnego konania od ran szarpanych brzucha czy zmiażdżonych kończyn. Wolał dlatego walkę cichą, na inteligencję, prowadzoną na rozumy, na obliczenie każdego posunięcia, a nie na broń palną. Zawsze był przygotowany na ucieczkę donikąd, śmierć cichą, z której przyspieszaczem, maleńkim preparacikiem, nie rozstawał się nigdy.

W Berlinie nosił krótko strzyżone na języka włosy i w złotej oprawie okulary. Na fotografii dyplomowej z 1930 roku był bez okularów, miał wtedy jeszcze dość gęstą czuprynę, czesaną według ówczesnie panującej szkolnej mody na bok, nad czołem. Ledwie meszek sypał się na górną wargę.

Zanim zmienił skórę i stał się obywatelem meksykańskim, przybyłym do Niemiec ze Szwecji z legalnym paszportem, był nie znanym nikomu, stroniącym od towarzystwa, a szczególnie od kobiet, pracownikiem w jednej z wielkich bibliotek naukowych w Warszawie. Zawsze z pasją lubił poznawać świat nie ruszając się z miejsca. Brał książkę, a mówiła mu wszystko o sobie.

Tę pasję znali jego przyjaciele. Nie wie do dziś, który z nich był bezpośrednim sprawcą późniejszych losów. Może Władek? Władek oceniał go rzeczywiście jako doskonałego znawcę Niemiec, nie tylko filologa. To on poradził mu, by uciekał z Krakowa do Warszawy. „Tu zbyt wielu doktorów, jesteś jak jedno małe jabłuszko na ogromnym drzewie, aż uginającym się od nadmiaru najlepszego gatunku owoców”. Wiedział zresztą, że grozi mu

zniszczenie, zagłada przez „Egipcjanke”, ale to już inna sprawa. W bibliotece w Warszawie szybko się na nim poznano, ceniono jego dociekliwość i nawet przebąkiwano o karierze naukowej na Uniwersytecie Warszawskim. Kiedyś poproszono go do gabinetu dyrektora i poznano z pulchniutkim mężczyzną przedstawiając go jako pułkownika. Wicedyrektor biblioteki zostawił ich samych.

Oficera drugiego oddziału sztabu bardzo interesowały Niemcy. Chciałby dla pewnej osoby dać legendę, a jednocześnie bardzo dokładne informacje, nawet sięgające zamierzchłej przeszłości o dwóch arystokratycznych rodach. Zrozumiałe, że doktor musiał podpisać zobowiązanie o ścisłym zachowaniu tajemnicy. Takich naprawdę ciekawych i zabawnych dla niego poszukiwań wykonał kilkanaście. Poproszono go kiedyś do skromnego mieszkania, w którym gospodarzył pułkownik wraz ze swoją sekretarką. Grzegorz aż drgnął, tak podobna była do „Egipcjanki”. Pułkownik nieznacznie się uśmiechnął. Podobieństwo, mógł ocenić to szybko, było złudne. Pani Wanda, właściwie panna Wanda, miała znacznie większe poczucie humoru od tamtej, mniej dąsów i fochów i wkrótce wszystko między nimi ułożyło się bezpośrednio i koleżeńsko, pracowali razem przygotowując się do wyjazdu do Niemiec.

Pamięta lato 1938 roku, gdy przed wyjazdem pozornie na studia za granicę pojechał do Nowego Sącza do rodziców. Od ucieczki do Warszawy systematycznie przysyłał im zawsze trochę grosza i wpadał na pewien czas. Ojciec wizyty syna wraz z matką przyjmował tak, jakby święto nastąpiło w rodzinie, ale burczał gniewnie za przysyłane pieniądze.

— Cóż ty, w ten sposób chcesz jak obcemu spłacić zaciągnięty dług na studia? Twarde miał rysy twarzy, ręce i poglądy ten robotnik kolejowy w warsztatach naprawczych. Grzegorz widział wtedy rodziców po raz ostatni.

Po wyzwoleniu, gdy tylko zaistniała możliwość, z Dolnego Śląska na bardzo krótko wyrwał się do Nowego Sącza przysięgając obywatelowi prezydentowi, że tu na pewno wróci i nigdzie szczęścia szukać nie będzie, bo każde miejsce pod jednym polskim namiotem z gwiazd jest równie dobre, o ile człowiek to miejsce uzna za swoje. Sierżant rozumiał potrzebę odwiedzenia rodziców i nawet jakiś papier wymalował z pieczęcią i podpisem,

by wszelkie władze i tak dalej. Krasicki znał się na wojennych porządkach, a cenił u doktora, choć żartowniś i wydrwić lubi, tę więź, która mu nie dała usiedzieć i pchała do swoich.

Na miejscu zatrzymał się Grzegorz krótko, tylko tyle czasu, ile mu potrzeba było na drogę na cmentarz, odnalezienie grobu i załatwienie z proboszczem sprawy przysyłania kilkunastu złotych na utrzymywanie miejsca spoczynku w przyzwoitym stanie. Wiedział, że tu już nigdy nie wróci. Nie umiał rozmawiać z martwym, niemym kamieniem czy odarniowanym wzgórkem piachu. Od proboszcza odebrał pamiątki, czyli przedmioty dla nikogo nieprzydatne. Reszta, użytkowa, normalną koleją losu służy ludziom bez względu na to, czy w ich posiadanie weszli legalnie, czy drogą zaboru. Grzegorzowi nawet na myśl nie przyszło prowadzić dochodzenie, skarżyć się, procesować. Nauczył się, że przedmioty zmieniają właściciela. Z pewnym nawet szacunkiem myślał o złodziejach, powiedział to proboszczowi ku jego zgorszeniu, że nie okazali się wandalami i przekazali na plebanię kilka zdjęć oraz starą książkę do nabożeństwa księdza Dunina, którą Grzegorz pamiętał jeszcze z dzieciństwa, jak leżała na komodzie, na serwetce ręką matki haftowanej, przy polerowanym, niby na srebrny wyglądającym krzyżu.

Gdy pociąg ruszał ze stacji, Grzegorz otworzył okno i spoglądał na tonące w czarnym dymie bramy parowozowni. W jej halach poprzez ów dym świeciły żółte ślepie lokomotyw. Kręciły się w cieniu olbrzymów drobne figurki w granatowych kombinezonach bez twarzy, tylko z maską sadzy. I nie na cmentarzu, ale tu Grzegorz odnalazł wizerunek ojca.

Sierżant-prezydent był fizjonomistą, psychologiem. Jedno spojrzenie na powracającego doktora wystarczyło zamiast pytania. Ten, jakby rozumiał życzliwość starego żołnierza, równie bez słowa pokazał mu wspólne, pożółkłe zdjęcie rodzinne i ojca przy lokomotywie. Nawet Fabianowi nigdy tych zdjęć nie pokazywał.

Tego wieczoru, po powrocie z Nowego Sącza, przy świeczce, sam w ponurym, głuchym gmachu siedział za biurkiem w swym pokoju spoglądając na leżącą przed nim książkę do nabożeństwa jego matki w tekturowej oprawie z ramką blaszaną pośrodku, miejscem na obrazek. Nigdy nie

pamiętał, by w ramce był kiedyś obrazek, a i matka tego nie pamiętała. Grube kartki, powyginane, pożółkłe, druk wyraźny, litery do czytania bez okularów, wydana w Kaliszu w 1844 roku. Obok niej leżały jego własne, jedyne książki: wspomnienia z Legii Cudzoziemskiej oraz vademecum wojskowego lekarza, brata Perzyny.

Powrócił wraz z tymi swymi trzema książkami do wspomnień warszawskich. Stał wtedy pochylony nad wózkiem księgarza niepodobny ani do berlińskiego wcielenia o krótko strzyżonej czuprynie, ani do zdjęcia na dyplomie, który wtedy właśnie odzyskał. Paliły się na granicy rumuńskiej tajne akta, ale złożony do pewnej skrytki dyplom doktora, który musiał zmienić skórę, ocalał. Miał w Warszawie zapadłe policzki, dawno nie strzyżone włosy, od kilku dni nie golony zarost. Wyglądał na włóczęgę w brudnym, wymiętym prochowcu, z ręcznikiem i mydłem zawiniętym w „Nowy Kurier Warszawski” sterczący mu spod pachy. Było to nowe, wyrozumowane przez Grzegorza wcielenie doktora. Przenosił się z miasta do miasta, wzywany odpoczywał w dobrze zakonspirowanych mieszkaniach, by studiować przedstawione mu raporty, doniesienia agentów lub po prostu czytać różne niemieckie gazetki frontowe. W ten sposób niejednokrotnie rozszyfrował agenta SD lub Abwehry albo ustalił dane dotyczące osoby interesującej polski wywiad. I znów znikał, by zgubić ewentualnego obserwatora. Miał znajomości wśród bezdomnych, nawet tych z dna, u których, bywało, mieszkał po kilka dni. W Warszawie, oświetlonej przez gestapo niby latarnią, czuł się najpewniej, bo pod latarnią najbezpieczniej.

Właściciel ruchomej księgarni widział jego zapadnięte, zarośnięte policzki i pałające zza okularów oczy. W Niemczech używał szkieł tylko do czytania. Odczuwał chłopak, że dziwny klient kupiłby cały jego towar, chciał mu więc zrobić przyjemność, a pamiętać należy, że sprzedawcy mieli doskonale opanowaną znajomość psychologii... praktycznej.

— Mam tu takie starocia jakiegoś księdza czy zakonnika Perzyny z 1791 roku.

— „Przypadki czterdzieści i cztery cyrulictwa wojskowego...”

Grzegorz przytknął do nosa pożółkłe, chropowate kartki.

— Myśli pan, że z jakiejś spalonej biblioteki?

— Nie, lubię ten zapach...

— Rozumiem. — Nie było to powiedziane na odczepnego, by przypodobać się klientowi, ten chłopiec już wiedział, że ma do czynienia z kimś, kto pracował wśród starych książek. Sprzedał ją i namówił do nabycia dwu innych, o porwanych barwnych okładkach, wspomnienia z Legii Cudzoziemskiej. Na jednej pyszniła się twarz ogorzałego sierżanta w kepi francuskim, z charakterystycznym płóciennym ochraniaczem od słońca na kark, a druga była bez okładki.

Z tymi trzema książkami wyjechał z Warszawy na tydzień przed Powstaniem. Wzywali go do Krakowa w jakiejś pilnej sprawie, a tam już po jej załatwieniu w najgłupszy sposób dał się złapać w ulicznym polowaniu na ludzi na roboty fortyfikacyjne i wywieziony został tu, w pobliże Nysy Łużyckiej. Jechał z kennkartą fałszywą... na własne nazwisko, z dyplomem i trzema książkami. Byli traktowani nie jak więźniowie, lecz jak robocze bydło, więc mógł w tym nędznym tłumie, sam równie do nędzarza podobny, kryć się jak w najlepszym konspiracyjnym lokalu.

Grzegorz poddał się z pokorą losowi współtowarzyszy niedoli. Z wykształcenia i predyspozycji intelektualista, z woli kraju w niebezpieczeństwie — wywiadowca, z przypadku — członek wspólnoty niewolników, zaczął mimo wszystko wierzyć w ocalenie.

Straszna, przerażająca była zimowa ofensywa radziecka na ich terenie. Żołnierską krwią szczodrze, aż za szczodrze, myślał nieraz Grzegorz, nasiąkł biały śnieg. Zdobywano w niepojętym dla cywila boju miasta, miasteczka i wsie Dolnego Śląska i tracono je, by z powrotem odzyskać. Zaciętość wzrastała po obu stronach. Ignac ani Anka czy nawet „pan prezydent” nie mogli dostrzec w grupie snujących się po gruzach nędzarzy wychudłej postaci późniejszego „dyrektora”, gdy wojsko polskie wchodziło na ziemie Dolnego, jak nazywają, Zielonego Śląska. W panicznym strachu schował się uciekając do piwnicy jakiegoś rozwalonego domu, na jakiejś ulicy jakiegoś miasteczka. Dlatego to powtarzające się określenie na nieokreśloność? Ścigany traci świadomość, zostaje mu tylko instynkt. Nim wiedziony Grzegorz ukrył się

przed uciekającymi w popłochu Niemcami, by wyrzeć, gdy wypędził go z kryjóWKi głód, i wtedy dostrzegł wymalowane czerwone gwiazdy na czołgach. Zemdlał. Na pewno z głodu...

W kilka miesięcy potem snuli z Fabianem wspomnienia, toczyli długie dyskusje. O miłości czysto teoretycznie, zastrzegał się Grzegorz. Stary oficer wyczuwał, że za „teorią” tkwi, niby drzazga w żywym ciele, ktoś...

Nie mylił się. Dawno temu „świeżo upieczony” magister gotów był nie podnosić się z klęczek, żeby dozwolono mu wpatrywać się w skośne nieco oczy o długich rzęsach lekko przykryte jakby napuchłymi powiekami. Łuki brwi jeszcze bardziej napełniały jej smagłą, owalną twarz tajemniczością wschodniej królowej, ożyłej jakby ze starych waz egipskich. Czy on pierwszy nazwał ją „Egipcjanką” na zabawie żeńskiego liceum, tego nie dowiedział się naturalnie nigdy. Może sama idąc ze szkolną wycieczką w wielkich wołokowych papuciach na nogach przez sale Muzeum Narodowego dostrzegła siebie w podobiznie Nefretete. Ściągała kruczoczarne włosy z czoła i ze skroni do tyłu ugniatając je początkowo, przy białej szkolnej bluzce, w wałek ciężko opadający na kark, a gdy po małej maturze rzuciła szkołę, upinała przedziwnymi zwojami w kok. Na pewno Grzegorz nie był oryginalny, gdy wpraszał się psimi oczami i bąkanymi słowami o możliwość „spotkania pani”. Zdziwiona, spojrzeniem druzgocącym, że śmiał się odezwać i zaproponować wulgarną, a choćby tylko banalną „randkę”, początkowo zawiesiła go w próżni odpowiedzią „może”, wreszcie uszczęśliwiła, „niech czeka w pobliżu szkoły, ale niezbyt blisko”. Czekał, dreptał, potraçał ludzi i był potraćany, aż wreszcie dojrzał ją w tłumie roześmianych dziewcząt w rozpiętych granatowych paltach, jako że słońce przypiekało. Szła radosna, ale radością opanowaną, jej usta złocił uśmiech. Dojrzała go, jej spojrzenie padło na bukiet kwiatów. Minęła bez słowa odwracając oczy, a Grzegorz wrósł ze zdumienia w chodnik. Opuścił wzrok, czując, jak palą go policzki. Zaraz został ukarany głosem pełnym niezadowolenia:

— Cóż pan tak stoi jak na wystawie? Chce mnie pan narazić na drwiny koleżanek?

Później tak samo, jakby wzorem tego pierwszego spotkania, układały się

ich sam na sam w tłumnej ulicy Grodzkiej, na Plantach w towarzystwie zasłużonych, a teraz człapiących emerytów, czy latem nad brzegami Wisły. Najpierw miażdżące słowo, później uśmiech, zachęcające do mówienia jej milczenie i znów odruch zniecierpliwienia, łaskawie podana dłoń do pocałowania, którą szybko cofała. Nieraz całował tylko rękawiczkę, a i to wydawało mu się podarunkiem iście królewskim.

Uczył się jak wariat nie dla siebie, lecz przeciw sobie, by czas zszedł możliwie szybko do następnego spotkania, choć nie zmieniała przyjętej reguły gry, chyba uzupełniała ją tylko, wyznaczając mu chwile wspólne to częściej, to znów przetrzymywała go do miesiąca. Musiał przysięgać, że nigdy za nią nie pójdzie, nie będzie jej śledzić ani dowiadywać się o bliższe szczegóły. Niech będzie szczęśliwy za to, co mu daje. Wiedziała, jak igrać z Grzegorzem. Oceniała bystro skurcz zniechęcenia lub błysk zniecierpliwienia w oczach i wtedy nagle stawała się miła, a kiedyś w czasie spaceru nad Wisłą podstawiła mu wewnątrz dłoni do pocałowania, której prawie — tak to określiła — nie zżarł. Innym razem odwróciła się na pięcie pozostawiając go na środku Plant i krokiem płynnym, niemal nie dotykając stopami kurzu na asfalcie, odeszła. Próbował się zrównać, coś powiedzieć, ale nie zdążył, bo ukosem rzuconym spojrzeniem prawie uderzyła go w twarz. Odnalazła go później sama, on wierzył — przypadkowo, inny może sądzić, że po kryjomu go szukała. Wiedziała o jego drodze z Uniwersytetu do głodnej kuchni dla inteligencji, do biblioteki publicznej, gdzie miał pracę na godziny, czy do jednego męskiego liceum. Tam odbywał grupowe korepetycje dla mało pojętych w germańskim języku. On był naturalnie tak oślepiiony, że mówił jej o sobie wszystko, do tego zresztą zachęcała łaskawie. Widziała jego podcerowane, choć zawsze czyste rękawy marynarki, ścięte obcasy. Dawkowała zabawę. Kiedyś chciała grać w zielone i przez listek pozwoliła mu się pocałować w usta. Po czym uciekła.

I trwało to... trzy lata. Wysechł na szczapę, spoglądał na ludzi spode łba ponurymi oczami, trawiła go nieraz gorączka, jakby miał zapalenie mózgu, coraz rzadziej zajeżdżał do Nowego Sącza i nie chciał widzieć spojrzeń rzucanych mu ukradkiem przez matkę, w których wyczytał niepokój, a u ojca

— wyrzut. Nie chcieli się wtrącać, mężczyzna po studiach.

Kraków nie Nowy Jork, łatwo się nie zgubisz i łatwo się nie urządzisz. Dziewcząt nawet po maturze już w tym czasie, przed wojną, namnożyło się, a miejsc pracy i dla mężczyzn nie starczyło. Kiedyś będąc w nowej dzielnicy miasta i nie chcąc tracić czasu zaszedł po drodze do dużego zakładu fryzjerskiego. Na prawo salon męski, na lewo — damski, Ujrzał „Egipcjanke” w białym fartuchu pochyloną nad pulchną łapką zażywej damy o prosiaczkowatej urodzie. Szczebotała coś do tamtej wesoło, przymilnie, śmiały się jej oczy i usta. Ile dałby za taki uśmiech przeznaczony dla niego!

Wycofał się gwałtownie na ulicę. Zaproponuje jej natychmiast małżeństwo, nie pozwoli, by tu pracowała. Nie oznaczało, że uważał tę pracę za poniżającą. Była jak każda inna, uczciwa, ale... nie dla jego „Egipcjanki”. Chodził w pobliżu zakładu, aż się ściemniło, bez uprzedzenia zawalił swój dyżur w bibliotece, myślał, że może ją zaczepi, później... odprowadzi chyłkiem do domu. Nie odprowadził. Zakład zamknięto, wyszły dziewczęta tam pracujące i mężczyźni. Chłopiec od fryzjera wybiegł na ulicę w samym swetrze i za chwilę sprowadził taksówkę. Grzegorz spacerując po ulicy dłuższy czas dostrzegł przez wystawową szybę starszego, o niezłej tuszy pana siedzącego za kasą w rezurze. Teraz, nie mylił się, ten sam obejmując konfidencjonalnie jego „Egipcjanke” prowadził do taksówki. Nie nowy banał wpisał los w życiorys Grzegorza? Płakał w poduszkę przez całą noc.

Na spotkanie wyznaczone nie poszedł, szykował się do obrony pracy doktorskiej. „Egipcjanka” była okrutna. Zjawiła się na publiczną rozprawę z tym samym właścicielem rezury. Władek okazał się jak zawsze serdecznym przyjacielem. Pracę doktorską obronił rok wcześniej, ale wraz z innymi kolegami, z którymi kończył Grzegorz studia, przyszedł jako ochrona osobista delikwenta. Dojrzał pierwszy „Egipcjanke” i ostrzegł go.

— Nie patrz w stronę środkowego okna.

— Przyszła?

— Tak, i chyba w towarzystwie. Trzymaj się.

Cała wściekłość, którą od dawna dusił w sobie, wyzwoliła nagle zimny spokój, lodem spływający od mózgu po czubki palców u nóg. Profesorowie

uśmiechali się życzliwie do tego inteligentnego, błyskotliwego chłopca, choć tak straszliwie zabiedzonego.

Chciała chyba do niego podejść, ale ścisłym kołem otoczyli go koledzy, wyprowadzając z okrzykami, śpiewem i zaciągnęli na wódkę.

Rano, z bardzo obolałą głową, nagle wybity ze snu, dojrzał nad sobą roześmianą gębę Władka.

— Wsadź łeb pod kran, oblej się dobrze zimną wodą i lecimy do Sukiennic. Za pół godziny jestem umówiony z pewnym profesorem z Warszawy. W stolicy już wiedzą o geniuszu i czekają na ciebie za bramą z kaktusów, czy Bóg wie jeszcze z czego.

Biegli ulicami, Władek naglił do pośpiechu, ale raptem Grzegorz stanął, jakby wrósł w stary kamień.

— Władek!

Tamten zdetonowany obrócił się.

— Co masz gębę jak u nieboszczyka? Mdli cię po wódce?

— Nie udawaj, chcesz mnie wywieźć z Krakowa. Z rozmysłem!

I wtedy, właśnie dlatego później nieraz Grzegorz myślał o przyjacielu, że go podrzucił wydziałowi sztabu w Warszawie, Władek podszedł blisko, prawie dotykając jego twarzy. To nie był ten sam wesoły szalaputa. Miał twarde, stalowe oczy.

— Nie pozwolimy ci się zmarnować. Ona cię zniszczy. Nie da uciec na odległość pięknej swojej łapki, bo lubi się bawić, a może na wszelki wypadek trzymać w rezerwie. Twój starzy zbyt dużo włożyli w ciebie i ty sam w siebie.

— Czyj to rozkaz? — Grzegorz raptem buńczucznie się postawił.

Władek natychmiast zmienił się na twarzy. Oczy trysnęły humorem, ryknął śmiechem na całą ulicę, aż przechodnie obejrzeliby się na nich ze zgorszeniem.

— Twoich najbliższych przyjaciół, bałwanie! Tu twoja tajemnica nie jest żadną tajemnicą, a stary ten gród jeszcze za Młodej Polski widział podobne przypadki geniuszów, którzy schodzili na psy i zebrali po knajpach o postawienie kieliszka wódki na zgryzotę. — Pociągnął go za rękaw palta. — Lecimy, bo nie wypada, by profesor czekał na doktora.

„Egipcjanki” więcej nie spotkał. Grzegorz nigdy nie chwalił się silną wolą. Miał takie momenty, że czekałby nieraz pod zakładem gotów i w błocie ulicy paść przed nią na kolana, prosić. Władek z kolegami nie opuścili go jednak ani na chwilę. Niektórzy jakby się nawet wymieniali. Profesor łaskawie prosił o przyjazd do Warszawy. Biblioteka będzie zaszczycona, tak powiedział, mieć młodego, zdolnego doktora filologii germańskiej. Dał mu bilet wizytowy z rekomendacją. Miał tam tylko wejść i usiąść do pracy. Władek wręczył mu pożyczkę i biegał z nim po sklepach, by kupić najniezbędniejsze rzeczy z ubrania, bielizny, toalety. Stale podkreślał: „Nie może wyglądać byle jak doktor Jagiellonki”. Po raz pierwszy w życiu miał solidnej roboty walizkę. Wieczorem znów siedzieli w knajpie i odprowadzili go do domu, by rano obudzonego zatargać na dworzec i wsadzić do wagonu. Machali kapeluszymi, gdy pociąg ruszył, śpiewali „Gaudeamus igitur...”

Nigdy nikomu Grzegorz tego nie opowiadał, tak jakby starał się zapomnieć, wymazać z pamięci czasy berlińskie. W zwojach mózgowych te dwie sprawy miały nałożone pieczęcie „ściśle tajne”.

Niuchając teraz stale po mieście w celu zdobycia nowych książek dla prawdziwie swojej, nowej biblioteki i to na odzyskanych ziemiach, Grzegorz słyszał to i owo. Jego też zaciekała osoba Fabiana. Zagadnął go raz na ulicy, zaprosił, by pokazać swoje własne królestwo, tymczasowo prawie bez książek. Stał mu się bliski ten oficer.

Zauważył zabiegi Anki wobec Fabiana i zrazu nastroszył się na dziewczynę, zanim ją bliżej poznał. To jednakże nie był typ „Egipcjanki”. Szczera, serdeczna, może rzeczywiście po prostu polubiła rotmistrza.

Z sympatią spoglądał też na Ignaca, jak i na jego żołnierzy. Niejeden zaglądał do niego do biblioteki. W kurs poszły pustynne przygody, później zdobył właśnie dla nich całą trylogię Sienkiewicza, wysupłał z tobołków tułaczy zaplątanego Prusa, a kiedyś otrzymał dar o wadze skarbu.

Tak, to zdarzyło się w sierpniu 1945 roku po odjeździe Fabiana na folwark. Zatrzymał się transport powracających oficerów, może nawet kolegów Fabiana. W jednym z wagonów Grzegorz dojrzał dużą, solidną skrzynię. Biblioteka, wyjaśnili.

— Nie zostawicie tu ani jednej książki, w pierwszej napotkanej na ziemi Piastów bibliotece polskiej? — Ignac zmrużył oko do Anki słuchając przemówienia Grzegorza.

— Już otwarto bibliotekę? Ledwie odzipnęliście?

— Proszę do miasta... — Gestem prawdziwego gospodarza zapraszał „pan prezydent” równie chytry, jak Grzegorz. A nuż komuś się tu spodoba i zostanie? W powiecie mózgow trzeba. Nie zdobyli magistra prawa i rotmistrza, i doktora? Sierżant stale miał nadzieję, że trafi się taki, który chciałby otworzyć szkołę, bo z rodzinami zaczęły napływać dzieci. Miał też ogromną ochotę usidlić jakiegoś lekarza. Wojsko daje, co może, szpital zorganizowało w powiecie, ale dojeżdżają tu tylko sporadycznie wojskowi lekarze. Anka prowadzi punkt sanitarny, jednak cóż to znaczy wobec potrzeb. Tu potrzeba siać, orać, ale i odbudowywać, karmić, leczyć i uczyć.

Oficerowie, do których wystąpił Grzegorz z taką przemową, spojrzeli po sobie i kilku poprosiło o pokazanie biblioteki. Pysznił się jak paw dyrektor wysupłując z gazety nominację napisaną na odwrocie niemieckiego zarządzenia. Ubawiła, ale i rozrzewniła ta nominacja. Siwawy porucznik oglądał ją z ciekawością.

— A, psiakrew — któryś machnął ręką — niech książki w polskie ręce powracają. Przytargali skrzynię do biblioteki. W ponurym gmachu uczyniło się niespodziewanie przytulnie i radośnie. Chodzili, oglądali królestwo doktora, sierżant musiał się pochwalić Grzegorzem. Ot, co, kto prowadzi bibliotekę? Doktor z Krakowa. Z Krakowa? Obsiedli go ułani z krakowskiej brygady kawalerii generała Piaseckiego. Ignac mrugnął na sierżanta, sierżant na plutonowego, plutonowy na znajdującego się pod łokciem Józka Kuraka, który tylko wąsami ruszał patrząc łzawo na ułanów z Krakowskiego. Józek, jako że nie miał już na kogo mrugnąć, kopnął się ile sił w nogach po smorodiniówkę, by móc szybko wrócić i dalej słuchać, jak to niegdyś bywało. Nie rozlewał jej w butelki, szkoda zachodu, przytargał całą blaszankę od benzyny.

— Wymyta — zastrzegał nalewając do szklanek.

Sierżant nie zdobył lekarza, ale doktora weterynarii ugłaskał.

— U was są konie? — pytał zdziwiony wysoki dryblas.

— A jakżeby, od cholery w całym powiecie, a doktora nie ma w trzech powiatach nadgranicznych. A obywatel porucznik przypadkiem...

— Weterynarz.

— Jezu Nazareński — sierżant aż złożył ręce jak do modlitwy — co mam dać? Wszystko co porucznik chce, konie, krowę, bryczkę.

— Indyczkę — dorzuciła ubawiona Anka.

— Cicho siedź, interesu nie psuj.

Szklanki napełniały się serdecznie. Anka później wraz z Ignacem żartowali, że sierżant spił porucznika lekarza weterynarii, który przysięgał, że ze złotym, najzłotszym gospodarzem miasta na skraj świata pójdzie, bić będą razem każdego, kto pod rękę się podwinie, a między jednym chlast pałaszem a drugim dwa konie i trzy krowy opatrzy.

— Co to dla niego — żartowali koledzy z oflagu — on u nas nawet i ludzi leczył i, co dziwniejsze, nikogo szlag nie trafił.

— A nie trafił, bo od lewatywy i aspiryny nikt jeszcze nie umarł.

Porucznik lekarz Adam Krępacki stał się czwartą cenną zdobyczą poza Fabianem, doktorem i Edmundem. Pozostał w mieście ów prezes prowadzący pierwszy transport repatriantów. Piątej nikt nie zdobywał, bo przyjechała sama ku osłupieniu sierżanta Krasickiego, jako kierowniczką szkoły, ale to już inna sprawa. Tego wieczora jednak żartując, rozmawiając i śpiewając jednocześnie, przybyli wydobywali swoje skarby ze skrzyni. Dech wszystkim zaparło w piersiach, gdy czytali tytuły: Kisielewski „Ziemia gromadzi prochy...”

— Jakby dla was — szepnął któryś z oficerów.

A później okazało się, że mają Sienkiewicza „Krzyżaków”, dwanaście ksiązek Walerego Przyborowskiego z kolorowymi wklejkami.

— Ułani, niech mnie krew zaleje — sapał oglądając zdumiony Józek — jakie konie, bierz za uzdę i do stajni, jak żywe prowadź.

Grzegorz roztrzęsionymi rękami brał każdą delikatnie, jakby była ze szkła. Modli się, czy co? — przemknęło przez myśl Ance. On rzeczywiście, jakby miał do czynienia ze skarbem największym, wodził palcami ruchem

niewidomego po grzbietach, okładkach, kartkach.

— Skąd wieziecie to bogactwo? Z waszej biblioteki jenieckiej?

Popatrzyli na siebie, by wywołać większe wrażenie.

— Uwolniliśmy je z więzienia. Znalezione zostały, naturalnie jest ich tu tylko część, w ruinach wypalonego ogromnego gmachu dyrekcji policji w Monachium. Zostały zrzucone do cel więziennych, w piwnicach. Spójrzycie na stemple bibliotek. Aresztowane w Warszawie w czytelni na Lesznie, na Wileńskiej, Solnej, Krochmalnej, a też w Toruniu, Gdyni, Katowicach.

— Rodziewiczównę również zamknęli i Konopnicką, Wańkowicza... — Grzegorz wymieniał nazwiska. — Żeromski do kompletu ze swoim „Wiatrem od morza”. Właściwie powinni zamknąć wszystkich, jeżeli chcieliby zwyciężyć.

Podporucznik Ignacy Wyrwa wyciągnął rękę.

— Dajcie mi chociaż potrzymać tę książkę z biblioteki z Leszna. — Grzegorz zdziwiony podał mu Gustawa Morcinka „Wyrąbany chodnik”. — Może nie tę samą, ale taką właśnie w czasie okupacji pożyczył mi jeden chłopaczek z naszego podwórka.

Dziwnie jakoś odezwał się ten oficer. Tylko Anka знаła jego losy, a Fabiana przy tej rozmowie nie było. Z zaciekawieniem, a może z szacunku dla wspomnień uciszeli się. Przylepiona do blatu od stołu świeczka, jako że znów w mieście zgasło światło, dopalała się, a Józek trzymając w ręku nową nie chciał się ruszyć, wstawić w dogasającą, by nie przerwać swemu dowódcy.

— Szkoda — zakończył Ignac — że nie mógł dojść z nami nad tę rzekę i nad tę granicę.

Sięgnął po papierosa, nerwowo pociągnął łyk dymu, a Józek nagle zerwał się i wetknął wielką świecę w ogarek tamtej. Na chwilę ciemność zapadła w pokoju, ale już plutonowy Zalewajko trzasnął w draskę pudełka od zapalek i nowy knot jasnym płomieniem rozproszył mrok.

— Już widzę — Grzegorz rozumiał, że musi przerwać to grobowe milczenie — jak te książki przywiezione przez panów z hitlerowskiego więzienia będą leżały w gablotach naszego muzeum.

— Muzeum? — Krępacki wybałuszył oczy. — Stary! O jakim ty muzeum

gadasz? W tych ruinach?

— Cicho, Adaś! — Sierżantowi też już kurzyło się z czuba. — Chodź, pokażę ci nasze muzeum. Miało nie być w planach tego wiesz, z wąsikiem — Polski, a jest Polska. Są ruiny, będzie muzeum. Wiesz dlaczego? Bo tam, gdzie Polska, musi być szkoła, biblioteka i muzeum. Taki my właśnie naród ciemny, bez pomysłu i kultury, ot co. Pamiętaj, stary sekretarz gminy spod Stryja ci to mówi, koński konowale.

Grzegorz poderwał się. Józek w mig zrozumiał sytuację. Wetknął doktorowi w rękę drugą świecę, którą miał w zapasie. Plutonowy zapalił. Jak hierarchia, to hierarchia. Droga służbowa zachowana. Sierżant wstał.

— Porucznik z doktorem prowadzi. Grzegorz wraz z Ignacem, zwracając uwagę reszty na schody, walające się belki i dziury w podłodze, szli korytarzami, a dyrektor biblioteki i muzeum wskazywał.

— W hallu będzie mapa regionu i biało-czerwono malowane słupy białe nad Nysą. Pod nią gablota z otrzymanymi od obecnego prezydenta miasta dokumentami pozwalającymi powstać i rozwijać się tej placówce polskiej kultury. W następnej sali — prowadził do tak zrujnowanego pomieszczenia, aż wszyscy nieco strwożeni zbili się w gromadę na progu — gabloty z pierwszymi książkami zdobytymi do biblioteki, każda ze swoją historią, bo każda swoje przeżyła, jak człowiek. Tu będą wystawione z odpowiednią legendą książki z cel więziennych monachijskiego prezydium policji i nazwiska panów tu obecnych, ofiarodawców. Gdyby znalazł się rzeźbiarz, pośrodku tej sali postawiłby postument, realistyczną rzeźbę, młodego oficera młodego wojska polskiego z książką.

Powracali do pracowni, w której rozmawiali uprzednio. Do Grzegorza podszedł wtedy starszy wiekiem porucznik, dotychczas milczący, dla niepoznaki tylko sięgający po szklanę.

— Panie doktorze — odezwał się wreszcie — trzeba mieć ogromnie rozwiniętą wyobraźnię, fantazję i romantyzm, by w tej ruinie zahipnotyzować nas tak, że przez moment ujrzeliśmy muzeum, nawet tę rzeźbę.

— I wiary trzeba — dodał Ignac.

— Tak, tak, młody człowieku, trzeba mieć wiarę nigdy nie mijającej

młodości.

Grzegorz jakby z daleka, niby urządzeniem pelengacyjnym wychwytywał znany ton, który zabrzmiał w ustach posiwiąłego porucznika. Z trudem próbował odnaleźć w jego rysach twarzy kogoś znajomego. Później zrozumiał. To nie był konkretny człowiek, którego znał, ale przedstawiciel świata, gdzie niegdyś Grzegorz się obracał. Poczł na swoim ramieniu dotyk jego dłoni.

— Doktorze, oczekuję pana na swoim Uniwersytecie w Poznaniu. Może pan się zarzekać. Wiem, musi pan skończyć, co pan zaczął, nauczyć, wychować następcę, ale później... natychmiast zameldować się u mnie.

Sierżant mimo lekkiego rauszu zastrzygł niespokojnie uszami. Doktora mu chcą zabrać? Adaś nie dał mu się martwić.

— Prezydencie, szklanki puste, a koniarze nie lubią mieć sucho w gardle.

Wychodząc już z biblioteki sierżant szepnął Grzegorzowi do ucha:

— Ale o moim popiersiu tam, w korytarzu, nie mówiłeś? Cygan z ciebie.

— Jakże mogę mówić o żywym?

— To lepiej go długo nie stawiaj. Pies tańcował z popiersiem.

Na pożegnanie uściskał mu mocno dłoń i już zupełnie trzeźwy zmrużył oko zbliżając twarz do twarzy Grzegorza. Szepnął konspiracyjnie:

— Interes zrobili? Zrobili. Ty masz książki, ja weterynarza, który ledwie się trzyma schodów, ale to lepiej, bo rano transportem nie odjedzie w Polskę. Gdzie będzie miał więcej koni i krów? A i prosiaki się znajdują, i parę buhajów dywizja dowiezie... Nie martw się, doktorze, abyśmy tę zimę przeżyli.

Dlaczego Krasicki raptem pomyślał w sierpniu o zimie, tego Grzegorz nie wiedział. Może jako zapobiegliwy gospodarz zawsze myślał, naprzód.

Grzegorz nieraz powracał myślami do rotmistrza. Niemal codziennie siedzieli godzinami w bibliotece rozmawiając na różne oderwane tematy. Grzegorz nieraz zastanawiał się, co zdecyduje Fabian. Sześć lat w obozie jeńców mogło go nieco oderwać od polskiej rzeczywistości, która się zmieniała. Doktor mimo wyraźnego zaproszenia do Poznania też wolał się stąd nie ruszać. Nie miał pewności, w jaki sposób odniosą się nowe władze do byłego pracownika wywiadu. A jeżeli go będą podejrzewali, że prowadzi w

dalszym ciągu robotę wywiadowczą, teraz z kolei przeciwko nowemu ustrojowi? Czy wreszcie człowiek nie ma prawa zdemobilizować się? On uważał się za zdemobilizowanego, a Fabian...

Któregoś dnia Baranowicz dzwoniąc ostrogami wszedł do pracowni muzealnej, by się odmeldować. Jechał na folwark. Obiecywał wpadać do miasteczka. Serdecznie wyściskali się i dyrektor obiecał zorganizować ruchome biblioteki w terenie.

— Słuchaj — zapalił się nagle do tego pomysłu — pod zaborem, nawet w czasach hitlerowskich polski księgarz na Opolszczyźnie, któremu pozwolono sprzedawać książki, ale zabroniono mieć sklep, jeździł samochodem nigdzie nie zatrzymując się dłużej niż godzinę. Obroty miał niespodziewane i ledwie nastarczył z zaopatrzeniem się w nowe pozycje.

— Wreszcie go pobili i pewnie spalili samochód?

Grzegorz jednak, jakby nie dosłyszał, ciągnął dalej:

— Na Pomorzu w czasie okupacji stare babiny wypracowały metodę działania operatywnego bibliotekarza. W koszyku, pod kartoflami, przenosiły polskie książki niczym granaty. Nie myliły się. To był dynamit! Sienkiewicz, Prus, Żeromski, Orzeszkowa, Konopnicka szły z ręki do ręki, od domu do domu. Ludzie, których wdeptano w błoto, odzyskali godność ludzką dzięki polskiej literaturze. Książka zwyciężyła. Dlatego i za wami muszę pójść z książką, do polskich gospodarstw, bo potrzebny jest tam fundament pod nowe domy.

Fabian słuchał zwykle oszczędnego w słowach przyjaciela i rozumiał go doskonale w tej chwili rozstania. Próbował zagadać żal, chciał sam siebie zalać potokiem słów.

Grzegorzowi po odjeździe rotmistrza nie uszła uwagi żadna wieść o przyjacielu. Wychwytywał informacje o jego wynikach gospodarowania na folwarku oraz plotki na temat Magdy i czuł, że nie są one plotkami. Odmiana w sposobie bycia, błyski oczu Fabiana za sprawą Anki, wiedział, że na pewno maczała w tym palce, cieszyła go. Uśmiechał się tylko wyrozumiale. Dziewczyna nie jest głupia, choć ryzykowała dość dużo. Nie każdy potrafi znieść końską kurację.

Fabian w miasteczku zjawiał się raz i drugi, ale na krótko, by tylko zabrać przygotowane przez Grzegorza książki, więc i rozmowy nie trwały długo. Bywało, podprowadzony podstępnie przez Grzegorza unikał wszelkich rozmów na temat kobiet i uczuć. Kiedyś rotmistrz spacerując po pracowni dostrzegł oparty o ścianę nieznanego malarza akt kobiecy bez ram. Sięgnął po obraz, podszedł z nim do okna.

— Wypożyczyć ci go do pałacu? Może nawet i ramy gdzieś znajdę.

— Po co? Nie pasuje do... całości.

Śmiał się Grzegorz po wyjściu przyjaciela. Kraków nie Nowy Jork, a ich powiat... Z czasem dojrzał znów nową odmianę w zachowaniu Fabiana. Przychodził, ociągał się z odejściem, choć z niepokojem spoglądał na zegarek. Miał ochotę zostać, jak dawniej. Grzegorz już wiedział. Czuje na sobie silną rękę i trochę zaczyna mu to ciążyć. Tylko raz w ciągu tych trzech miesięcy Fabian jak zwykle, w sposób oderwany, wspomniał coś o potrzebie przeżywania radości, o pięknie, którego pozbawieni podobni są do kalek, ściślej — ślepców. O Anastazji nie wspominał, choć Grzegorz wiedział, że zagląda na pocztę, śle listy w poszukiwaniu żony. Znał rotmistrza ich stary, pierwszy w mieście listonosz chodzący jeszcze w wojskowym uniformie, z opaską na ramieniu z napisem „Poczta Polska”. Pan Ambroży zawsze spotykając Fabiana smutniał, ale i pocieszał.

— List w drodze, panie rotmistrzu.

Na temat Anki nigdy Fabian nie wtrącił ani słowa. Grzegorz kiedyś spoglądając z kamienną twarzą na spieszącego się jak zwykle przyjaciela poderwał się nagle zza biurka, podbiegł do szafy bibliotecznej. Szukał czegoś, aż zwała się na ziemię sterta ciasno ułożonych książek. Znalazł wreszcie i uśmiechnięty położył przed Fabianem na biurku stary, zniszczony egzemplarz.

— W niewoli udoskonalileś język francuski. Znalazłem w oryginale piekielnie stare wydanie powieści Pierre’a Louys. Setnie świętuszy, ale... jak to robi! Co za język, ile w tym artystycznego smaku, a też ironii przy ogromnej, aż kipiącej z niego radości życia.

Fabian niezdecydowanie przerzucał kartki i jakby o czymś innym myśląc

wrzucił książkę do torby. Grzegorz był prawie pewien, że idylla na folwarku nie potrwa długo.

Zwykły tusz, zimny i gorący, jak przy grypie.

Kiedyś wbiegł do biblioteki sierżant Krasicki. Sapał, kłął i machinalnie zapalił podanego papierosa.

— Wiesz doktor, co się stało?

— Znów kogoś okradli lub ograbili?

— E, to znów nie taka sensacja, i to na głowie milicji, nie mojej. Niech oni się martwią. Przysłali mi z województwa kierownika szkoły!

— Powinien się cieszyć z tego prezydent, a widzę, że go szlag trafia.

— Cieszyłbyś się, cieszył? To zobacz — spojrzał w okno — idzie tu to cudo. Z tego mam się cieszyć?

W kierunku biblioteki, w towarzystwie Anki, szła na ukos przez rynek drobna dziewczynka o ciemnych włosach, gładko zaczesanych do tyłu, w przykusym granatowym paletku. Maleńka główka, blada cera, szczupłe ramiona i chude nogi dopełniały obrazu, który tak przeraził Krasickiego. Mogła mieć nie więcej niż siedemnaście lat, określił ją Grzegorz obserwując z dość dużej odległości.

— To dziecko ma być kierownikiem szkoły, a Anka zupełnie zwariowała z radości z tego powodu. Ta, ludzie na jakim my żyjemy świecie!

Zamilkł raptem słysząc zbliżające się kroki i wzięwszy pierwszą z brzegu książkę umieścił się na skrzyni w drugim końcu pokoju udając wielkie zainteresowanie.

Do pracowni śmiejąc się już od progu wkroczyła Anka obejmując ramieniem ciemnowłosą dziewczynę. Przez moment Grzegorz zdążył zlustrować drobną postać. Przesadził burmistrz, na pewno mogła być w wieku Anki. Dostrzegł duże, ciemne oczy w ramie czarnych rzęs i łuki brwi, jakby nawisie nad smutnym, poważnym spojrzeniem. Na nieco zapadniętych policzkach wykwitły różowe placki może z nadmiaru wrażeń, a kto wie, czy nie z gorączki. Uśmiechała się tylko ustami za dużymi w stosunku do drobnej twarzy. W porównaniu do Anki, okazu zdrowia, wyglądała niczym rekonwalescentka po długiej chorobie.

— Doktorze, przedstawiam panu kierowniczkę jeszcze nie otwartej szkoły, a moją najlepszą przyjaciółkę z czasów najcięższych, po prostu Inkę. Widzisz tego złośliwie uśmiechającego się mężczyznę? — mówiła żartobliwie teraz do dziewczyny — to najbardziej w Polsce zwariowany bibliotekarz, cudotwórca widzący to, czego nikt inny nie widzi, a przy tym... samo serce. Pomoże ci zawsze.

Grzegorz ujął małą, lodowatą nieco drżącą dłoń dziewczyny, ucisnął, by poza słowami dodać jej w ten sposób otuchy. Może się niczego nie obawiać, wszyscy z utęsknieniem na nią czekali, a na dowód radości jest tu obecny pan prezydent, który pierwszy przybiegł z wesołą nowiną. Krasicki odczuł naganę w głosie Grzegorza. Raptem chwycił go żal na widok tej biedoty. Widział, że drżała i pod spojrzeniem Grzegorza, ciepłym w tej chwili i serdecznym, opuściła oczy.

— Dziękuję panom, myślę, że podołam.

Burmistrz cisnął w kąt książkę, zerwał się i coś tam dodawał do słów Grzegorza. Zaraz zawoła dziewczęta i co starszych chłopaków, którzy zbijają bąki albo nowo sprawione szyby, i dziś jeszcze wysprzątają pomieszczenia szkoły. Krasicki od dawna krzątał się koło budynku szkolnego. Miał nadzieję, że tak jak zawsze 1 września usłyszy głos dzwonka. Dzwonek dostał od księdza kapelana, który urządził się w powiecie. Burmistrz odnalazł ławki, kazał je ustawić w klasach. Sam doglądał zawieszenia tablic, a murarze pod jego kierunkiem łatali w ścianach wyrwy od pocisków, blacharze dziury w dachu. Nawet zduna znalazł wśród żołnierzy. Odkurzyć tylko, zamieść jeszcze salę i klasy to już drobiazg, na trzy godziny roboty. Jutro zebranie, za dwa dni pierwsza lekcja.

— Z całą szkołą? Jestem tu zdaje się sama?

— Doktor ci na początku pomoże.

Grzegorz uczuł narastające w nim zbrodnicze instynkty. Zabiłby, gdyby mógł, tego kaprała w spódnicy. Otrzymał jednak tak uwodzicielski uśmiech w darze, że jedynie westchnął, by stłumić wybuch. Naturalnie, stary frant sierżant uważał, że rozwiązanie doskonałe, ale ponieważ biblioteka też była jego oczkiem w głowie, zaraz obiecał poszukać pomocy bodaj w

województwie. Tymczasem dzieciaki będą chodziły co drugi dzień ucząc się w klasowych grupach łączonych.

Grzegorz zrozpaczony opadł na fotel po wyjściu gości mając nadzieję, że strachem przed jego ucieczką z miasta zmusi burmistrza do szybkiego znalezienia nauczyciela.

Mógł się nie obawiać, że sierżant nie dotrzyma słowa. Słowo tamtego to więcej niż niejednego przysięga. Pod wieczór powrócił burmistrz do biblioteki, zdał relację o postępujących porządkach w szkole i o rozbębnieniu po mieście zarządzenia wzywającego na jutro rodziców z dziećmi. Grzegorzowi zrobiło się wstyd. Ten starszy człowiek marzył, by w jego mieście rozlegał się co rano głos szkolnego dzwonka, a on upierał się jak muł. — Wiesz, doktorze, w ten sposób wraca życie, nadzieja na jutro. Głos dzwonka! Inka jechała z Krakowa z uczuciem czekającej ją klęski. Nic na to nie poradzi. Ostatnio o ile coś odmieniało jej los, to zwykle na gorszy. Nieraz stwierdzała z przykrością, że w czasie okupacji czuła się szczęśliwa. Na pewno, to był koszmar, co działo się na ulicy, ale Inka posiadała własne, hermetycznie zamykane pokoje, do których nie miało dostępu gestapo. Kończyła liceum w grupie najbliższych koleżanek, na tajnych kompletach. Uczyła się i wtedy nic dla niej nie istniało.

Z radością, ale z jakąś pokorą dopuszczenia do wtajemniczenia, podawała rękę dziekanowi podczas przyjęcia na studia uniwersyteckie. Spotkania na wykładach na komplecie, próby intelektualnych dyskusji i znów pokoik, jej własny, w którym leżąc na tapczanie w otoczeniu książek znów się uczyła. Nie dopuszczała myśli, co może stać się jutro. We wszystkich tych pokoikach „jutro” miało być piękne.

Snuli plany, marzyli o 1 września, kiedy sami jako nauczyciele wejdą do klas pełnych rozradowanych uczniów. I przyszła odmiana. Powstanie. Miała do skończenia studiów jeszcze jeden rok na filologii polskiej. Krwawe trzydzieści dni Starówki, wraz z matką. Samotne czepiały się siebie podczas wędrowki w tłumie „cywilnych jeńców”, otoczone zwyczajcami. Nie miały w swej nieznannej karcie krzyżyka oznaczającego w przeznaczeniu koniec wędrowki, przeżyły nawet Pruszków. Oderwali ją od matki. Bała się o chorą

na serce bardziej niż o siebie. Zamknęli ją w obozie niewolników mających budować fortyfikacje. Czy Ankę pamięta? Nieraz z matką później modliły się, by ocalała w czasie walk frontowych. Inka nieraz niemal modliła się do Anki pamiętając moment wyprowadzenia z obozu.

Po wyzwoleniu wsi Pokora pojechały do rozbitej Warszawy na krótko. Właściwie Inka pojechała tam tylko po to, by być przy śmierci matki i pochować ją w grobie rodzinnym. Kolega ze studiów spotkany na ulicy wziął jak bezwolne dziecko za rękę i wsadził do wojskowego samochodu jadącego do Krakowa. Tam mieszkał ich profesor z Warszawy. Dzięki spotkanemu koledze i profesorowi mogła w sierpniu tego roku zdać większość egzaminów. Większość? Musiała gdzieś mieszkać, nie miała gdzie i wtedy powiedziano jej, że na ziemiach zachodnich z upragnieniem oczekują nauczycieli. Profesorowie chętnie przystali na ten projekt. Brakujące dwa egzaminy zda za rok. Teraz dostaje w pełni uzasadniony urlop dziekański.

Przerazili ją w Katowicach, dokąd otrzymała skierowanie z Krakowa, wręczając nominację na kierownika szkoły podstawowej w pogranicznym miasteczku. Nie podoła takim obowiązkom. Młody człowiek załatwiający sprawy personalne stwierdził oziębło:

— Nie takie obowiązki młodzież bierze dziś na swoje barki — co znaczyło krótko „nie piszcz, nie nudź i bierz się do roboty”.

Podwiózł ją wojskową ciężarówką nieznany chłopak w mundurze. Pokazywała mu nawet skierowanie, ale nie dlatego ją wziął. „Chcesz jechać? To wsiadaj!” Gadał bez przerwy prowadząc wóz, aż na moment zapomniała o strachu, o spotkaniu z tym, co ją czeka. Ledwie zeskoczyła z samochodu i podziękowała szoferowi, który życzył jej najlepszego, wpadła w ramiona masywnej dziewczyny w mundurze, która omal że nie zgmiotła ją w uścisku.

— Inka! Nasza figurka z porcelany!

— Anka!

Ścisnęły się i całowały, ale wtedy ludzi to nie dziwiło. Spoglądano na takie sceny, jak na coś najnormalniejszego. Może ktoś tylko z żalem pomyślał: „Znów znalazły się najbliższe, a ja...” Anka od razu spostrzegła zabiedzenie przyjaciółki i jej strach. Znów ścisnęła ją i całowała jak wariatka.

Słusznie to zauważył przechodzący burmistrz, gdy dowiedziała się o nominacji na kierownika ich szkoły podstawowej. Zawołała burmistrza, przedstawiła mu Inkę i podetkała pod nos przydział. Właśnie wtedy sierżant coś burknął i wściekły pobiegł do biblioteki. Ince w oczach stanęły łzy. Nie takiego spodziewała się przyjęcia.

— Z Warszawy jesteś, nie pękaj! — Chwyliła dłoń Inki i pociągnęła w stronę budynku biblioteki. Wchodząc objęła silnie ramieniem i przytuliła do siebie. Powracając paplały jak to dwie dziewczyny. Anka opowiadała jej o doktorze, człowieku mądrym i bardzo dobrym. Nie, odpowiadała na pytanie Inki, jeszcze się w nim nie zakochała, ale tylko dlatego, że wylałby na pewno jej na głowę strumień zimnej wody. Burmistrz ma złote serce, choć pysk od ucha do ucha, pamięta go jeszcze z frontu. Z Warszawy jest tu młody podporucznik, chłopak zamaszysty i ostry. Pozna też pana prezesa, magistrą prawa, obecnie kierownika oddziału PUR. Bardzo inteligentny i przystojny mężczyzna, ale lepiej trzymać się od niego z daleka. Nie, nie zajęty przez nią, ale robi wrażenie hipnotyzera, co połyka drobne dziewczynki, ma wzrok węża.

O Fabianie nie wspomniała dlatego, że nie mieszkał w miasteczku.

Pierwszy dzwonek w szkole! Przechodnie odwracali głowy, a Józek, odkomenderowany na ten dzień, wysadził rękę za okno i dzwonił, długo dzwonił.

Na otwarciu roku szkolnego w obecności rodziców zjawiła się cała miejska elita polityczna, wojskowa, naturalnie na czele kroczył w wyczyszczonym i na ten dzień odprasowanym wojskowym mundurze sterżant-burmistrz. Grzegorz miał jeden lichawy garniturek, w którym chodził tylko przy wielkiej okazji. Włożył go teraz i wiedział, że kłaść go będzie musiał zawsze idąc na lekcje. Wzrok dzieci jest podobny do wzroku wywiadowcy. Dostrzeże także brudną chusteczkę w kieszeni nauczyciela. Ku uciesze burmistrza widzącego również bystro, co dzieje się wokoło, Grzegorz miał nawet wyczyszczone buty. Bał się ogromnie za Inkę.

Od pierwszego wystąpienia bardzo wiele zależy. Zdziwiła go pewnością siebie, choć mówiła do rodziców i dzieci łagodnie, serdecznie i spokojnie.

Anka wlaźła w kąt sali zaciskając dłonie, prawie raniąc je paznokciami.

Przegadały pół nocy przed tym uroczystym otwarciem. Zastanawiały się razem, co właściwie nauczycielka ma powiedzieć zgromadzonym ludziom, tułaczom z całego świata, którzy znaleźli dom. Wieczorem zaglądnęły do Grzegorza. Żelazkiem na drzewny węgiel, takim z dymnikiem, prasował spodnie. Najpierw dowiedziały się, że żelazko to eksponat z muzeum, wypożyczony do celów praktycznych. Później musiały wysłuchać prawdopodobnych losów żelazka, aż wreszcie zażenowany zaskoczeniem go przy tak wulgarnej czynności, powiedział Ince krótko:

— Panienko, mów do nich nie z książek, tylko z serca. Książki są dla takich zramolałych bibliofilów jak ja. To, co nauczyłaś się na uniwersytecie, jest wiedzą przeznaczoną dla ciebie. Do nich masz mówić tak, jakbyś razem z nimi żyła. Bez infantylizmu, próby jakiegoś zniżania się do ich poziomu. Nie jesteś panienką ze dworu, która dla rozrywki przychodzi uczyć dzieci w czworakach.

Anka zajęła parter willi na przedmieściu. Piętro stało puste. W tym trzypokojowym mieszkaniu właściwie koczowała w jednym, należycie posprzątanym i urządzonym. Na urządzenie dwóch następnych nie miała czasu. Siedziały teraz na tapczanie zasłanym kilimem i próbowały znaleźć wspólnie ów ton serdeczny. Mimo protestów Anka uprała Ince białą bluzkę i wyczyściła spódniczkę. Prasowała wypożyczonym od Grzegorza eksponatem muzealnym. Chodziła koło niej jak kwoka koło kurczęcia. Rano oglądała ją na wszystkie strony, układała w kok ciemne włosy dopinając szpilkami.

Teraz słuchając przemówienia Inki jakby odprężała się powoli. Spoglądała po twarzach rodziców. Ktoś tam siąkał, inny wycierał nos. Znaczy słowem trafiła w samo serce.

Grzegorz ponad tłumem ludzi skinął Ance głową. Uznawał, że cel został osiągnięty. Uspokojona wyszła ze szkoły na ulicę i prawie pobiegła w stronę swojego schroniska dla repatriantów. Na pewno przed punktem sanitarnym ustawiła się jak zwykle kolejka, ale Anka była dziś na rozpoczęciu roku szkolnego niemal jak matka.

W listopadzie nadeszły zmiany, które ściągnęły Fabiana do miasta.

Pierwszą jaskółką tych zmian był burmistrz, przeniesiony do rezerwy. W cywilnej marynarce, koszuli bez krawata, ale w wojskowych butach, bryczesach i płaszczu narzuconym na ramiona wyglądał żałośnie. On też czuł się niezbyt dobrze w tym zbieranym przyodziewku. Grzegorz natarł na niego stanowczo, że musi mieć porządny garnitur, płaszcz i kapelusz. Nie może tak prezentować ludowej władzy na granicy.

— Jakże tak, w długich spodniach mam chodzić? W tym błocie i po gruzach? Niepraktycznie.

— Niech pan sprawi sobie do tych butów chociaż przyzwoitą cywilną kurtkę. W tej chwili wygląda pan jak partyzant z wyciętego lasu. Nie te czasy.

Anka, jak to dziewczyna, nie potrzebowała wielkich zabiegów, by zewnętrznie przejść do cywila. Spod ciepłej wojskowej kurtki wystawała gruba, brązowa spódnica. Na jasnych włosach, jakby na przekór jednostajnemu kolorowi khaki, czerwieniła się włóczkowa czapeczka. Nawet włóczkowe rękawiczki miała czerwone i... szalik.

— Alem krasna. — Ubawiona trzepała się rękawiczką po głowie.

— Niezbyt wyraźny cel? — Nie rozumiała pytania Grzegorza i śmiała się w dalszym ciągu. — Dobry pod ostrzał chłopskich oczu.

Czas, miał Grzegorz rację, mimo optymizmu Ignaca nie nadawał się jeszcze do rozbrojenia. Tak to nazywał. Rozbrojenia zresztą żadnego nie było, tylko wielu frontowych żołnierzy szło po prostu na należyty im odpoczynek. Grzegorz uradował się z powrotu Fabiana. Jednak Anka... psiakrew, nagle palnął się w czoło. Dla kogo ona przeprowadzała tę końską kurację rotmistrza? Właściwie nie moja sprawa. Reszta sama się potoczy.

I potoczyła. Fabian znów bywał gościem w bibliotece, nieraz wpadał jak po ogień albo sam niby ogień, ale Grzegorza cieszyło to trzecie wcielenie przyjaciela. Odmłodniał wyraźnie, był znowu na koniu, a raz go nawet tak oglądał Grzegorz z okna, gdy Baranowicz przejeżdżał przez rynek na czele niewielkiego oddziału. Dobry uśmiech przebiegł po ustach zwykle ironizującego pana dyrektora biblioteki i muzeum miejskiego. Później po ukończeniu szkolenia zjawił się w mieście Ignac, a kapitan Baranowicz

gościem bywał niezbyt częstym. Grzegorz sporo widział i sporo słyszał. Przez ten rok przez jedną urządzoną salę biblioteczną przewijało się sporo ludzi z miasteczka. Zanim wymienili książkę pogadali, postękali, słówko rzucili.

Inka podrzuciła mu kiedyś Marysię, ową zabiedzoną dziewczynę, by zatrudnił ją w bibliotece. Może być tymczasowo sekretarką szefa. Z kierowniczką szkoły, jak przewidziała Anka, żył w wielkiej przyjaźni. Inteligentna, mądra dziewczyna, rzadko kiedy dająca się wyprowadzić z równowagi, spoglądała zawsze tak poważnymi oczami na Grzegorza, że ten wyłaził z siebie, wymyślał najbardziej bzdurne kalambury, żarty z serii czarnego humoru, a nawet trochę cięte, byle tylko wywołać odrobinę, iskierkę uśmiechu w tej twarzy coraz bardziej piękniejącej, ale smutnym urokiem antycznych wdów. Czasem osiągał tyle, że roześmiała się w głos i to odnotowywał jako wydarzenie. Przykładem jej stosunku do ludzi była owa Marysia. Inka zawsze znalazła jakąś wyjątkową bidulę, a cichą przy tym, że w rozpychającym się tłumie, coraz rojniej zasiedlającym wszystkie okoliczne osiedla i miasta, nie można dosłyszeć było nic, nie tylko jej próśb, ale nawet wołania. Brała taką za rękę i prowadziła prosząc o pomoc licznych znajomych.

W niedługim czasie po otwarciu szkoły w miasteczku zjawiała się pani Janina, repatriantka z kresów wschodnich. Burmistrz jak zwykle entuzjastycznie witał swoich krajanów, a dla niego każdy zabużanin to niemal krewny. Janina, tak później wymalowała na szybie nazwę zakładu, była z zawodu fryzjerką. Miała własną rezurę we Włodzimierzu, papiery mistrza cechowego. Grzegorz trochę podkpiwał, że w wyniku wojny każdy nieco, bodaj o jeden stopień, sam się awansował. Do Janiny wkrótce trafiła przez burmistrza kierowniczką szkoły przyprowadzając znów jakieś bidule, które wojna wyrwała z domu. Pani Janina, kobieta korpulentna, po czterdziestce, a dobrotliwa, miała więc wkrótce z poręki Inki cztery „panny” w zakładzie przydzielonym jej przez burmistrza. Naiwni uważaliby pomysł otwarcia zakładu fryzjerskiego w zniszczonym mieście nadgranicznym w październiku 1945 roku co najmniej za przedwczesny. Pani Janina była kobietą praktyczną. Tam, gdzie mieszkają kobiety, nie umrze z głodu

fryzjerka i manikiurzystka.

Inka przez nikogo nie mianowana stała się więc opiekuńczym duchem dziewcząt. W szkole uczyły już dwie nowe nauczycielki. Eleonora Dębińska, drobniutka siwa pani, stała się podporą dla Inki niedoświadczonej w wielu jeszcze sprawach pedagogicznych i metodycznych. Nie wiedziała lub wiedziała, ale tego nie okazywała, że kierowniczką szkoły ciepłym uczuciem otacza ją, bo podobna jest do zmarłej matki równie zawsze cichej i miłej w obejściu.

Rozwijało się życie w mieście, a Grzegorz jeszcze bardziej niespokojnie strzygł uszami, jakby chciał radarem wychwycić wszystkie oznaki świadczące, że może tym ludziom ktoś zagrozić.

Z nadzieją myślał wtedy zawsze o Fabianie i jego młodych, energicznych oficerach.

Wiść o zamachu na kapitana Baranowicza doszła go w czasie ich rozmowy przy piciu kawy. Sekretarka poprosiła dyrektora na chwilę do kancelarii. Jego stały czytelnik, ogrodnik Roman Wypych mieszkający na skraju miasteczka, przyszedł wymienić książkę. Właściwie już wybrał sobie, pani Marysia była tak dobra, że pomogła, ale on chciał coś w sekrecie powiedzieć dyrektorowi.

Fabian nie wiedział, czemu po powrocie z kancelarii Grzegorz usiadł bez słowa za biurkiem i ironicznie wlepiając wzrok w przyjaciela uparcie mu się przygląda. Zapytany z pewnym zniecierpliwieniem przez kapitana, który nie lubił takich spojrzeń, odpowiedział cedząc słówka:

— Na pograniczu siedział przez wiele lat pewien znajomy rotmistrz, na wojnie później z szabelką na wałachu za zdumionymi szkopami ganiał. Odspacerował kilkadziesiąt tysięcy kilometrów w oflagu. Ledwie trochę smaku życia poczuł w ustach, ledwie nauczył się na nowo cieszyć wszystkimi bogactwami matki natury, a już w kowboja się zabawia i za byle łachudrą, śmierdzielem, połamanym zasrańcem po lesie lata z pukawką. Czy ty masz źle w głowie? — W miarę jak mówił, podnosił głos, czego Fabian nigdy by się po nim nie spodziewał.

— Już ci donieśli? — zdążył tylko tyle wtrącić, bo Grzegorz grzmiał dalej:

— Kto ci pozwolił w pojedynkę po lesie jeździć? Nie masz samochodu i żołnierzy?

— Nie bój się, jeszcze go dopadnę.

— Dopadniesz, mówisz, ale przy tym pamiętaj, że nieraz widziałem, jak życie sław naukowych wisało na spuście analfabety. Nie chcę, by trafiło się to upartemu staruchowi, który uważa, że po swoim lesie jeździ i jest bezpieczny, paniedzieju. Jeżeli tak będziesz postępować...

Kapitan Baranowicz wstał.

— Nie omyliłeś się. Będę po tym lesie jeździł i byle, jak to mówisz, zasraniec mnie nie przestraszy, bo to mój las i mój odcinek graniczny. Wkurza mnie obcy, który włazi na mój zagon i ryje w nim jak dzika świnia.

— Uważaj tylko, by pani Anastazja zdążyła na znajomy pogrzeb.

Usiadł, ponieważ zasapał się w złości. Baranowicz nagle roześmiał się. Ze szczerego serca go zwymyślał, pułkownik na pewno zrobi zresztą to samo, gdy dowie się o incydencie, ale on brzydził się jeździć z obstawą, nie honor dla oficera polskiego. Zawsze sam konno jeździł i wyżył. Grzegorz chciał jeszcze coś dodać, ale usłyszeli, że kilku ludzi weszło do kancelarii, a później otworzyły się drzwi. Trzasnął służbowo obcasami rosty porucznik. Przepisowo zameldował swój powrót z objazdu terenu i poprosił obywatela kapitana do siebie na strażnicę. Za jego plecami Fabian dojrzał barczystego Rocha Zalewajkę, już sierżanta. Pomyślał teraz, że po przyjacielsku od Ignaca dostanie popalić.

Po ich wyjściu Grzegorz usiadł w fotelu i w zamyśleniu zapatrzył się w okno. Oni mają doświadczenie, ale tu potrzeba by zajrzeć, co pod trawką, pod darnią, a może głębiej i jeszcze głębiej. Młodzi są oni wszyscy i tacy... wojskowi. Wierzą tylko w broń w garści, w konie i w szarżę. Zamyślił się, a wpadając w prawdziwą pasję niezwykle jasno, lodowato jasno zaczynał rozumować. Sięgnął po ołówek i bez sensu zaczął kreślić jakieś esy-floresy na leżącym przed nim papierze.

III. EDMUND

Nie mylił się kapitan Baranowicz próbując odgadnąć, w jakim tonie będzie przebiegała prywatna rozmowa z Ignacem.

W czasie odprawy, w której wzięli udział obok młodziutkiego podporucznika Małynicza podoficerowie ze strażnicy, Ignac zachowywał się służbowo oschle. Wiedział o incydencie w lesie i nawet nie był tym zaskoczony. Pochwalił swego drugiego zastępcę Zalewajkę za natychmiastowe usiłowanie odnalezienia śladów sprawcy. Rzeczywiście ślady krwawienia napastnika urywały się w pewnym miejscu, jakby zapadł się pod ziemię lub został z fatalnego miejsca wywieziony. Brak było jednak na piasku śladów opon samochodowych czy kopyt końskich. Porucznik pochwalił sierżanta za natychmiastowe działanie, ale zganił za gapiostwo.

— Jesteście dupa, nie zwiadowca. Na co wam dawniejsze doświadczenie?

— Jej Bohu — tłumaczył się Roch Zalewajko — jakby na skrzydłach się uniósł.

— Nie widziałem nigdy dywersantów ze skrzydłami. Musieliście czegoś nie dostrzec.

Komendant strażnicy ostro krytykował swego zastępcę, ale sam znał podobne przypadki. Nieraz strzelano do pojedynczych żołnierzy, a nawet do patroli służby granicznej udających się na zmianę posterunków.

— Bandziory — relacjonował teraz na odprawie — zasadzają się w lasach, przy drogach lub nad brzegiem Nysy i wybierają naszych jak kaczki. Najgorzej jest z wałęsającymi się pojedynczo żołnierzami. Postrzelony nawet nie może oczekiwać pomocy. Trudno w naszych warunkach i możliwościach wyłapać wszystkich gołębiarzy.

Baranowicz odczuł w słowach „pojedynczo wałęsających się” przytyk do siebie, ale zrobiło mu się ciepło na duszy. Rozumiał, że ten zadzierzysty chłopak kipiał na niego z ledwie utajonej złości i wiedział dlaczego.

Zrewanżował się jednak natychmiast.

— Trudno wymagać, byście wyłapali wszystkich, ale choćby jednego nie można by złowić? Przydałaby się taka niteczka. Pociągniesz, a cały sweter się pruje.

Ignac uciekł spojrzeniem gdzieś w bok. Z odpowiedzi wybawił go sierżant Zalewajko.

— Łatwiej złowić kilku niż jednego.

Podniesione brwi kapitana były wyraźniejsze od pytania.

— Taki batiar może pochodzić stąd, z miasteczka — uzupełnił sierżant.
— Pójdzie w las, strzeli, broń wrzuci do schowka i zmywa się cichcem do domu. Kto wie, może w barze „u stryjcia” niejedną z nim wódkę wypili. Ta, cholera go wi.

Porucznik Wyrwa wyjaśnił:

— Kapitan zapewne nie wie, co to za bar. Otworzył go repatriant, Leon Stryjcio, niedawno, zaraz po świętach. W takiej małej mieścinie ma powodzenie.

— Niezłe miejsce do obserwacji.

— Niezłe, ale nie dla tutejszych milicjantów czy naszych chłopców. Znani są. Tu trzeba obcego.

— A sam Stryjcio?

— Porządny chłop, z kośćcami, lecz on z żoną i córką prowadzą tylko interes, ale nie bawią się w obserwatorów. No, może gdyby coś przypadkiem usłyszeli...

— Daj obywatel porucznik spokój — pół służbowo odezwał się sierżant — szkoda czekać na przypadki. Będziemy drania mieli, ale trzeba zasadzić się.

— W oczach kapitana dojrzał błysk zainteresowania, więc szczegółowiej wyjaśniał swą myśl: — Nie kupą, ale w pojedynkę i na wabia kogoś wypuścić, ot co.

— A tym wabiem kto ma być? — nastroszył się Ignac. — Może ja?

— Nieprzystojnie proponować...

Sierżant Roch mógłby młodym pracownikom korpusu dyplomatycznego dać niejedną lekcję prowadzenia oględnej konwersacji.

Kapitan powrócił do przypuszczenia, że napadu na niego w lesie mógł dokonać ktoś z najbliższej okolicy. Był pewny, że tamtego postrzelił, a więc należałoby ustalić, czy w miasteczku jest ktoś ranny. Może zgłaszał się do ich niedawno otwartej przychodni zdrowia. Ignac już to jednak próbował ustalić. Bez skutku.

Długo trwała narada. Dowódca strażnicy zgadzał się, że główne zagrożenie przesunęło się ostatnio znad samej granicy na zaplecze, do strefy granicznej. Po wycofaniu na wschodni brzeg Nysy wojsk polskich i po przejściu straży przez Wojska Ochrony Pogranicza rzeka jest dobrze strzeżona. Na lewym jej brzegu dokładnie kontrolują dojścia posterunki radzieckie ze strefy okupacyjnej Niemiec. Ignac kilka dni temu rozmawiał z dowódcą radzieckiego oddziału nadgranicznego. Sąsiad obiecał zwrócić pilniejszą jeszcze uwagę na teren przy dwudziestym czwartym słupie granicznym, gdzie stosunkowo łatwo przekroczyć rzekę. Właśnie tam, o czym wspomniał na odprawie, mieli ostatnio przerwanie granicy.

Zaplecze? Zapalił papierosa i głęboko się zaciągnął. Milicjantów jest niewielu, albo bardzo młodzi chłopcy, albo starsi mężczyźni i zdemobilizowani żołnierze. Nie mają doświadczenia. W tej chwili pomyślał, że wolałby tu mieć czterech chłopaków z Woli lub ze Starówki niż tych dwunastu milicjantów. Na pewno zapewniliby spokój. Niejednokrotnie żołnierze WOP-u muszą pomagać łapać jakiegoś sprawcę nocnego napadu lub rabunku. Ludzie tu różni, jeszcze nie osiedli na dobre, wszystko jest w ruchu, płynne. Funkcjonariusze bezpieczeństwa wachają za tym jakimś Rudim, o którym mówił porucznik Klimek. Zdaniem Ignaca nie ma go tu, ale nie można wykluczyć istnienia zamrożonych agentów lub sabotażystów z niemieckich grup dywersyjnych.

Baranowicz uśmiechnął się leciutko, gdy dowódca strażnicy omawiając sytuację zatracał slangiem warszawskim.

— Oni nie są tacy frajerzy, na robocie się znają i na pewno przytulili się gdzieś tu, na lewych papierach. Żyją zupełnie legalnie, a jeszcze przy obecnym zamieszanu na tych ziemiach będą nie zauważeni aż do przybycia tego Rudiego.

Baranowicz postanowił odwiedzić również i inne strażnice, porozumieć

się z szefem bezpieczeństwa, z komendantem miejscowej milicji oraz z dowódcą sąsiadującego za rzeką oddziału radzieckiego. Kazał wezwać na drugi dzień sierżanta Sielickę z komendy odcinka.

Po odprawie, zgodnie z przewidywaniem, wysłuchał koleżeńskiej reprimendy Ignaca za bezcelowe narażanie życia. Usłyszał, że postępuje podobnie, jak pewien generał nie baczący na własne bezpieczeństwo.

— Co wolno Rochowi, to nie tobie ani pułkownikowi, ani generałowi. Lasy są u nas niebezpieczne i w pojedynkę nie wolno się w nie zapuszczać. Zrozumiesz to wreszcie?

Baranowicz objął go nagle ramieniem i ucałował jak syna.

— Nie złość się, ale to już jest nawyk starego pogranicznika. Nikt mnie nie nauczył jeżdżenia z obstawą. Zawsze trochę się ryzykowało.

Ignac poklinał, ale w głębi, nie wypowiadając tego głośno przyznawał rację Fabianowi. Sam postępował podobnie. Osobiście objeżdżał swój teren. Strzygł uszami, wychwytywał każdy szelest, każde stąpienie w lesie i był zawsze gotów przywitać należycie czającego się wroga. Nigdy nie odczuwał bojaźni, miał nawet nieprzepartą ochotę wdać się w jakąś awanturę. Uważał jednak, że Fabian, który kiedyś doskonale czuł się u siebie w lesie, po sześciu latach obozu mógł zatracić węch albo po prostu nie odczuwa tej bliskości zagrożenia. Próbował więc ostrzec przyjaciela.

— Wygadałeś się? — podkpiwał Baranowicz. — Ot, i dobrze. Porozmawiajmy więc, co tu u was słychać. Nie byłem od Wielkanocy. Prawie miesiąc.

— Z Grzegorzem się widziałeś.

— A burmistrz?

Ignac nagle roześmiał się hałaśliwie.

— Dla burmistrza wojna się skończyła. W ratuszu urzęduje, jakby nie było tych sześciu lat. Ostatnio szczególnie szczęśliwy. Na początku maja dostał „prawdziwego” urzędnika do pracy.

— Co to znaczy „prawdziwego”?

— Dawny urzędnik skarbowy. Burmistrz mianował go szefem biura, swoim zastępcą, chodzi teraz po mieście i chwali się nim. „Prawdziwy”

urzędnik swoim pracownikom zabiera buty i zamyka je u siebie w szafie.

— Wariat?

— Nie! Inaczej nie mógł sobie z nimi poradzić. Rozłazili mu się na cały dzień po mieście, załatwiali jakieś tajemnicze interesy, wiesz, jak jest. Wielu nie zapomniało jeszcze okupacji. Przywykli do lewych zarobków. Ma też burmistrz ogromną pociechę z weterynarza.

— Nie uciekł stąd jeszcze? Nie widziałem go w czasie świąt.

— W Cielątkowie zbyt często urzęduje. Dyrektor państwowego gospodarstwa zakłada farmę hodowlaną. Właśnie tylko dlatego doktor Krępacki tak często zagląda do folwarku.

Ignac ze znaczącym uśmiechem podkreślił „tylko dlatego”. Fabian zrozumiał aluzję, ale wzruszył obojętnie ramionami. O ile z pewnym rozczuleniem powracał wspomnieniami do pracy w Cielątkowie, to starał się unikać myśli o Magdzie. Żal za minioną piękną przygodą czy podświadoma tęsknota za dziewczyną? Może nawet tęsknota, ale za Magdą, jaką ujrzał w ów pierwszy wieczór, a nie w chwili pożegnania. Rozumiał i doceniał zachodzącą w niej przemianę, jednak jej zimna ocena ludzi i sytuacji były dla niego niemiłym przebudzeniem, o czym wołał zapomnieć.

W chwili przejmowania gospodarstwa z rąk wojska przez ustanowione kierownictwo rolnych gospodarstw państwowych zjawił się nowo mianowany dyrektor z pismem dla Magdy. W jej twarzy nie drgnął ani jeden muskuł, gdy podawała je Fabianowi w dwóch palcach niby lekceważącym gestem. Zdumiony przeczytał wtedy, że władze zwierzchnie powierzają jej funkcję wicedyrektora do spraw ogrodnictwa oraz zarządcy pałacu.

— Chcesz wziąć odwet na życiu? — ni to zapytał, ni stwierdził.

— Wiem, co mi się należy. — Podniosła dumnie głowę.

Nieco później Fabian dowiedział się, że jeździła w tej sprawie aż do Wrocławia. Zrzekła się własnej ojcowizny w Lubelskiem, miała zaświadczenie, że jest z zawodu rolnikiem i ogrodnikiem, małorolna, doznała represji ze strony okupanta. Ignac teraz w rozmowie podśmiewa się żartobliwie, że Fabian nie docenił dziewczyny. Da sobie radę w życiu. Wstąpiła do PPR-u dzięki poparciu nowego dyrektora. Sama na ten pomysł by nie wpadła, ale w

lot zrozumiała sytuację.

— A co tam robi Krępacki? Tylko opiekuje się hodowlą?

Były kawalerzysta, młody lekarz weterynarii, mógł stać się nowym obiektem zainteresowań Magdy. Baranowicz trochę był zdziwiony, że młody lekarz z przyszłością chciał zagrzebać się w takim pustkowiu.

— Wśród niektórych osiadłych tu ludzi budzi się coś w rodzaju lokalnego patriotyzmu — wyjaśnił Ignac. — Wystarczył ten jeden rok. Doktor Krępacki jest obok Grzegorza i burmistrza najbardziej zwariowanym patriotą ziem odzyskanych. Nie tylko zajmuje się zwierzakami, ale też interesuje się rolnictwem. Do wszystkiego podchodzi z pasją. Kiedyś nawet chcieli go przymknąć we Wrocławiu, bo zbyt pyskował na opieszających i bezdusznych i, jak to określał, zafajdanych urzędasów. Wiesz, urzędas to władza ludowa, w wydaniu może jeszcze nie zawsze właściwym, ale władza, a z Krępackiego były sanacyjny oficer.

Baranowicz śmiał się z ironizującego Ignaca, ale z satysfakcją stwierdzał, że ten chłopak ma zdrowy, prosty instynkt ocen i wartościowania ludzi. Gdyby Fabian nie spotkał wtedy na stacji młodego oficera, nie wiadomo czy do tej pory znalazłby swój własny kąt. Równie trzeźwo oceniał Ignac działalność zakładu fryzjerskiego pani Janiny. Obok restauracji „U stryjcia” rezura jest miejscem spotkań całego miasteczka. Rok po wojnie, a już przemożny instynkt życia wyzwala się w kobietach. Zmusza je do zapomnienia, że niegdyś nosiły zgrzebne koszule i szorstkie, sukienne mundury, zginały karki w jarzmie niewolniczej pracy, chodziły z obciętymi włosami i w pasiakach. Chciały o tym wszystkim zapomnieć i odzyskać swą kobiecość.

Właśnie Janina w tym pomaga im jak potrafi.

Służą temu nie tylko strzyżenia włosów, przemyślne czesanie, „trwała”, ale i kolor pokrywający pasma siwizny nawet u młodych kobiet. Może ktoś nie znający ich natury powiedziałby, że powinny ową siwiznę nosić z dumą, godnością, bo świadczy o przejściach tragicznych, a często o bohaterskiej przeszłości. A czy należało po wojnie zostawić gruzy domów i zgłiszcza wiejskich zagród ze sterczącymi kominami jako pomnik martyrologii? One też

nie chciały żyć jak antyczne żałobnice, skoro miały dawać życie innym. Kobiety chciały mieć jak dawniej kształtne paznokcie u rąk, wyleczyć odmrożone i pokancerowane stopy, pozbyć się blizn po owrzodzeniach. Właśnie zabiegi Janiny o przywrócenie piękna ściągały tłumy klientek do jej zakładu.

Nie jest głupia, przy pomocy Grzegorza podobno odnalazła przedwojenne podręczniki racjonalnej pielęgnacji ciała. Nawet radzi się doktora Krępackiego, choć ten, jak żartuje Grzegorz, prędeż ją nauczy posługiwać się zgrzebłem, czesać końskie grzywy i ogony niż kobiece włosy.

— Anka?

Ignac zażartował.

— Myślę, że sam się przekonasz, jak jej się wiedzie, bo... Wstąpisz chyba przewietrzyć swoje własne mieszkanie? Od świąt do niego nie zaglądałeś, a warto. Udał, że nie dostrzega zażenowania przyjaciela. W tej chwili w pokoju komendanta strażnicy zadzwonił telefon. Ignac słuchał chwilę, a następnie zasłaniając dłonią mikrofon wyjaśnił Fabianowi.

— To z PUR-u. Na nasze przejście graniczne skierowano duży transport repatriantów.

Fabian poruszył się niespokojnie, ale Ignac dał mu znak, by o nic nie pytał. Rozmawiał z kimś chwilę, a później odkładając słuchawkę na widełki relacjonował:

— Transport idzie z południa Włoch. Przez Weronę, Brenner, Bawarię skierowano go do nas. W punkcie repatriacyjnym urwanie głowy. Ci ludzie są w drodze ponad dwa tygodnie. Mogą tam być chorzy, wymęczone dzieci. Są to podobno... — zawiesił głos — jacyś wysiedleńcy z polskiego obozu cywilnego, znad Jeziora Wiktorii w Afryce.

Fabian zerwał się z krzesła.

— Słuchaj, może Anastazja...

Ignac uczynił nieokreślony ruch ręką.

— Może...

— Z kim rozmawiałeś? Z magistrem Rapszem?

— Nie. Pan prezes nie kieruje już tutejszym oddziałem PUR-u. Niedawno

przeniósł się do Komisji Likwidacyjnej zabezpieczającej mienie porzucone.

— Kiedy spodziewacie się transportu?

— Jutro po południu. Trzeba zmobilizować na stacji wielu ludzi do pomocy. Będziesz u Anki, powiadom ją, niech zapomni przez jeden dzień o swej hucie szkła i wciągnie pielęgniarski fartuch. — Spostrzegł zdenerwowanie przyjaciela. — Uspokój się. Miałeś szczęście, że dziś przyjechałeś do miasteczka. Kto wie, może dowiesz się czegoś.

— Lub jak przy poprzednich wszystkich transportach nikt nic nie będzie wiedział.

Wiść o zbliżającym się pociągu na ich przejście graniczne szybko rozniosła się po mieście. Wielu mieszkańców bezskutecznie jak Fabian poszukujących swych najbliższych molestowało pracowników ratusza, punktu repatriacyjnego i kolejarzy o szczegóły. Nikt nie mógł więcej powiedzieć, niż zawierała informacja przekazana Ignacowi przez PUR. Kapitan Baranowicz mimo zaaferowania Anastazją zarządził nagłą ponowną odprawę oficerów i podoficerów ze strażnicy. Wraz z Ignacem ustalali szczegóły akcji. Należało przygotować się nie tylko do otoczenia opieką powracających, ale zaostrzyć obserwację. Kazał, by wczesnym rankiem sierżant Sieliczko przyjechał nie sam, jak poprzednio zarządził, lecz z grupą żołnierzy. Rudi?

Nie tylko mityczny Rudi, po prostu mogą do transportu przykleić się jacyś ludzie, którzy chcą przy okazji niepostrzeżenie przekroczyć granicę.

— Chciałbym jutro — zwrócił się do Ignaca — Sieliczkę i jego ludzi przyodziać częściowo po cywilnemu. Są mniej znani w mieście. Stary pogranicznik jest dobrym obserwatorem. Dobierze sobie na tę akcję również bystrych chłopców.

Po wydaniu niezbędnych rozkazów Fabian nie miał już nic do roboty na strażnicy. Zajrzał jeszcze tylko do stajni, by zobaczyć, jak czuje się Diabeł.

— Nie gada z nami — meldował Józek Kurak. — Uważa się za konia dowódcy i ma drań wszystkich pod ogonem. Szczerzy tylko zęby, gdy któryś z nas do niego podejdzie, i kopie.

Na widok Fabiana siwek zarżał radośnie. Kapitan głaskał go czule po aksamitnej szyi, po szlachetnej głowie.

— Bądź grzeczny, diable wenecki, odpocznij, przyjdę do ciebie jutro. Może będziesz mi bardzo potrzebny.

Kapitan długo krążył po mieście, zanim zaszedł do swego mieszkania.

Niemal widział już Anastazję w drzwiach towarowego wagonu. Z głębi Afryki... to mogło być prawdopodobne. Nieraz powracano taką właśnie okrężną drogą do Polski. Staął nagle przed stacją tknięty niespodziewaną myślą. Czy pozna Anastazję? Widział ją w snach, w wyobraźni, ale chyba z czasem nieco rozmydłał mu się ów obraz tamtej kobiety przed domem w kwiatach. Później Anastazja przybrała postać Anki, bo to było rzeczywiste, realne. Wiek Anki pasował do czasu, gdy po raz pierwszy zobaczył Anastazję. Bronił się jednak zawsze przed utożsamianiem Anastazji z Magdą. Dlaczego?

Zawiadowca stacji dojrzał spacerującego po peronie kapitana Baranowicza. Przywitali się jak dobrzy znajomi. Kapitan podsunął paczkę papierosów. Zapalili. Mularczyk też czekał na zbliżający się pociąg. Nie chciał wchodzić w prywatne sprawy kapitana, ale życzył mu, jak każdemu tułaczowi, których spotykał tu wielu, znalezienia dawno oczekiwanej osoby.

Przed pałacykiem stacyjnym Fabian natknął się na Edmunda Rapsza. Pan magister, albo „pan prezes” jak rok temu mówiono, zawsze nienagannie ubrany, ukłonił się z daleka, z rezerwą, nie śmiał jednak sam podchodzić do dowódcy oddziału granicznego. Nieraz wyrzucał sobie, że nie docenił byłego jeńca i w punkcie repatriacyjnym „wystawił się” niepotrzebnie wobec młodego oficera okazując tamtemu cień lekceważenia. Edmund jeszcze nie potrafił wychwycić dokładnie wszystkich niuansów nowej sytuacji politycznej i dlatego popełnił błąd. Uważał, że wrześniowcy będą wracać jak pokutnicy odpowiedzialni za klęskę. Słyszał żarty o przebywających w oflagach, pamiętał jeszcze z Warszawy epitet „bohaterowie z dworca Gdańskiego” na temat oficerów zagrożonych karą śmierci, którzy sami zgłosili się na wyjazd do obozów jenieckich w październiku czy listopadzie 1939 roku.

Młody oficer witający ich na przejściu granicznym utarł mu po prostu nosa za lekceważące odezwanie o Fabianie. Odtąd unikał więc rotmistrza i miał się na baczności wobec porucznika. Uważał, że tamten go po prostu nie lubi. Być może Edmund nie pasował zewnątrznie do nowej rzeczywistości. Był

zbyt starannie ubrany, miał nienaganne maniery. Tamten chłopak z jedną gwiazdką na naramiennikach, pewno frontowiec lub może jakiś partyzant, niechętnie go potraktował. Edmund nie dał tego poznać po sobie, ale wyraźnie się wtedy spieszył. Od chwili zdecydowania się na powrót do Polski obmyślał, w jaki sposób powinien się zachowywać, by od razu trafić w odpowiedni ton, znaleźć sposób na dostosowanie się do nie znanej mu formacji politycznej i społecznej, o której słyszał tak wiele sprzecznych wersji, której się trochę bał, ale postanowił popłynąć z prądem i nie dać się zatopić. Pływać potrafił niezłe.

Pierwsze spotkanie nie było fortunne. Istotnie, nie spodobał się wtedy Ignacowi, Dlaczego go jednak tamten nie lubił? Czyżby tylko z powodu Fabiana? Może wyczuł w nim coś wrogiego? A może chodzi o Ankę? Włąził w drogę żołnierzowi Edmund częściowo się mylił. Mylił się szczególnie sądząc, że Ignac jest zazdrosny o dziewczynę. Porucznik był jeszcze młodym chłopcem i serce, jak to u żołnierza, było dość szeroko otwarte. Nie wyobrażał sobie, że z którąkolwiek dziewczyną mógłby pozostać w czterech ścianach domu... na zawsze. Na taką perspektywę jeżyły mu się włosy.

Anka? Poznał ją, gdy armia obsadzała zaraz po ustaniu działań wojennych zachodni brzeg Nysy. Chodziły wtedy słuchy, częściowo czytano o tym w gazetach frontowych, że na Nysie Łużyckiej zostanie ustalona granica polska. Anka w służbie sanitarnej znalazła się na jednym odcinku z Ignacem.

Zaczęło się mało romantycznie, od pyskówki. Kompania Ignaca znalazła się na drodze przebijającego się, straceńczego oddziału SS. Sporo chłopaków wtedy było rannych. Trudno było po nich nawet iść, a kompania musiała się cofać. Wtedy to z kilkoma łapiduchami prosto pod ostrzał tamtych wylazła sanitariuszka w stopniu kaprała. Kazał jej leżeć obok siebie, nawet chwycił ją za rękę, gdy się poderwała, ale odepchnęła go brutalnie i zrugała. Krzyknął, że to rozkaz, ale ona już skakała do przodu, a za nią jak wodzone barany szli noszowi. Dał ogień osłonowy. Podobała mu się z tym ostrym, żołnierskim obejściem, choć obiecywał sobie, że uszy jej poobrywa. Powróciła cała i zanim zdążył coś powiedzieć, zdyszana mruknęła:

— Daj papierosa, bo cholernie chce mi się palić.

Zatkało go to nieregulaminowe „tykanie”, ale zrozumiał za chwilę. — Widać, żeś z Warszawy, a i ja też. — Spojrzała na niego poprzez dym wypuszczony z ust.

Okazało się, że ktoś opowiadał jej o nim. Wkrótce zrozumiał, że są ulepieni z tej samej gliny, z warszawskiej ulicy.

Nie liczyła się ze słowami, była porywcza, popędliwa, w obejściu ostra, ale... szczerą. Znacznie później wypili niejedną wódkę pod kwaszony ogórek. Dogadali się. W zdumieniu słuchał, jak mu opowiadała o ludziach z jego kamienicy na Lesznie, z którymi spotkała się w Pruszkowie. Stróż Józef w jej opowiadaniach urósł, nie mogła znaleźć innych porównań, do biblijnego proroka z tym kijem od miotły, którym podpierał się prowadząc swoich lokatorów. Józef! Ścisnął żelaznym uchwytem jej dłoń, gdy opowiadała o strózu, pielęgniarence i innych, z którymi z Pruszkowa popędzili ich daleko na południe Polski, aż oparli się we wsi Pokora.

Ignac traktował ją więc od tej chwili jak kogoś niezmiernie bliskiego. Siostrę? Może...

Edmund jednak mylił się, że to z zazdrości Ignac krzywo na niego patrzył. Pan magister Rapsz wydał się po prostu Ignacowi antypatyczny. Ignaca drażnił aksamitny głos prezesa, nieco drwiące spojrzenie spod przymrużonych powiek, uprzedzająco grzeczny sposób bycia. Ignac pamiętał pierwsze spotkanie. Widział, jak z rąk Anki prezes bierze kocioł, sam kroi chleb. Pomyślał wtedy — nienaturalnie układny, a nawet... wrywny.

W pierwszej już rozmowie składał wobec Ignaca deklarację lojalności dla władzy ludowej. Oceniał krytycznie ludzi wrogo odnoszących się do nowego państwa, do partii, która wzięła na siebie ogromny obowiązek odbudowy zniszczonego kraju.

W tym momencie Ignac przyjrzał mu się podejrzliwie. Może działał instynkt prostego żołnierza, frontowca, dla którego zbyt gładko wypowiedane słowa o sprawach trudnych budziły wewnętrzny sprzeciw. Wrogość trudno skrywaną odczuł wobec tego mydłka, jak go określił w myślach, gdy tamten wskazywał na niektórych repatriantów ze swego transportu jako na niechętnych wobec nowego ustroju, radził wobec nich zachować czujność i

raczej ekspediować w głąb kraju niż pozwolić osiąść na ziemiach przygranicznych.

Może masz i dobre chęci, myślał, ale nieco zbyt jesteś lojalny. Czyżby z charakteru? A to dla chłopca z robotniczej rodziny z Woli znaczyło zawsze jedno... świnia.

I chyba instynkt niewiele go zawiódł.

Edmund był cywilem z wyboru, który, mimo wykształcenia wojskowego i wieku uprawniającego do bohaterskiej śmierci na polu chwały, wolał jej uniknąć rezygnując z zaszczytów, awansów i ocalić dla przyszłych, nieokreślonych, wielkich zadań, które chciał spełniać w czasie już powojennym... po zwycięstwie.

Nie jest to sarkazm autorstwa Ignaca. Ten mógłby określać prezesa dosadnie, ale nie ironicznie. Autoironia była specjalnością właśnie Edmunda i, jak z czasem określiła Anka, jedyną pozytywną, choć cyniczną cechą charakteru. Czy jednak Anka się nie myliła? Może zbyt często oceniamy ludzi po pozorach, wypowiedziach — maskach przybieranych jak strój, który nosi się wygodnie.

Coś w tych jednak autosarkastycznych wypowiedziach było prawdziwego. Kiedyś, tuż przed wojną, przy jakiejś okazji rodzinno-wódczanej, teść Edmunda o mało nie chwycił za krzesło na zięcia. Ten był zdziwiony wybuchem starszego pana. Czyż w rodzinnym gronie nie ma prawa wypowiedzieć się szczerze? Cóż z tego, że jest młodziutkim oficerem rezerwy. Edmund miał wyobraźnię. Jeżeli zginie, to co komu z tego przyjdzie? Wstręt odczuwał na myśl, że może zostać inwalidą — kaleką żyjącym z łaski. Mówił więc bez żenady, że nie należy się wystawiać, trzeba unikać niebezpieczeństwa, bo i tak żyje w Polsce wielu ludzi, którzy mają szczególną ochotę zginąć za Ojczyznę. Edmund nie musi.

Gdyby wojna odwlekła się na lat przypośćmy sto, Edmund byłby zapewne w dalszym ciągu urzędnikiem starostwa. Żyłby z przeciętnie ładną żoną z maturą, miałby typowo urządzone mieszkanie z „garkotłukiem” do wszystkiego za jedne dwadzieścia pięć złotych na miesiąc. Chodziłby na małą czarną do kawiarni, w domu czytałby opozycyjne gazety, a w pracy

prorządowe, czyli sanacyjne, i doczekałby się przyzwoitej, przeciętnej śmierci na jedną z wielu chorób, którymi dysponuje ludzkość. Umarłby we własnym łóżku i miał przyzwoity, przeciętny pogrzeb, a na cmentarzu typowy nagrobek. Może, w sprzyjających okolicznościach, zdecydowałby się na przeciętne, drobne świństwo, by dostać podwyżkę. Ale nagle zaistniała szansa, nieprzeczuwalna i nie mieszcząca się w wyobraźni. Pana magistrza wyzwoliła z przeciętności — wojna. Młodziutki podporucznik rezerwy ucałowawszy żonę ruszył do swego pułku, do Białowieży. Ruszył, ale spóźnił się. Szukał później swej jednostki w Brześciu, gdzie po dziesiątym wrześniu wszystko już się poplątało. Wtedy doszedł do wniosku, że sam wojny nie wygra. Zdecydował więc sam się zdemobilizować. Kupił cywilne ubranie i ruszył w kierunku Warszawy. W miejscowości podwarszawskiej poczekał na kapitulację stolicy i możliwość znalezienia się we własnym domu.

Kapitulacji doczekał, ale własnego domu nie znalazł, bo na tym miejscu kopciły się jeszcze zwały gruzu grzebiące całą jego dotychczasową przeciętność. Odnalazł u znajomych młodziutką żonę z maturą, ale tylko po to, by oboje mogli powiedzieć, że nic ich ze sobą nie łączy. Łączyło ich właściwie tylko „coś” rok po ślubie. Później żyjąc osobno mieszkali razem pod presją obowiązującego konwenansu towarzysko-służbowego. W październiku trzydziestego dziewiątego młodziutka pani magistrowa poczuła się również wyzwolona nie tylko z małżeńskiego łóża, które spadło z trzeciego piętra wraz z kredensem oraz urządzeniem łazienki, ale i z małżeńskich więzów.

Mundzio, choć stracił razem z mieszkaniem i żoną również urząd państwowy, zbytnio się nie przejmował. Zrozumiał, że może stać się człowiekiem opatrnościowym w nowych warunkach, mieć oprócz stanowiska, pieniędzy także społeczne poważanie.

Było tysiące ofiarnych, cichych i skromnych ludzi, którzy szli z pomocą innym, ale narodził się między nimi, równiejszy wśród równych, prezes.

Początkowo przewodził tylko kuchni dla biednych, z czasem wybił się, i tak szczebel po szczeblu przeskakiwał na coraz to ważniejsze prezesury. Nie obawiał się odkrycia przez Niemców, że jest oficerem rezerwy. Jego dom uległ zniszczeniu, on zniszczył swoje dowody cywilne, a niemiecką kennkartę

wyrobił na nazwisko Rapsz, choć w rzeczywistości brzmiało Ropstrz. Był więc zupełnie innym człowiekiem.

Mądry, uczynny, gładki w obejściu pan magister prawa doszedł do wniosku, że... można żyć.

Przesuwały się fronty, trwała niszczycielska wojna, a prezes w organizacjach charytatywnych i dzięki nim żył i to żył dostatnio w ogólnym poszanowaniu.

— W jakich okolicznościach go poznałeś? — zagadnął kiedyś Ignac Baranowicza.

— W obozie repatriacyjnym. Byłem pierwszym jeńcem z naszego obozu, który zgłosił się do oficera łącznikowego na wyjazd do kraju. Skierowano mnie więc do obozu cywilnego, skąd miał odejść pierwszy transport.

— Co tam robił pan magister Rapsz?

— Naiwne pytanie. Pan magister w porozumieniu z naszymi władzami w kraju organizował transport. Miał kontakt z Międzynarodowym Czerwonym Krzyżem, z UNRRA, zresztą diabli jeszcze wiedzą z kim. Był genialnym organizatorem. Przez jego ręce przechodziło wszystko: pieniądze, żywność, odzież, ludzkie losy...

— Co możesz o nim powiedzieć więcej?

Baranowicz wtedy uśmiechnął się złośliwie. A jednak leży ci prezes na wątrobie, młody poruczniku. Ignac gorąco zaprzeczył. Po prostu pyta. Ciekawi go człowiek.

— Nie pił, nie palił, haremu zgodnie z obyczajem powojennym nie prowadził. Starczy?

Tak sobie też wyobrażał Ignac, o ile zdążył poznać magistra Rapsza.

Dla Ignaca prezes był tu niepotrzebny, nie pasujący do innych, choć może dziś ceniony, a w tym zbiorowisku swoiście jedyny. Nienaganny według Ignaca z punktu widzenia bezpieczeństwa strefy granicznej i porządku publicznego, ale... „Wredna mordą”, określał krótko. Może mógłby coś więcej dowiedzieć się od Anki. Nie chciał.

Anka, tak jak przypuszczał, zbyłaby go kpinami. Usłyszałby coś o męskiej zazdrości i stałby się na długo przedmiotem jej żartów. Miała ku

temu powody, a właściwie tylko jeden powód. Bowiem zadurzyła się w prezesie. Ignac nie pojmował, na czym polega urok Edmunda. Dla Anki wrażenie, jakie wywołał, sprowadzało się do odmienności.

Rapsz był zupełnie inny niż mężczyźni, których znała od czasu, gdy przestała być dzieckiem. Boleśnie wspomina swoje dziewczęce wtajemniczenie, które powinno dokonać się znacznie później i... piękniej niż w suterenie, skąd do dziś dobiega ją ów zapach kapusty z beczki stojącej pod drzwiami jej ponurego mieszkania. Do końca życia mogłaby zostać w tej suterenie z ponurym doświadczeniem najmłodszych lat dziewczęcych i przekonaniem, że mężczyźni są tylko brutalnymi samcami, gdyby nie wybuchło Powstanie. Ogień trawiący Stare Miasto jakby ją oczyścił. Poznała wtedy innych ludzi, albo równie oczyszczonych jak ona, albo po prostu tych samych mężczyzn, ale widzianych w zupełnie odmiennych sytuacjach, w wymiarach dla niej dotychczas nie istniejących.

Od powstania w Warszawie jakby ponownie odkrywała świat. Zdumieniem przyjmowała zwykłą ludzką życzliwość, której nigdy uprzednio nie zaznała. Nie wiedziała, że istnieje bezinteresowna przyjaźń, wierność. Doznawała dziwnych, nie znanych jej dotąd uczuć, gdy ratowała rannego chłopca, a łzy ciekły jej niepowstrzymanie z bezradności wobec śmierci. Nauczyła się płakać nad innymi i śmiać z siebie. Później w obozie pruszkowskim, na przymusowym osiedleniu we wsi Pokora i w wojsku pogłębiała te swoje nowe doświadczenia. Pogodziła się ostatecznie z ludźmi, przestawała odczuwać wstręt i pogardę dla mężczyzn. Byli jej przyjaciółmi, wiernymi w potrzebie, chroniącymi przed niebezpieczeństwem, dzielącymi solidarnie głód lub kapuśniak z czarnym chlebem. W obejściu prości, surowi, a nawet bezwzględni w ocenach.

Magister Edmund Rapsz był odmienny od kolegów żołnierzy. Określiła po swojemu: „aksamitny”. Wszystko w nim było aksamitne: spojrzenie, uśmiech błakający się zawsze po wargach, dotknięcie dłoni. Nie zwróciła uwagi, że ów uśmiech na wargach często nie łączył się z uśmiechem w spojrzeniu. Duże, niebieskie oczy Edmunda pozostawały przeważnie zimne. Potrafiły stawać się w niektórych sytuacjach lodowate, choć z warg nie schodził nigdy uśmieszek.

Mógł podobać się dziewczętom i młodym kobietom również w sposobie noszenia ubrania. Z Niemiec przyjechał w amerykańskiej, krótkiej bluzie z miękkiej gabardyny. Na innym mężczyźnie wyglądałaby niechlujnie. Edmund w tej bluzie i zgrabnych spodniach pochodzenia wojskowego, które uwydatniały jego szczupłą męską budowę, w czystej zawsze koszuli i pod krawatem, przypominał oficera z czasów pokoju. Dla żartów zapytany o chusteczkę do nosa wyjąłby z kieszeni świeżą, zaprasowaną. Nieraz Anka zastanawiała się, kiedy on znajduje czas na wyszukaną dbałość o siebie. Brunet o oliwkowej cerze miał również ciemny zarost twarzy widoczny zwykle u innych już po paru godzinach po goleniu. Pan prezes podbródek i policzki miał zawsze gładkie. Zapewne golił się dwa razy dziennie.

Anka dostrzegła wszystkie te szczegóły już drugiego dnia i ukradkiem przyglądała się mu, niemal wodziła za nim oczami, ale tak, by nikt jej spojrzeń nie przyłapał.

Czyżby rację miał Ignac, że na Fabianie próbowała tylko siły swojego wzroku, po prostu po dziewczęcemu go uwodziła, dla wprawy, dla zaznaczenia, że dla niej wojna się skończyła i znów jest młodą kobietą? Nieraz się później zastanawiała nad swoim postępowaniem w stosunku do rotmistrza. Nie, odpowiadała sobie, to nie była zwykła kokieteria. Poczuła dla niego litość i to chyba było pierwsze uczucie, do którego się zresztą nigdy nikomu nie przyznała. Instynktownie wyczuwała, że jest psychicznie głęboko załamany pobytem w obozie. Jednocześnie wzrastała sympatia do tego żołnierza służącego od dziecka w wojsku, nawet podziw. Chciała mu pomóc już od chwili spotkania w punkcie repatriacyjnym. Może Ignac zwrócił jej uwagę na rotmistrza szczególnym szacunkiem, z jakim odnosił się do starszego wiekiem i stopniem oficera.

Była w pierwszej chwili zadowolona, że porucznik uitał nosa temu przystojniakowi, do którego wszyscy z transportu garnęli się, jak do swego przewodnika garną się podróżni na nieznaną ziemi. Potrafił jednak jeszcze tego samego wieczora przełamać jej niechęć. Z delikatnością odnosił się do dzieci, wszystkich pocieszał, rozpraszał niepokoje, pomagał Ance. Opowiadał o przywiezionych w transporcie repatriantach. Znał wielu dość dobrze.

Potrafił też z uwagą słuchać. Anka już nie pamięta, kiedy zauważył mimochodem, że ma ładne oczy i kształtne, choć na pewno mocne ręce. Dotknął je swoją dłonią, ale tylko na chwilę, by wyrazić podziw nad jej ciężką pracą. Ucieszył się, gdy usłyszał, że ona również pochodzi z Warszawy. Nie, on nie przeżył piekła powstańczego.

Od czerwca wysłany jako inspektor Zarządu Głównego RGO objeżdżał podległe placówki w tak zwanej Guberni Generalnej. Do Niemiec dostał się w przypadkowej łapance w połowie lipca na dworcu radomskim. Nie pomogły papiery wystawione przez Kraków, gdzie urzędował Zarząd Główny. Rozsierdzony żandarm pchający ich do budy nie był wrażliwy na znajomość języka niemieckiego Edmunda oraz jego dokumenty. Zbyt natarczywie nagabywany przez przerażonego po raz pierwszy w czasie okupacji Rapsza wyrwał mu legitymację z rąk i po prostu podarł na strzępy rzucając na ziemię. Bezradnego huknął pięścią w kark i kopniakiem pomógł wdrapać się do ciężarowego samochodu. Edmund trochę pocieszony tym, że nie wiozą ich do Oświęcimia, lecz w głąb Niemiec, czekał na stosowną chwilę. Miał wiele szczęścia. W obozie dla robotników zatrudnionych w niemieckiej fabryce potrzebowano tłumacza. Edmund znał doskonale język niemiecki i francuski, wywinął się więc od ciężkiej pracy. Żyło mu się nie najgorzej. Po upadku Niemiec pełen inicjatywy były tłumacz znalazł do różnych władz deklarując się z dużą grupą ludzi na powrót do Polski. Słyszał wiele o tragedii walczącego Starego Miasta.

Z zainteresowaniem słuchał opowieści Anki o powstaniu na Starówce, o Pruszkowie i wywiezieniu na Podkarpacie. Gdyby przeżył i spotkał Ankę w Pruszkowie, nie dostałaby się do transportu.

— Dlaczego?

— Uratowałbym panią przez znajomych z RGO.

— Takich jak ja było tysiące dziewcząt.

— No, zbyt duża skromność. Na pewno bym panią dostrzegł między nimi.

Nie odpowiedziała mu wtedy nic, bo odczuła przyjemnie jego słowa i towarzyszące im spojrzenie, choć pomyślała natychmiast, że w Pruszkowie,

w owej letniej sukience, brudna i z rozwichrzonymi włosami uszłaby uwadze pana prezesa.

Spotykali się codziennie w punkcie repatriacyjnym, aż do wyjazdu „w Polskę” wszystkich przybyłych z transportem. To właśnie dla nich przy pomocy Ignaca walczyła z takim uporem z kierownikiem stacji o podstawienie składu pociągu. Prezes nie wyjechał. Pozostał w miasteczku złowiony przez sierżanta-burmistrza. Znał stosunki wśród uchodźców, był rzutki, więc sierżant postanowił wymienić na niego dotychczasowego kierownika placówki Państwowego Urzędu Repatriacyjnego. Edmund bez trudności dał się namówić. W czasie okupacji mieszkał w Warszawie na Kruczej. W Niemczech spotkał sąsiada ze wspólnej kamienicy. Nie mógł się łudzić, że ma do czego wracać do Warszawy. Po raz drugi stracił wszystko. Bystro ocenił, że ziemie odzyskane są polskim eldorado. Na pewno na krótki czas, ale w pierwszych latach dają ogromne możliwości. Nie precyzował w myślach owych możliwości, ponieważ tak jak inni nie planował dłużej niż na najbliższą przyszłość. Instynktownie jednak czuł, że nie wyjedzie stąd, a jeżeli wyjedzie, to na pewno zasobniejszy niż obecnie. Utwierdził go w tym przekonaniu kilkudniowy pobyt w Warszawie. Odnalazł znajomych ludzi równie obrotnych jak on. Radzili, by dobrze wrósł w środowisko repatrianckie i bystro się rozejrzał. Obiecali, że znajdą go. Warszawa była tak zniszczona, że każdy przywieziony drobiazg z ziem odzyskanych jest tu na wagę złota. Wystarczy znać tam źródło, a poparcie dokumentami daje bezpieczeństwo przed ewentualną kontrolą władz.

Powracając był już przekonany o słuszności swej decyzji pozostania na zachodzie. Anka? Zabiegi o zdobycie sympatii dziewczyny również mogły się przydać. Początkowo, pierwszego wieczoru, uwodził kaprała W spódnicy dla przyjemności stwierdzenia, jak silne Wrażenie wywołuje na kobietach. Lubił zawsze czuć się uwielbiany, otoczony kobietami, które nieco traciły dla niego głowę. Po paru dniach zauważył, że dziewczyna jest szanowana przez żołnierzy organizujących życie w miasteczku. Wtedy świadomie już, chcąc tu pozostać, zdobywał jej zaufanie, przyjaźń. Teraz powracając z Warszawy postanowił ją zdobyć ostatecznie.

Ance trudno się dziwić i obwiniać o naiwność mimo różnych, najczęściej przykrych dotychczas doświadczeń życiowych.

Owo lato 1945 roku oraz wczesna jesień nie tylko dla Fabiana zaznaczyły się gwałtownym zawrotem głowy.

Edmund pozostał jako kierownik punktu repatriacyjnego, a więc właściwie jako szef Anki pełniącej funkcję sanitariuszki i mającej nadzór nad kuchnią. Zamieszkał w budynku schroniska, gdzie miała również swój pokój dziewczyna. Zbyt dobrze znał kobiety, żeby nie dostrzec, jak to dostrzegł i określił Ignac, jej choroby „egipskiego zapalenia oczu”. Nie musiał specjalnie zabiegać, by rozkochać w sobie dziewczynę. Z chęcią prała mu koszule, owe zawsze czyste chusteczki do nosa i skarpetki. Z nie spotykaną u niej pokorą dbała o każdy drobiazg jego ubrania. Znosiła nieraz z jego strony fochy i objawy niezadowolenia, nie zdając sobie sprawy, że są one próbą, jak dalece zdołał Ankę opanować. Był za bardzo wyrachowany i zimny, by dawać jej za to zbyt wiele. Nieraz otaczał ją ramieniem, tulił do siebie, delikatnie pieścił jej piersi, wodził dłonią po szyi, karku i następnie oświadczał, że jest zmęczony i śpiący. Lubił gładzić jej włosy, jak głaszcząc się kota lub psa. Anka nieraz odchodziła wieczorem do swojego pokoju niemal z płaczem, upokorzona, ale powracała rano z nadzieją. Po takiej nocy nie chcąc przeciągać struny był łaskawy, mówił jej przyjemne słowa, dziękował za uprasowane spodnie, oczyszczone pantofle, wychwalał jej pracowitość i dbałość o niego. Potrafił zdobyć się nawet na kłamstwo, że tylko ona trzyma go w tej dziurze na dzikim zachodzie. Takie chwile, gdy delikatnie całował ją przy tym w policzek, zdarzały się jednak nieczęsto, dozowane były z rozmysłem. Edmund nigdy nikogo nie kochał, nie miał przyjaciół, a z wszystkimi kobietami postępował podobnie jak z Anką i rzadko kiedy się mylił. Ankę zaś traktował jako dziewczynę prostoduszną i zdobycz łatwiejszą.

Ignac nie mógł sobie miejsca znaleźć, gdy dostrzegł roztargnienie dziewczyny, rozbiegany wzrok, a nieraz i zapuchnięte z płaczu oczy. Nie wyjawiał jej, co myśli na ten temat. Przyjaźń przyjaźnią, ale to Anki sprawa, myślał, i nic mi do tego. Edmund mógł sięgnąć do próby wywołania zazdrości u dziewczyny, ale takie metody uważał za prymitywne. Przestał już słuchać

Anki. Minęły wieczory, kiedy pragnął jej opowiadań z czasów powstania czy walk drugiej armii. To, co kiedyś przyjmował z zaciekawieniem, teraz coraz częściej traktował z drwiną, wykpiwał. Jakby oczekując reakcji ranił ją z rozmysłem podśmiewając się z jej bezsensownego nadstawiania karku, ponoszenia trudów, z jej serca, które wzruszało się nad byle „zamazanym”, jak nazywał, rannym chłopczykiem, co wynikało po prostu z głupoty. Zapomniała w tym ponurym czasie, że jest kobietą, nawet nie dba o siebie, upodobniła się do ruskich żołnierek, tu wymownie, z pogardliwym skrzywieniem warg obrzucał spojrzeniem jej nogi w grubych, wojskowych butach.

— Na pewno kochaliście się i to często na sianie, pod płotem lub pod wozem taborowym. Prosto z marszu, oboje spoceni, niemal na oczach innych, jak zwierzęta. Łagodnie próbowała się bronić uważając, że Edmund może tylko nie rozumie czasu wojny, sytuacji frontowych. Usiłowania obrony zwykle nie wytrzymały jego druzgocących argumentów, od których szkliły się Ance oczy.

Z powodu tego pogardliwego spojrzenia na jej nogi stanęła kiedyś przed zabitym deskami sklepem w rynku. Na tych deskach repatriant przybyły transportem Edmunda przywiesił odręcznie napisaną kartkę „szewc”. Zajrzała przez szparę między deskami. Brudne szyby nie pozwoliły Ance dojrzeć, co się dzieje w środku. Zastukała więc do warsztatu od podwórza. Otworzył jej drzwi nie ogolony, zgarbiony mężczyzna bez wieku, w drucianych okularach.

Nie rozumiał, co do niego mówi sanitariuszka.

— U mnie chce pani zamówić buty z cholewami, dopasowane do nogi, na podwyższonym obcasie?

— Jest pan przecież szewcem...

Weszła nie proszona do mieszkania. Obrzuciła zdumionym spojrzeniem pokój, małą kuchenkę, zajrzała do warsztatu, później do sklepu.

— Długo pan tu już... mieszka? — nie śmiała zapytać, czy długo tu pracuje.

— Blisko dwa tygodnie.

Pamięta, jak poszedł do burmistrza zapytać się, czy może zostać w

mieście. Rumiany i nieco rubaszny sierżant-burmistrz po sprawdzeniu, że pan Stanisław jest szewcem, nagryzmołił coś na kartce, wałnął czerwoną pieczęć, pogrzebał między pękami kluczy w szufladzie biurka i wręczył jeden z nich repatriantowi.

— Rynek 10. Masz tam obywatel wszystko, co potrzeba, i do roboty. W moim mieście ludzie już nie będą chodzić ani boso, ani w drewniakach.

Ogłuszony nieco krążył Stanisław po zaśmieconych pomieszczeniach, które z taką prostotą otrzymał od sierżanta. Miał tu mimo nieporządku wszystko, o czym kiedyś mógł tylko marzyć łódzki szewc-chałupnik. Jednak jakaś ćma, pomroka wsączyła się w jego duszę i nie mógł jej przepędzić. Zrobił tylko, co konieczne, by uporządkować trochę narzędzi i pokój, w którym zamieszkał. Ledwie odkurzył i ustawił na półkach prawidła i kopyta, naprawił maszynę do szycia skóry. Tylko na tyle mu starczyło siły.

— Jestem szewcem — mówił teraz do Anki — ale od czterech lat nie zrobiłem jednej nowej pary. Aresztowali mnie, bili, później wywieźli na roboty do Niemiec Tułałem się po różnych szewskich warsztatach jako latacz starych butów. — Zamilkł na chwilę. Później podniósł na Ankę smutne oczy. — Widzi pani, ja nigdy w życiu nie mogłem się dorobić takiego sklepu, jak ten, w rynku, a jednak jeszcze nie wierzę, że to jest moje.

Przed wojną pracował dla kupców jako chałupnik. Wielkie, rojne łódzkie czynszowe kamienice, podwórza-studnie, a na dnie tych studni rojące się tłumy szarych ludzi. Pamięta swój warsztat przy oknie zasłoniętym białą zazdrostką, w czasie wieczornym nad warsztacikiem żarówkę na bloczku, osłoniętą emaliowanym niebieskim, wewnątrz białym, blaszanym kloszem. Gdy pracował, cały pokój ogarniał mrok, dla oszczędności, a tylko na jego warsztat padał jasny krąg światła.

Nowe buty, pantofle... Stanisławowi zajaśniały oczy. Wolał brać grosze od kupców za wykonanie ślicznej jak z bajki pary balowych pantofelków niż zarabiać trzy razy tyle na łataniu znoszonych butów. Gdyby jego Franciszka doczekała dnia otwarcia własnego sklepu... Ankę coś dławiło w gardle, gdy spoglądała na przygarbioną postać Stanisława.

— Teraz ma pan warsztat, sklep, mieszkanie...

Nie mogła dodać, że bez Franciszki na pewno to wszystko, co posiada, jest dla mego niczym pusta trumna, ale wreszcie niech chociaż przez pamięć dla żony...

— Materiału nie ma, nie wiem, gdzie się ruszyć.

— Przyniosę panu. Daję słowo.

W trzy dni przytargała skórę na przyszwę i zelówki. Może, wyjaśniła mu, pojechać do powiatu. Tam organizuje się cech. Dostanie za poświadczeniem burmistrza przydział na przybory szewskie.

— Panie Stanisławie — niemal go tarmosiła za ramiona — musi pan obudzić się ze swej boleści. Wielu czeka na pana robotę.

Z niedowierzaniem spoglądał na skórę. Brał ją ze znanstwem w palce.

— Pani mi wierzy, że zrobię te buty?

— Na co pan jeszcze czeka?

Usiadła na rozchybotanym krześle i wyciągnęła w jego kierunku nogę w grubym wojskowym bucie.

Rozejrzał się spłoszony po sklepie i poszedł za ladę, przyniósł drewniany podnózek. Nie pozwolił jej zdjąć butów, ale sam je ściągnął. Obrysował stopę, zmierzył podbicie, tęgosc, łydkę, wysokość cholewek.

Anka butami od pana Stanisława zrobiła sensację w mieście, ale nie wywołało to wrażenia na Edmundzie. Powiedział tylko:

— Wreszcie pozbyłaś się tych okropnych buciorów, na które nie mogłem patrzeć. Przypominały mi dojarzkę brodzącą w nawozie.

Od pierwszych butów Anki Stanisław stał się z dnia na dzień sławny w miasteczku. Po otrzymaniu następnego zamówienia czekał na nią przed sklepem. Poczula na dłoni mokre wasy.

— Dziękuję pani. — Nie wiedziała za co. — Za wiarę we mnie.

Szeregowiec Rybicki, na imię mu było Ludwik, sam ją kiedyś zaczepił na ulicy. Znała go z plutonu łączności. Wskazał na zamknięty sklep obok pana Stanisława.

— Obywatelu kapralu, proszę do mnie przyjść. Będzie obywatelka również moją pierwszą klientką. — Nie rozumiała. — Od sierżanta dostałem ten sklep. Z cywila jestem krawiec. Demobilizuję się i idę na swoje.

Szeregowiec Rybicki, chłop obrotny, uzyskał materiał i skroił Ance zgrabną spódniczkę oraz dopasowaną wojskową koszulę.

— Niech się obywatelka kapral spojrzy tylko w to obsrane przez muchy lustro. Wszystko w tej spódniczce na swoim miejscu, a góra też nie najgorsza. No ni?

— A nie moglibyście tak tego lustra umyć?

Pan Ludwik westchnął.

— Niejedno się zrobi, ale kobity potrzeba. Do bazylianów nie wstępowałem, a ożenić się mus, żeby wszystko było na swoim miejscu, normalnie.

I Ludwik, ponieważ nauczył się w wojsku robić wszystko dokładnie, bo jakże, łączność by nie grała, niedługo zjawił się u sierżanta-burmistrza prosząc go na ślub.

Anka nie była pewna, czy rozmowa z Edmundem odbyła się przed czy po ślubie pana Ludwika. Chyba jednak tego samego wieczoru. Edmund jak zwykle pił mało, drobnymi łydkami spoglądając z przyganą na szklanę Anki. Szumiało jej w głowie, gdy powrócili na kwaterę. Śmiać jej się chciało na przemian i płakać. Najbardziej wtedy poczuła potrzebę czyjejś opieki, może delikatnej czułości. Edmund jednak oczekując, aż mu Anka zrobi i poda herbatę, zaczął jeden ze swych dziwacznych monologów. Nieraz słuchała bez buntu obcych dla niej słów, mimo że mówił po polsku. Może miał rację, że ofiara polskich chłopców tam w Warszawie i na wszystkich frontach świata była zbyteczna, bo i bez nich zdecydowano by o losie i całej Europy, i losie Polski. Na pewno był od niej bardziej inteligentny i mądrzejszy, więc widział chyba bystrzej ludzką naiwność w upojeniu zwycięstwem. Czyim zwycięstwem? Tych szarych żołnierzyków w zabłoconych szynelach? I tak żołnierz nie jest obecny przy konferencyjnym stole wielkich narodów.

Tego wieczoru, a może tej nocy, Edmund długo mówił, aż mu herbata wystygła. Uczepił się ślubu pana Ludwika. Drwił z jej łez wzruszenia, aż próbowała wypowiedzieć własne zdanie.

— Czy dla ciebie nic nie ma świętego?

Zdumiał się i wycedził przez zęby:

— Zbyt to dla mnie cliwe. Przyjedź tu za dwa lata, za trzy, a zobaczysz, jak ci wszyscy ludzie, dziś tacy solidarni i przyjacielscy, zaczną się zżerać przy zdobywaniu dobrobytu. Wszyscy myśleli, że wolność to wielkie święto, to kościół lub wyspa szczęśliwych ludzi bez dzielących ich klas, ucisku mniejszości nad większością. Bzdura! Nie ma takiego życia na świecie. Światem rządziły, rządzą i będą rządzić świnie. I to jest prawidłowość, moja mała żołnierko o kurzym mózdzku! Świnia zwycięska, to symbol ludzkości! Jeżeli chcesz utrzymać się na powierzchni, musisz być świnia. Raj czy socjalizm jest dla mądrych świń.

Anka powoli trzeźwiała. Przyczyniły się do tego jego słowa albo drwiący, bezczelny półuśmiech wykrzywający mu wargi. Ufny i dufny nie zauważył, przegapił zmiany zachodzące w wyrazie twarzy dziewczyny. Nie dostrzegł drgających mięśni, zaciśniętych do bólu szczęk, wsysanych aż między zęby dość grubych warg. Gdzieś w bok uciekła spłoszonym spojrzeniem. Edmund dalej wygłaszał swoje credo o możliwości przyzwoitego życia jedynie dzięki popełnionym draństwom. Mimo doświadczenia można nie zauważyć momentu, w którym narasta u kogoś sprzeciw, nawet bunt i to osoby lub osób podporządkowanych bezwzględnie. Edmund był na tyle zarozumiały, że z góry założył absolutną głupotę Anki, niemożliwość wyrwania się spod jego wpływu. Ta jedna chwila, w której uszedł uwadze wyraz jej oczu, zdecydowała.

Jeszcze po tej rozmowie łudziła się, ale to był tylko czas czujnej obserwacji Edmunda, analizowania w myślach jego słów, krytycznej oceny gestów, postępowania, a to oznaczało już przegraną prezesa.

W miarę odkrywania innego Edmunda zaczęła go porównywać do jej bliskich, przede wszystkim do Ignaca, Grzegorza... Nie, czar jeszcze nie przysł, nie wyobrażała sobie, by któryś z nich mógł tak ostatecznie wypełniać jej myśli, sny.

Na początku lipca 1945 roku mobilizowano pomoc dla pierwszych żniw. PUR werbował kobiety i mężczyzn z transportów repatriantów przechodzących przez przejście graniczne. Kiedyś Anka ujrzała grupę dziewcząt gotowych pójść do pracy na roli. Samotne, było im wszystko

jedno, co będą robiły i w którym kierunku pojedą. Niepewne jutra chętnie skorzystały z możliwości zatrudnienia.

Edmund nie zauważył nawet, gdy Anka w rozmowie z przedstawicielem dywizji zaproponowała, by te dziewczęta odwieźć do Cielątkowa. Pracują tam sami mężczyźni, brak pomocy kobiecej. Uważał to za doskonały pomysł. Postanowiła sama to zrobić.

Czy chciała zobaczyć Fabiana, którego nie widziała od czasów objęcia przez niego folwarku? Może był to odruch po prostu. Później, gdy rozmawiała z jedną z dziewcząt, wysoką, postawną czarnowłosą Magdą, pomyślała, że rotmistrzowi przydałaby się gospodyni. Powiedziała jej o tym. Magda z chęcią zgodziła się prowadzić dom.

— Na pewno będzie pani zadowolona, a ten rotmistrz również.

Jednak Anka często o nim myślała i to zawsze z nutką sympatii. Zapomniała o wszystkich, gdy całe jej życie wypełniał Edmund. Teraz jakby spotykała się na nowo ze znajomymi. Dostrzegała ich...

Widok Fabiana na polu przy żniwach, jego odmiana w wyglądzie, postawie uradowała Ankę. Obserwowała z ukosa czarnowłosą dziewczynę. Niedługo jeszcze bardziej zmieni się nasz rotmistrz, pomyślała.

Sierżant-burmistrz stał się przyczyną rozluźnienia kontaktów Anki z ośrodkiem dla repatriantów.

— Słuchaj — zaczepił ją kiedyś na mieście — wygodnie ci tam w tym pokoiku w ośrodku? Wcześniej czy później pójdziemy do cywila. Jeżeli chcesz zostać w miasteczku, można się jeszcze łatwo tu urządzić. Z każdym dniem przybywają nowi ludzie. Zrobi się coraz ciasniej. Musisz o tym pomyśleć.

— Mieszkanie? Sierżancie, jest pan najbardziej ukochanym, złotym człowiekiem.

— Nie przesadzaj. Muszą sobie pomagać starzy żołnierze. Rozejrzyj się, wskaż mi, które ci się podoba, a dam ci klucze.

O tej rozmowie nic nie powiedziała Edmundowi i to był już jej otwarty bunt. Nie powiedziała nic, że chodzi po mieście i szuka odpowiedniego lokalu. Marzyła zawsze o domku z ogródkiem. Poszła więc ulicą zabudowaną willami. Zaledwie kilka z nich już ktoś zamieszkiwał. Stanęła nagle jak wryta przed

furtką, od której biegł wąski chodniczek do białego jednopiętrowego domku z dużym czerwonym szpiczastym dachem skrytym między dwiema płaczącymi wierzbami. Dom niczym z bajki o Czerwonym Kapturku, pomyślała. Dwa wejścia obok siebie z ganku, do którego prowadziło kilka kamiennych stopni, znaczyły, że są tam dwa mieszkania. Wspinała się na palce, by znad płotu dostrzec, czy któreś z nich już ktoś zajmuje. Na parterze i na piętrze okna były szczelnie zamknięte, a zachodzące słońce rozmazywało się w bielmie brudnych szyb.

— Pani do kogo?

Drgnęła. Uliczka była pusta i jakby wymarła. Odwróciła się powoli, z ręką zmierzającą ku kaburze. Wysoki, szczupły mężczyzna o dawno nie strzyżonych włosach, w spodniach cywilnych i rozchełstanej koszuli, stał po drugiej stronie ulicy za płotem i uśmiechał się przyjaźnie do Anki. Odpowiedziała pytaniem:

— Pan tu mieszka?

— Tak, siostró — poprawił się — mieszkam naprzeciw domu, który siostrę tak zainteresował.

— Pan mnie zna?

— W takim małym mieście? Nazywam się Wypych. Z tyłu za domkiem mam, a właściwie będę miał, ogród warzywny. Jestem z zawodu ogrodnikiem i burmistrz przydzielił mi ten ogród. Chce tu siostra zamieszkać? Bardzo bym się ucieszył. Wreszcie miałbym sąsiada.

— Czy ten dom nie zajęty?

— Cały wolny, i te dwa obok też. W moim sąsiedztwie też nie zajęte. W nocy nie jest tu przyjemnie. Różni się włóczęgą, dobijają do drzwi. Kilka z tych domów splądrowano. Niech się siostra sprowadzi i może jeszcze ktoś by chciał.

Burmistrz nie odradzał, choć miał wątpliwości, czy dobrze jej będzie na takim odludziu.

— Otwartych wrogów nie boję się.

— Tam są dwa mieszkania po trzy pokoje z kuchnią.

— Mógłby sierżant nie dawać nikomu przydziału na to drugie

mieszkanie?

— Masz kogoś na myśli? Prezesa?

— O nie. Może któryś z naszych będzie potrzebować po demobilizacji?

Wolałabym mieć żołnierza za sąsiada.

Sierżant przyjrzał jej się uważnie.

— Kto wie...

Wzięła od sierżanta klucze i następnego dnia wczesnym popołudniem dopasowała jeden z kluczy do zardzewiałego zamka w furtce.

— Może pomóc? — usłyszała.

To Wypych. Podziękowała. Chciała samotnie obejrzeć swoje pierwsze w życiu mieszkanie. Ogrodnik ze zrozumieniem pokiwał życzliwie głową.

— Jeżeli pani będzie coś potrzebowała, proszę tylko zawołać. Samemu za furtkę lepiej nie wchodzić. Mam wyżlicę, prawie niema i cichcem potrafi zębami złapać, nawet nie warknie. Potrzebny tu jest pies.

Podziękowała i ruszyła do drzwi oznaczonych numerem jeden. Znalazła odpowiednie klucze do dwóch zamków. Pchnęła drzwi. Wionęło w nią z głębi mieszkania stęchlizną i kurzem. Zajrzała do kuchni. Stamtąd prowadziły drzwi do łazienki. W szafce nad stołem znalazła szklanki, kieliszki. Pod stołem garnki, patelnię. Kuchnia była sprzątnięta, jakby ktoś niedawno wyjechał na urlop. Pokoje, duże i przestronne, w amfiladzie, miały za to wygląd pobojuwiska po stoczonych tu niedawno walce. Sięgnęła ręką do oparcia miękkiego, kwiecistego obitego fotela. Opuściły ją w jednej chwili siły, ugięły się pod nią kolana. Usiadła z kluczami w ręku i wzrokiem toczyła po ścianach, oknie z wiszącymi firankami, żyrandolu. Straciła jakby poczucie rzeczywistości.

Jakże, to wszystko jest moje? Siedzę tu na fotelu z własnymi kluczami do własnego mieszkania?

Wstała i na drżących nogach jeszcze raz przeszła się po pokojach. Jak niewidomy, potrzebujący potwierdzenia istnienia realnego świata poza jego własnym mrokiem, wodziła palcami po oknach, po tapetach drugiego pokoju, po otwartych drzwiach. Raptem dotknęła czołem zimnej ściany. Zapłakała. Nie wiedziała, co robi. Szloch wydierał się nie kontrolowany, bez jej woli,

niby potok wylewający się raptem po zerwaniu tamy. Zalaną łzami twarz przytuliła w końcu do ściany i całowała ją. Tak zastał ją sierżant-burmistrz, który zaintrygowany zaszedł, by zobaczyć, czy Ance odpowiada mieszkanie. Nie wiedział, jak się wycofać, by nie być świadkiem tej sceny, która ścisnęła go niespodziewanie wzruszeniem za gardło, a bał się też ruszyć, by nie spłoszyć dziewczyny. Wiedziała, że jest, i powoli odwróciwszy się podeszła do niego. Nie zauważył, kiedy pochyliła się do jego ręki.

— Anka! Zwariowałaś! Ja nie ksiądz proboszcz!

Edmund zaskoczony dowiedział się następnego dnia, że Anka wynosi się ze schroniska, z pokoiku przy ambulatorium. Taka nagła decyzja? Zrozumiał, że wymyka mu się nagle spod wpływów. Dlaczego? Ma tu zostać sam?

— Mieszkają tu dwie kucharki, cztery kuchenne, twoja sekretarka i przyuczona sanitariuszka, moja pomocnica. Powiedz, którą chcesz, a wybiorę ci nawet dwie. Dwie chyba wystarczą do posług, byś wyglądał czysto i elegancko. Możesz wybierać.

Mimo ostrych słów widział jej błyszczące oczy. Rozumiał, co to znaczy. Kto wie, czy nie przełamie tego buntu. Dała się objąć ramieniem i zaprowadzić na zieloną pluszową otomanę. Wtulona siedziała obok niego z przymkniętymi powiekami. Do jej ucha płynęły znów słowa kojące, wygłaszane aksamitnym, łagodnym tonem.

— Rozumiem cię, Aniu, że pragniesz własnego mieszkania, masz dosyć koczowania w tymczasowych miejscach. Trzeba jednak było porozumieć się ze mną. Również chętnie się stąd wyprowadzę. Razem zamieszkamy, lub jako sąsiedzi, drzwi w drzwi. Krasicki pomoże.

Włosy jej puszyste, myła je wczoraj, rozsypały się po ramieniu, łaskotały policzki, nozdrza. W czasie tej rozmowy poczuł raptem żal, że coś umknęło mu spod obserwacji, jakiś szczegół zapowiadający jej obcość. Nie przeciwdziałał w odpowiednim czasie. Pachniała świeżością wczesnego poranka, rosą na drzewach. Delikatnie, ale stanowczo wysunęła mu się z objęć, uniosła ku niemu twarz i spojrzała suchymi, może zbyt suchymi oczami.

— Nie zamieszkamy razem ani w sąsiedztwie. Mam już własne

mieszkanie, dla siebie.

Sięgnęła po jego rękę, przycisnęła ją do ust krótkim, mocnym pocałunkiem.

— Za te trzy miesiące pięknych złudzeń. Dziękuję ci i za to. Dla mnie to wiele. Nie musiałeś być dobry. Wystarczyło, że byłeś, ale... to wszystko, mój miły. Wstała, wstrząsnęła jasną szopą włosów, trzasnęła obcasami.

— Cześć! Poproszę o pozwolenie odejścia!

Edmund wyjrzał oknem za Anką. Do szoferki starego zisa wrzuciła swój żołnierski, niewielki tobołek. Kierowca coś mówił do niej, ze śmiechem zapuszczając motor. Nie spojrzała nawet do góry. Kierownik punktu PUR zwrócił się do burmistrza z prośbą, że wolałby obsadzić obecnie personel schroniska repatrianckiego osobami cywilnymi. Krasicki nieco zdziwiony porozumiał się z Ignacem.

— O co mu chodzi?

— Nie wiem, ale uważam propozycję za słuszną. Zresztą, pracują tam wraz z Anką tylko trzy osoby z wojska. Dwie trzeba odesłać do dywizji albo zaproponować osiedlenie się w miasteczku, Ankę zabieram do oddziału. Muszę mieć pod ręką sanitariuszkę.

Krasicki myślał chwilę, zanim go zagadnął:

— Chcesz porucznik zatrzymać Ankę w wojsku? Słyszał o zmianach? Stale tu wojsko gospodarować nie będzie. Może i jej należałoby przejść do cywila?

— Ma dostać awans na plutonowego.

— To co? Niech jej dają nawet sierżanta, ale... do cywila, poruczniku. Zostanie w miasteczku. Ma już mieszkanie, to jakby zarzuciła kotwicę.

— Co będzie robić? Nie otworzy ośrodka zdrowia, mimo że potrzebny, bo ma za małe kwalifikacje. Jest wojskową sanitariuszką, a nie pielęgniarką, choć ma tam jakieś cywilne papierki. Może burmistrz sklep spożywczy jej przydzielili albo gospodarstwo rolne?

— Kochanieńki, nie skrzywdzę dziewczyny, nie zostawię na bruku. — Ignac nie rozumiał, o czym myślał Krasicki. Ten bawiąc się jego zdumioną miną wyjaśniał:

— Zrobię ją fabrykantem, czyli krwio pijcą, jak to się mówi. Ot co!

Ignac nieznacznie pociągnął nosem sądząc, że burmistrz nieco sobie podpił. Krasicki to zauważył. Zadowolony z wywołanego wrażenia teraz już nie żartował.

— Czy są jeszcze w mieście unieruchomione zakłady przemysłowe, właściwie większe warsztaty? Są. Mam do wyboru: dwie cementownie, zakład kruszywa, dwie huty szkła. Nic jeszcze nikomu nie mów, ale pomyśleć warto. Komu to dać, jak nie swojakowi?

— Ona się na tym nie zna.

— Sam mówiłeś, że z Warszawy, to czego teraz kręcisz? Zaczekajmy jeszcze, a tymczasowo weź ją do oddziału.

Anka bez żalu pożegnała schronisko, za to z radością została przyjęta przez żołnierzy. Ignac nawet burczał, że ich rozpieszczą, bo dokonała przeglądu zdrowia i wynalazła drobne dolegliwości. W mieszkaniu zajęła tylko jeden tymczasowo pokój, nie mogąc się pozbierać z uporządkowaniem dwóch pozostałych, ale umyła wszystkie okna, pomalowała drzwi wejściowe do dwóch mieszkań.

Kiedyś zaczepiła Ignaca.

— Jak myślisz, czy nasz rotmistrz długo będzie gospodarować na folwarku? Nie uda ci się go ściągnąć do wojska?

Nie był zaskoczony jej pytaniem. Sam o tym myślał, tym bardziej, że był na odprawie, gdzie powiadomiono ich o tworzeniu w najbliższym czasie specjalnej jednostki do ochrony granic. Ignac z zapałem od razu się zgłosił. Po odprawie, w rozmowie z pułkownikiem Jurkiewiczem, bąknął coś o Fabianie. Pułkownik znał Baranowicza nie tylko z gospodarowania w Cielątkowie. Kiwał więc głową, że udał się ten rotmistrz, więc chyba warto by go nie zgubić.

Zmierzch zapadał w maju dość późno. Baranowicz szedł jeszcze widnymi ulicami ku swemu mieszkaniu. Dziwnie plecie się to jego życie po wyjściu z obozu jeńców, myślał. Minął równy rok od tego maja 1945 roku. Wszystko stało się właściwie za sprawą dwóch osób, Ignaca i Anki. Dzięki nim znów uwierzył w siebie, wyszedł z tego zaczarowanego, kamiennego koła placu

apelowego. Przeżył chwile radości w Cielątkowie. Oboje uratowali go, tak, nie miał wątpliwości, że go uratowali i wyciągnęli z folwarku w ostatniej chwili. Skąd pułkownik Jurkiewicz wiedziałby o jego istnieniu? Ona... uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie Anki, załatwiła mu mieszkanie i to w tym samym domu, gdzie sama zajęła lokal na parterze.

Dziewczyno, nie rozumiem ciebie — westchnął i znów twarz rozjaśnił mu uśmiech. Wiedział, co odpowiedziałyby: co tu jest do rozumienia. Właśnie tak określała: życie się plecie bez naszego w nim często udziału. Nie pytał ją nigdy o prezesa. Ignac, chłopak szczery, z Woli, chyba trafił w dziesiątkę określeniem, po prostu „wredna morda”.

Fabian poznał przyjaciółkę Anki, dziewczynę uroczą, choć wiało od niej smętkiem żalobnym. Inka prowadziła szkołę podstawową w miasteczku i mieszkały razem. Kiedy ją zobaczył po raz pierwszy, zajmowały jeden pokój w trzypokojowym mieszkaniu. Z czasem, nie chcąc Inki krępować, Anka urządziła dla niej gabinet-sypialnię w ostatnim pokoju w amfiladzie. I znów Fabian pokręcił głową myśląc o tych dwóch dziewczynach, a właściwie stale o jednej. Anka była zaborcza w uczuciach. Wiedział, z jaką zachłannością zagarnęła Inkę. Tamtą poznał pod koniec listopada 1945, gdy przybył z Cielątkowa i objął komendę odcinka granicznego mieszkając właściwie w miasteczku, a nie w siedzibie komendy w powiecie. Inka miała twarz podobną do ciemnych, świętych kobiet z ikon, zachowujących w przymkniętych oczach tajemnicę nieprzeniknioną. Mówiła zawsze spokojnie, cicho, jakby ważąc słowa, choć nieraz głos barwiła melodia dobrotliwej drwiny. Przyzwyczał się do jej obecności w mieszkaniu Anki, nie czuł się przy niej skrępowany, choć nieraz jakby chwytał w jej oczach uważne spojrzenie, którym go obrzucała, a może nawet pytanie.

Nieraz zaglądał do „kobiecego mieszkania”. Jego, na pierwszym piętrze, było nadspodziewanie przygotowane, gdy wręczył mu klucze burmistrz.

W parę dni po wprowadzeniu poznał sąsiada z naprzeciwka, ogrodnika Wypycha.

— Panie kapitanie, to złota dziewczyna! W kilka tygodni doprowadziła do ładu mieszkanie i ogród. Nie powiem, doradzałem jej, ale harowała w nim,

jakby się zapamiętała. Gdy przydzielono panu to na piętrze, urzędowała je też jak własne. Szorowała i pastowała podłogi, myła okna, sprowadzała z różnych stron meble. Sam pan zobaczy.

Fabian widział je i... wiedział. Anka wyrywała ręce, gdy wzruszony całował każdy palec za tyle włożonej pracy. Kwitowała to po swojemu.

— A może mam w tym jakąś własną przyjemność, a rotmistrz...

— Pamiętasz...

— Tak, nieraz zapominam... doszukujesz się mojej dobroci lub diabli jeszcze wiedzą czego. Robię to po prostu z przyjemnością, dla siebie.

Widocznie też „dla siebie” opiekowała się koleżanką. Siedząc u nich na herbacie bywał świadkiem, gdy Anka mimo protestów Inki zabierała z jej pokoju rzeczy do prania, prasowała sukienki czy spódniczki. Raz, może ze względu na obecność Fabiana, Inka aż się zachnęła.

— Ale mnie to krępuje!

— Nie miałam nigdy siostry, a zawsze chciałam mieć — odpowiedziała z jakimś bolesnym spojrzeniem i Inka już nic nie dodała.

Tego nie słyszał naturalnie Fabian, gdy kiedyś przyjaciółka wprost zagadnęła Ankę:

— Nieraz nie potrafię cię zrozumieć. Szykujesz to mieszkanie na górze, chodzisz tam codziennie, chuchasz na zgromadzone mebelki, niemal zedrzesz podłogę od stałego froterowania. A gdyby...

Ciężkie powieki Anki uniosły się w górę w oczekiwaniu na pytanie. Pod jej spojrzeniem Inka opuściła wzrok, ale mówiła dalej, bo uważała, że musi to powiedzieć.

— ... a gdyby powróciła pani Anastazja? Nie czułabyś się zawiedziona, skrzywdzona, upokorzona?

— Nie. Ani ja, ani Fabian nigdy nic sobie nie obiecywaliśmy, nie snuliśmy żadnych planów na przyszłość. Po prostu, zawsze mówiłam, jesteśmy przyjaciółmi. Czy to jest przestępstwem?

— Nie, ale...

— Co jeszcze? Nie zauważyłaś, że Fabian też mnie lubi? Nie okazuje tego może w słowach, gestach, tanich zresztą przeważnie, gdyby pozostały

gestami, ale... w postępowaniu.

Inka nie była ślepa. Pamiętała dni zimowe, gdy Fabian mieszkał na pierwszym piętrze. Kiedyś pod wieczór zastukał do nich. Ledwie mu otworzyły drzwi, tak był obładowany paczkami.

— Moje panie! Dziś ja przyrządzam kolację.

Chciały mu pomóc, ale wygonił je z kuchni. Żartując opowiadał, że dawno nie miał okazji pokazać, jakie zdobył umiejętności kulinarne w obozie jeńców. Śmiesznie i niezwyczajnie wyglądał w swych butach z cholewami, w bryczesach, przepasany fartuchem wiązonym na krzyż. Zdobyl gdzieś cielęcinę. Szynce wytrybował z żyłek, dobrze obtoczył w jajku i bułce, podał z sadzonymi jajkami, do tego niewielkie, całe kartofle, z bułeczką przysmażoną na maśle. Na deser przemyślna babka z ryżu z rodzynkami i aromatyczna herbata.

Nie pozwolił im się ruszać z miejsca. Sam nakrył do stołu, a następnie po zdjęciu fartucha stwierdził, że to on przyszedł w goście. Włożył wojskową kurtkę, poprosił o wejście. Przed talerzem każdej z nich położył dwa maleńkie bukietki sztucznych kwiatów.

— Panie przyjmują?

Inka dostrzegła blask uśmiechu w jego oczach, gdy spoglądał na twarz Anki, choć jednocześnie nie ominął sposobności, by usłużyć i jej przy stole okazując żywe zainteresowanie sprawami szkoły. Staroświecki według Inki w świadczonych im grzecznościach, ale miły w rozmowie, nie narzucający się swym zdaniem w sprawach, na których się nie bardzo znał. Wyraźnie troszczył się o pracę Anki w hucie. Dopytywał stale, czy Anka da sobie radę z tysiącami obcych dla niego problemów. Słuchał z wyraźnym zadowoleniem jej przechwałek i opowiadań, jak załatwia skomplikowane sprawy dostaw i zbytu, jak radzi sobie z pracownikami, obieżyświatami potrafiącymi najlepszego fachowca wyprowadzić w pole. Kręcił tylko głową w niemym uwielbieniu, gdy relacjonowała, w jaki sposób załatwiała sprawy w urzędach, które niedawno powstały i pracowały niemal po omacku, równie amatorsko jak ona prowadziła swoją hutę.

Największe trudności miała z dostawami węgla, którego owej pierwszej

zimy z ledwością starczyło na ogrzanie mieszkań. Grzegorz przy pomocy miłośników książek z narażeniem życia nieraz wchodził, jak i inni, do wypalonych domów i z piwnic wydobywał jakieś resztki, by ogrzać bibliotekę. Często kopiąc łopatomy słyszeli usypujące się nad nimi ruiny nadwątlone deszczem, śniegiem i hulającym wiatrem. Anka z chwilą rozpoczęcia zabiegów wokół uruchomienia huty dostała jakiś tam przydział, to znaczy zezwolenie z poparciem władz, ale musiała po węgiel i koks często sama jeździć ciężarówką do najbliższej kopalni lub z pomocą znajomych uzyskiwać transport kolejowy. Zawsze mogła liczyć na zdemobilizowanych żołnierzy, zatrudnionych na kolei lub w kopalni. Zanim powstał Związek Osadników Wojskowych, ci, którzy zdjęli z siebie niedawno mundury, czuli się solidarnie związani z byłymi kolegami i gdy tylko mogli, wzajemnie przychodzili sobie z pomocą, by się tej ziemi wyśnionej i z trudem zdobytej utrzymać gołymi bodaj paluchami, nierzadko o głodzie.

Odwiedziny Fabiana były więc nie tylko gołosłownym aktem przywiązania do Anki, co doceniały właściwie. Jego gospodarzenie w kuchni przy przyrządzaniu posiłków, a następnie zmywaniu po kolacji miało dla Anki urok niecodzienności. Nie знаła takich mężczyzn. Było to znów nowe dla niej odkrycie.

— Chce pan być gościem czy gospodarzem? — żartem raz zapytała Fabiana Inka.

— Może zjawiającym się dobrym sąsiadem? Dobrym dlatego, że nie absorbującym. Znika, gdy może stać się natrętny i zbyteczny.

Nie uszło uwagi Inki, gdy Fabian kiedyś przy pożegnaniu całował wnętrze dłoni Anki.

Takie kolacje, jak owego zimowego wieczoru, powtarzały się później często. Nie zapraszał ich nigdy do siebie uważając, że jego mieszkanie jest zimne, bo właściwie nie zamieszkałe, jak hotelowe pokoje.

Bywało jednak, że kapitan przyrządzał u siebie kolację i prosił Ankę, by ją zabrała dla nich na dół. Zdarzało się to wtedy, gdy usłyszał w mieszkaniu dziewcząt głos Edmunda.

— Nie znosisz go? Czyżby zazdrość, złośniku? — zagadnęła go kiedyś

Anka.

— Czy nie znoszę? Mało! Na jego widok dostaję po prostu mdłości. Myślę, że myje się jakimś pachnącym mydłem, którego woń nawet psy odstrasza na ulicy. Nie zauważyłaś, że nie lubi psów albo może... psy jego?

Edmund nie zrezygnował z łatwej zdobyczy, jaką była dla niego Anka. Po jej odejściu z punktu repatriacyjnego do oddziału nie widywali się, aż kiedyś, gdy przeniesiona do rezerwy zajęta była otwarciem huty, zjawił się z niedużym blondynkiem, który poszukiwał pracy. Znał się podobno doskonale na szkłe, pracował przed wojną i w czasie okupacji w hucie pod Warszawą. Ziemski, tak nazywał się ów mistrz, wyraził chęć poprowadzenia huty pod kierownictwem Anki. Obiecał dobrać sobie nawet pracowników.

— Może tutejszych Niemców? Niektórzy pozostali i chcą się podobno osiedlić na stałe?

Ziemski miał inne zdanie. Nie warto wchodzić z nimi w jakiegokolwiek stosunki. Dziś są, a jutro zdecydują się wyjechać. Zresztą większość z nich to szlifierze kryształów. Ta huta może dawać dochód z produkcji szklanek, spodeczków, kieliszków, słowem produktów użytkowych i dziś najpotrzebniejszych. Edmund jakby zapominając o dawnych przykrych rozmowach, o konflikcie, który spowodował odejście Anki ze schroniska, narzucał się z pomocą w załatwieniu zamówień, prowadzeniu korespondencji urzędowej.

— Chętnie zostanę twoim radcą prawnym.

Anka zapaliła papierosa puszczając ze stulonych ust kółka dymu.

— Za ile?

— Za jakiś drobny, cichy udział.

— Wolałabym wiedzieć jednak za ile?

— Dwadzieścia procent od zysku. Nie jestem zachłanny.

— Który to już jest udział?

Nie rozumiał. Zaśmiała się.

— Zapominasz, że bywam nieźle poinformowana. Cementownię otworzył były sierżant z artylerii ciężkiej, krawcowi z łączności dostarczasz materiał przez pośredników...

— Bądź dyskretna, starczy!

— Zgadzam się na dwadzieścia procent, ale pamiętaj, że jako szefowa jestem wymagająca i mam twardą rękę. Będzie procent, jeżeli naprawdę pomożesz w interesach. Nie za darmo!

Podobnie rozmawiała z Ziemskim, któremu zapowiedziała, że ta „buda” może być dla zatrudnionych żyłą złotą, o ile będą chcieli pracować.

Podczas „odprawy”, nie zmieniła swoich nabytych w wojsku określeń, z pierwszą grupą zwerbowanych robotników wyjaśniała krótko:

— Możecie od majstra Ziemskiego nauczyć się zawodu, o ile któryś skłamał, że pracował w hucie szkła. Rozumiem też, że możecie początkowo nieraz spartolić robotę, ale... — tu zatrzymała się na chwilę i zimno spoglądała w ich oczy — nie zniosę lenistwa, objiania się i siucht na własną łapę. Jeżeli kogo na tym złapię, wyleję na mordę i jeszcze dokopię.

Cennym nabytkiem okazał się również drugi hutnik szkła, z samej Warszawy, niejaki Franciszek Balbula. Ten bez długich wstępów jasno postawił sprawę. Jeżeli szefowa da zarobić, on za nią w ogień wskoczyć może. Sprowadził go jej sąsiad, ogrodnik Wypych. Znał Balbulę właśnie z Warszawy i za niego ręczył. Dodawał, że chyba Anka może bardziej wierzyć w fachowość Franka niż majstra. Tamten może ma i papiery, ale Balbulę Wypych znał od lat, jeszcze z Targówka.

Z pewnym zdziwieniem Edmund zauważył zmianę w zachowaniu Anki albo w samej Ance. W mundurze była potulniejsza, teraz jakby nabrała pewności siebie. To mu się podobało. Może być niezłym partnerem w interesach. Nie we wszystkich, okazało się niedługo.

Chciał dostać od niej ciężarówkę na dwa dni. Benzynę załatwił. Ciężarówkę otrzymała na spłaty z demobilu. Grat był wysłużony, ale na chodzie.

— Gdzie chcesz ją wysłać?

Speszył się.

— Różne sprawy, zresztą może przywiozę coś dla ciebie z Warszawy.

Poruszyła przecząco głową.

— Musisz pamiętać raz na zawsze: żadnych „różnych” spraw, ani „coś”

dla mnie nie przywieziesz moją ciężarówką. Swoje sprawy, drogi Edmundzie, będziesz załatwiał beze mnie. Ze mną tylko moje, znaczy huty.

— Ależ...

Stuknęła stanowczo ołówkiem w blat biurka.

— Nie obchodzi mnie, co stąd wywozisz. To sprawa milicji, nie moja. Wiem cośkolwiek, ale powtarzam, chcę rozkręcić ten interes, a w dochodzenia się nie bawię. Staraj się, by twoje dwadzieścia procent było wystarczająco duże.

Inka poznała Edmunda. Wiedziała, że Anka jest ciekawa, jakie wywarł na niej wrażenie. Nie pytała się Anki, co łączyło ją z tym lalusiem, ale pamiętała ostrzeżenie z pierwszego dnia, gdy przyjechała do miasteczka. Odpowiedziała więc szczerze:

— Wrażenie? Żadne. Mydłek, warszawski kawiarniany mydłek. Tacy handlowali wszystkim, co się dało, i uważaj, bo nigdy nie zaprzestaną swego procederu.

Propozycja Edmunda wypożyczenia ciężarówki zbiegła się z ostrzeżeniem Inki. Anka zbyt sobie ceniła życzliwość kolegów z wojska, by narażać opinię przez wdawanie się w podejrzone interesy. Od razu też ostrzegła Janka Ziębę, przyjętego jako kierowcę.

— Panie Janku! Możemy kraść konie, ale razem. „Kape?” Nic w tym interesie nie może dziać się beze mnie. Lewych kursów brać nie radzę, bo się dowiem, a wtedy... W grudniu Fabian troszcząc się o bezpieczeństwo dziewcząt sprowadził na sznurku duże, kudłate „bydlę”, jak go swoiście pieszczotliwie określiła Anka. Psisko miało gęstą, kręconą sierść białą i puszysty po wiejsku zakręcony ogon. Ślepią bystro wlepił w dziewczęta, obwąchał je ostrożnie i zaakceptował.

— Znajda — oświadczył Fabian — a bezdomne psy jak samotni ludzie przywiązują się do tych, którzy przygarniają je pod swój dach. Myślę, że pilnować będzie moje panie w zimowe noce. Musicie wybrać tylko jakieś oryginalne imię, na które z wyglądu swego zasługuje.

— Azor — wypaliła bez namysłu Anka. — Może to nie oryginalne, ale swojskie, prawda, Inka?

Wymyty, szorowany w wannie nawet zbytnio nie protestował, bo węchem wylapał przyjemne zapachy dolatujące z kuchni, gdzie gospodarował Fabian. Miał rację kapitan. Od chwili zamieszkania Azora poczuły się różnie. Nadstawiając swe duże, kosmate uszy psisko wychwytywało każdy ruch za oknami. Biegł wtedy do drzwi i cicho warczał.

To był chyba styczeń 1946. Śnieg pokrył drogi. Anka saniami zaprzężonymi w dwa konie jechała do powiatowego miasta. Usłyszała, że ktoś ją woła po imieniu.

Zakopany na ulicy w śniegu „garbus”, obok dziewczyna w półkożuszk. Spod jaskrawożółtej włóczkowej czapeczki wymykały się kosmyki jasnych włosów. Machała do Anki dłonią w równie żółtej rękawiczce.

— Danka!

Drobinki śniegu oblepiły zaróżowioną pyzată twarz dziewczyny, czepiały się długich rzęs.

Anka już nie pamięta, czy we wsi Pokora była po imieniu z panią kierowniczką sklepu, ale czy to ważne, skoro naprawdę przeżyły wspólnie takie niecodzienne dni? Wyciąłowały się serdecznie. Danka chyba jeszcze wyładniała. Była wyższa od Anki. Na gust Anki zbyt przytyła.

— Cholera! Nie mogę ruszyć tym gratem. Trzeba gdzieś usiąść i pogadać.

Anka musiała jeszcze załatwić sprawy huty. Poprosiła, by Danka chwilę zaczekała. Doczepi „garbusa” do sanek i pojedą do niej, do miasteczka. Da jej u siebie mieszkanie, choćby na miesiąc. Muszą porozmawiać. Inka by jej nie darowała.

— Inka? Taka mała...

— Tak. Jest u nas kierowniczką szkoły — z pewną dumą relacjonowała Anka.

Z zainteresowaniem oglądała kapce na nogach Danki.

— Nowa moda?

— Na wzór zakopiańskich lub może huculskich. W Warszawie szaleją za kapcami. W parterowych ledwie wyremontowanych domach na Marszałkowskiej, na Chmielnej coraz więcej sklepików i zawsze są obłożone.

— Mimo jeszcze nawet nie uprzątniętych gruzów?

— Cóż, to chyba normalne?

— I to też normalne, że jutro ściągnę ci z nóg te kapce i pożyczę choćby na godzinę.

— Chcesz przedefilować w nich przez swoje miasteczko?

— Nie. Pokażę je panu Stanisławowi, naszemu szewskiemu mistrzowi. Nie będziesz miała nic przeciw temu, że odrysuje nowy fason? U nas kobiety też chcą modnie wyglądać.

— Bardzo się cieszę. Będę miała pretekst spania do południa. Ogromnie stałam się leniwa.

We trzy nie mogły się nagadać. Inka nawet nie żałowała nieobecności Fabiana i przyrządzonej przez niego kolacji. Miały swój panieński wieczór. We wspomnieniach ze wsi Pokora Inka urosła u Danki na serdeczną przyjaciółkę. Ta nie protestowała, bo tragiczne ostatnie miesiące wojny związały ze sobą bardzo silnie wszystkich ludzi zamieszkałych w Pokorze i można było teraz nawet dokonywać pewnych korekt na temat ludzi. Okazało się, że Danka zamieszkała na stałe w Warszawie, gdzie odnalazła wielu wspólnych znajomych. Przerzucały się gorączkowymi okrzykami, gdy nagle Anka drgnęła spojrzawszy na Azora leżącego na dywanie z mordą tuż przy talerzyku z ciastkami. Pies uniósł uszy, odwrócił łeb w stronę okna bystro spoglądając w smolistą czarną noc za szybami przysłoniętymi siatkowymi firankami. Wstał powoli i na zgiętych nieco łapach ruszył do przedpokoju.

— Ktoś się chyba tłucze po nocy.

— Może tylko przechodzień.

Raptem Azor zaszczekał potężnym basem ze złością rzucając się na drzwi. Odezwał się za chwilę dzwonek.

— Fabian? Miał mieć czterdziestoosmiodziną służbę. Zresztą Azor zawsze szczeka wtedy inaczej. Ósma wieczór? W tej głuszy?...

Wstała z tapczanu wsuwając stopy w ciepłe filcowe pantofle. Z szuflady kredensu wyjęła nagan.

— Zapytaj się, kto idzie, zanim będziesz strzelać — rzuciła ironiczną uwagę Inka. Anka ujrzała oblepioną śniegiem twarz Edmunda. Musiała

zamknąć w kuchni Azora, który nie darzył sympatią byłego prezesa.

— Co cię diabli noszą po nocy?

Całował jej rękę zimnymi, mokrymi wargami.

— Byłem w tej okolicy i wstąpiłem do was na herbatę, bo zmarłem. Nie w porę?

— Cholernie nie w porę, ale wchodź.

Inka zerwała się z tapczanu poprawiając włosy, ale Danką nawet się nie poruszyła na widok wchodzącego mężczyzny. Z miną znudzonej księżniczki z bajki podała mu dłoń do pocałowania.

Nastrój wspomnień prysł w jednej chwili. Anka pomyślała, że może to i lepiej. Przyniosła z kuchni karafkę jakiejś rodzinnej nalewki. Rozmawiali o wszystkim i o niczym. Inka dostrzegła, że ci dwoje, Danką i Edmund, mają coś pokrewnego w oczach, w spojrzeniu. Nie myliła się. Danką pozostała w miasteczku jakiś czas. Znikała na cały dzień, a pod wieczór zjawiała się w mieszkaniu dziewcząt.

Edmund z niebywałym u niego pośpiechem krążył po mieście, konferował z różnymi ludźmi, bywał w powiecie, na stacji kolejowej.

W dniu wyjazdu Danki zniknął z miasteczka. Przejeżdżający konno Ignac dostrzegł go, nie mówił o tym nikomu, jak poza miastem pan prezes wsiadał do oczekującego na niego „garbusa”. Edmund mógł być zadowolony. Nie tylko nawiązał korzystne kontakty handlowe, ale Danusia odjeżdżając miała w wagonie towarowym na innej stacji załadowane jeden fortepian i cztery pianina, które uwoziła ku zburzonej Warszawie.

Anka wiedziała już o spodziewanym transporcie repatriantów. Ujrawszy w drzwiach Fabiana, Inka była w swoim pokoju, przytuliła się do niego i wyszeptała:

— Wiem, pragnę też, byś doczekał się Anastazji. Pamiętaj o tym, pragnę tego!

Wieczorem po kolacji siedzieli zamyśleni we troje. Wtedy to właśnie Anka poprosiła, by opowiedział im o sobie, ale o tym czasie, gdy żył nad granicą, miał własny domek przy strażnicy.

Niepewność jutra i wspomnienia, do których sprowokowała go Anka, nie

pozwoili Fabianowi zmrużyć oka. Krążył cicho, boso po swym trzypokojowym mieszkaniu wypalając mnóstwo papierosów. Tylko dzięki ciepłej nocy nie zaczął od tytoniowego dymu, bo szeroko otworzył na dwór wszystkie okna.

Dniało, gdy wygolony i umyty ruszył ku strażnicy. Nie chciał tego ranka z nikim się spotkać.

Na strażnicy oczekiwał go już przybyły sierżant Sieliczko z ośmioma żołnierzami. Poprzebierani w półcywilne ubrania wyglądali dziwacznie. Kapitan odbył z nimi krótką naradę. Nie musiał wiele tłumaczyć. Sieliczko szybko zorientował się, o co chodzi. Ruszyli na miasto w kierunku stacji. W dyżurce zawiadowcy umieszczono grupę żołnierzy pod dowództwem podporucznika Małynicza. Wzmocniono również posterunki obserwacyjne na moście granicznym.

Na placu dworcowym gromadzili się ciekawi lub przypędzeni tu nadzieją. Fabian z Ignacem spacerując po peronie niecierpliwie zaglądali do okienka zawiadowcy stacji. Zegar w jego pokoju tykał miarowo i cierpliwie. W pewnej chwili Mularczyk wyszedł z dyżurki.

Na peron wybiegły pielęgniarki, wtoczyły się dwie kuchnie polowe. Niemal jak rok temu zbliżał się ku stacji długi wąż towarowych wagonów. Już z daleka, w otwartych drzwiach, migały twarze wyglądających ludzi.

Obok Fabiana i Ignaca stanął Krasicki, w drzwiach stacji ukazał się Grzegorz ze swoją Marysią.

Zebrani na peronie żołnierze, sanitariuszki, kolejarze i cywile powitali brawami wtaczający się między perony pociąg.

Zgrzyt hamulców.

Z pierwszego wagonu zeskakuje niewielkiego wzrostu pielęgniarka. Witając się z Fabianem, Krasickim i Ignacem podnosi ku górze twarz, drgają jej nerwowo powieki, może błyszczą łzy.

— Powracamy z Ugandy... Nareszcie po siedmiu latach znowu w Polsce.

Krzyk, płacz, śmiech. Ku niej biegnie Anka wraz ze zmobilizowanymi dworcowymi sanitariuszkami. Tak, siostra prosi o pomoc, może jest tu lekarz...

Na peronie pojawiły się nie tylko trzy lekarki dywizyjne, ale znalazł się i weterynarz Krępacki.

W ogólnym rozgardiaszu czuwa sierżant Sieliczko ze swoimi ludźmi.

— Nie — zaprzecza zapytana siostra PCK — w każdym wagonie jest komendant, nikt obcy nie wsiadł ani we Włoszech, ani w Niemczech.

Stojąca obok Grzegorza Marysia chwytła go nagle za ramię.

— Panie doktorze, mama!

Fabian oraz Ignac widzą, jak dziewczynka z biblioteki przedziera się przez tłum.

Wysoka kobieta o twardej chłopskiej, ogorzałej twarzy zeskakuje na peron z wagonu. Nie wierzy. Stoi chwilę, spogląda ostrożnie, z uwagą w twarz małej, zabiedzanej dziewczyny.

— Marysia?

Grzegorz jest w pobliżu. Spogląda na tę scenę i jednocześnie wzrokiem poszukuje Fabiana, który cofnął się pod ścianę budynków stacyjnych, by mógł obserwować ludzi przyjezdnych. Wszystkie formalności załatwia Ignac. On zaprowadza też porządek, z góry ustalony tok przejścia repatriantów. Obok Marysi i jej matki robi się tłoczno. Jest ojciec, również wysoki, kościsty mężczyzna, spłoszone dziewczynki może po trzynaście, piętnaście lat i starsza, rozłożysta, rumiana, nawet przytęga, o płowych włosach zwiniętych w kok.

— Nie pamiętasz, to twoja siostra, Kalina...

W ramionach Kaliny niknie maleńka Marysia.

Prawie cały dzień stoi pociąg polskich repatriantów z Ugandy. Pozostało w mieście tylko kilka rodzin. Reszta rusza dalej, do Wrocławia. To Marysia właśnie przyczyniła się do pozostania swej rodziny. Komendantka pociągu, siostra PCK, rozmawiała w dyżurce z Fabianem i Ignacem. Przedstawiła dokumenty. Załatwiła formalności osób gotowych pozostać. Fabian nie miał odwagi zapytać. Zrobił to za niego Ignac.

Siostra zamrużyła oczami.

— Baranowiczowa albo Baranowicz? — szukała w swej przepaścistej torbie. I wtedy ktoś dotknął łokcia Ignaca.

Ujrzał utkwione w siebie duże, niebieskie, jakby zdziwione oczy. Kalina odciągnęła go nieco na bok.

— Panie poruczniku, czy Baranowicz, Anastazja Baranowicz miała męża w wojsku? Znaczy, w wojsku przed wojną?

Ignac pochylił się ku dziewczynie zniżając głos.

— Pani ją znała?

Opuściła głowę. Na oczy spadły jej kręcone kosmyki włosów.

— Nie wiem, czy to ta sama Anastazja. Jednak...

To był ogromny obóz polskich uchodźców. Epidemii nie można opanować. Malaria powalała z nóg nawet najsilniejszych.

Kalina była przyuczoną sanitariuszką. Do ich szpitalika Anastazja powracała kilkakrotnie. Gorączka malaryczna, powikłania, konieczność wyjazdu w góry. Droga do Kenii jest daleka. Góry Kenii doskonale leczą, ale kto tam w końcu dojechał?

— Więc nie jesteście pewni? Nie możecie powiedzieć, jaki był czy jest jej los ostateczny?

Siedzieli w gabinecie Grzegorza. Marysia wtulona między Kalinę i matkę. Naprzeciwko Ignac, a Grzegorz krążył wokół nich. Niebieskie oczy Kaliny umknęły przed spojrzeniem młodego oficera.

— Ta skąd wiedzieć? Ile polskich kości po świecie bieleje?

Ktoś szedł ostro po bibliotecznych schodach. Naprzeciw wybiegającego Ignaca prężył się słuźbiście sierżant Sieliczko jeszcze nie przebrany w mundur.

— Panie poruczniku, czy tego prezesa na wszelki wypadek nie przymknąć?

— Co on znów takiego narozrabiał?

— Nie wypada. Niby władza, bo z Komisji Likwidacyjnej, a „kaśtanami” handluje.

— Czym?

— No, niby złote funty. Chyba nieładnie, choć nie nasza to graniczna rzecz, dlatego nie zwracałem głowy kapitanowi.

Porucznika interesowała jednak inna sprawa.

— Jaki wynik obserwacji?

— Żadnych podejrzanych typków nie przyuważyliśmy. Nikt nie wysiadał na tyły pociągu, a w wagonach porządku pilnowali i pilnują wyznaczeni przez siostrę przełożoną komendanci. To zdyscyplinowani ludzie ci repatrianci z Afryki.

Ignac chciał już zwolnić Sielickę, ale ten powrócił do sprawy prezesa.

— Przymknąć go za handel?

IV. IGNAC

Na powtórne pytanie Sieliczki wzruszył tylko niecierpliwie ramionami, ale jednocześnie polecił, by podporucznik Małynicz usunął z peronów i dworca wszystkie osoby cywilne poza służbami sanitarnymi i purowskimi.

— Niech porucznik Małynicz wytłumaczy cywilom, że repatriantom trzeba dać szybko pomoc sanitarną, posiłek i umożliwić im dalszą drogę. Żołnierze łagodnie, ale stanowczo pozbędą się wszystkich niepotrzebnych, w tym i pana magistra.

— Tak jest — trzasnął obcasami sierżant.

Rodzinę Marysi umieszczono z wszelką starannością i serdecznością w opuszczonym mieszkaniu na sąsiedniej ulicy, tuż za biblioteką. Ignac z Grzegorzem pomagali nieść tobołki. Grzegorz podarował przybyłym cztery świece ze swego zapasu obiecując, że na pewno za kilka dni i do nich doprowadzą prowizoryczną linię, by mieli choć przyćmione, ale jednak światło elektryczne.

Mieszkanie wymagało wiele pracy, by doprowadzić je do porządku ale Marysia i, tak z wdzięcznością spoglądała na pana dyrektora biblioteki, że rodzice nie musieli koczować w schronisku. Grzegorz nie musiał się nawet wiele starać. Wymienił tylko kilka słów z Ignacem, który jakoś nie mógł odejść od rodziny Sobańskich. Tłumaczył się przed sobą, że chciałby od Kaliny Sobańskiej dowiedzieć się możliwie wiele o Anastazji. Wielkie, łagodne oczy wpatrywały się w czerstwą twarz chłopaka w mundurze, a głos miękki, śpiewny snuł opowieść o ich tułaczym życiu.

— Pani Anastazja pracowała w naszej spółdzielczej tkalni. Cicha, miła, spokojna kobieta, nieskora do zwady.

— Nie chorowała po przyjeździe do Ugandy?

Początkowo wszyscy jakoś się trzymali. Nie trzeba jednak zapominać, że ich ponad trzytysięczna społeczność polska osiadła nad Jeziorem Wiktorii kilkakrotnie od 1939 roku zmieniała warunki klimatyczne, od surowej Syberii,

przez południe Rosji, Irak i Iran. A byli między nimi ludzie starsi wiekiem, którzy dawniej nie wychylali nosa poza wioski na Wileńszczyźnie, Polesiu czy Podolu. Jechali też z małymi dziećmi, a i w wędrówce rodziło się niejedno. W czasie pory deszczowej szpital osiedlowy ledwie zdołał pomieścić chorych na malarię. Kalina ukończyła przed wojną seminarium nauczycielskie, uczyła dzieci polskich wysiedleńców w Związku Radzieckim, w Kojach zgłosiła się na ochotnika do pracy w szpitalu w czasie największego napływu chorych. Poznała wtedy panią Baranowiczową. Przyniesiono ją z warsztatów tkackich. Jak to w czasie choroby, Anastazja wyplakiwała trwogę nie o siebie, lecz o męża, od którego nie miała wieści. Wtedy to Kalina poznała ją bliżej, zaprzyjaźniły się.

Koja nie miała charakteru obozu wysiedleńców, była żywą, zorganizowaną społecznością pracującą w warsztatach rzemieślniczych i na plantacjach dla siebie i produkującą na sprzedaż. Kalina powróciła do zawodu nauczycielskiego. Utrzymywała przyjacielskie stosunki z Baranowiczową, którą kilkakrotnie chwytały ataki malaryczne. Dzięki finansowej pomocy Polskiego Czerwonego Krzyża mogli wywieźć ją do sanatorium w góry Kenii. Więcej Kalina nie słyszała o żonie Fabiana, może i dlatego, ponieważ kończyła się wojna, a oni w osiedlu oczekiwali powrotu do kraju. Teraz wszyscy muszą się obejrzeć na nowo, by z powrotem gdzieś osiąść na swoim.

— Znajdę gdzieś pracę? — pytał z niepokojem ojciec Kaliny. — Przed wojną byłem leśniczym, później drwalem, w Kojach nauczyłem się masarstwa, wyrabialiśmy tam nawet swoje kiełbasy.

— Jezu złocieńki — zachwyił się przybyły przed chwilą burmistrz — i pan obawia się, że będzie bezrobotny? Teraz? Zaraz jutro pokażę panu opuszczoną masarnię.

Zasiedzieli się u Sobańskich słuchając ich opowieści tułaczy. Kalina dziwnie zapatrzona w Ignaca dziękowała mu za opiekę nad siostrą Marysią.

Grzegorz z Ignacem, gdy wyszli na ulicę, zamilkli nagle coś rozważając.

— Powiesz mu o Anastazji?

Ignac przeniósł ciężkie spojrzenie na Grzegorza. Dlaczego miałby

ukrywać? Wiadomość zresztą niezbyt pewna, może siostra przełożona po rozwiązaniu transportu dobierze się do dokumentacji szpitala, ale... Fabiana trzeba przygotować. Czy zniesie?

— Zniesie — twardo odpowiedział Grzegorz. — To mężczyzna, stary żołnierz. Zniósł wiele, musi i to udźwignąć.

— Ja się tym zajmę — rzekł Ignac.

Tego wieczoru nie doszło jednak do rozmowy. Pod wieczór Baranowicz kazał osiodłać Diabła i razem z sierżantem Sielicką i kapralem Laskowskim ruszył na inspekcję odcinka.

Ignac otrzymał od kapitana lakoniczną informację na kartce. Zrozumiał przyjaciela. Znaczy to, że Fabian już wie. Ignac stał w otwartym oknie strażnicy i spoglądał na czarne, rozgwieżdżone niebo.

Ile to czasu trwa? Śmieszne, niecałe dwa lata. Wojna wciągnęła Ignaca niby przygoda. To, co niegdyś oglądał w kinach na kowbojskich filmach na Żelaznej, na Chłodnej lub w Domu Żołnierza na Pradze stało się rzeczywistością. Garstka tylko pozostała z jego kompanii Armii Ludowej, tam, w Warszawie. To był cholernie drogi film przygodowy.

Niecałe dwa lata... Jakby ktoś odbywał zasadniczą służbę wojskową w czasie pokoju i płakał biedak nad odparzeniem nóg po forsownym marszu...

Przygoda? W Borach Tucholskich, trafił na swoich, a dalej? Gdy świętowano kapitulację hitlerowskiej Rzeszy Ignac leżał w lasku przytłamszony do ziemi ogniem cekaemów i lecących stromym torem granatów z ciężkich moździerzy. Wsparte czterema czołgami natarcie jakiejś zdesperowanej grupy esesmanów rozwijało się pomyślnie. Odłamkowymi rżnęli z czołgów, aż leciały na głowy łamane konary drzew. Oni nie wierzyli ani w klęskę, a tym bardziej w konieczność złożenia broni przed chłopakami, których kiedyś rozbili na miazgę, wdeptali w mazurski piach lat temu sześć gąsienicami swoich czołgów. Wtedy Ignac poznał się z Anką, ale w owym starciu znajomość trwała może dwie minuty, może trzy. Ignac wycofywał powoli swoich, których zostawało coraz więcej tam, skąd nadchodzili czarni desperaci.

Gdzieś z boku ówczesny major Jurkiewicz, zrozpaczony cofaniem się

polskiej grupy, podjął ostateczne zawołanie.

— Bagnet na broń!

Poderwali się wtedy z okrzykiem dodającym otuchy sobie, a załamującym ducha przeciwnika.

Ignac w biegu złapał niepotrzebny już karabin żołnierzowi leżącemu twarzą w mchu. Żaden z żołnierzy, albo prawie żaden, nie powtórzy tego, co odczuwał i co widział w czasie starcia wręcz...

Tego typu potyczki nie powtórzyły się już na odcinku Ignaca, ale jeszcze wiele dni niemal nie schodził z konia. Dopiero w wojsku, gdy go z musu Jurkiewicz osadził w siodle, a chłopak z Woli nieraz przez łeb przeleciał nad upartym wierzchowcem, najpierw zaczął odczuwać respekt przed końskim rodem, później szczerą nienawiść z powodu strupów na siedzeniu, a wreszcie, jak to zwykle bywa z uczuciami, gdy krętą drogą odnajduje się piękno i czyjaś bliskość, pokochał całym swym chłopięcym sercem te mądre zwierzęta. Mógł spoglądać na ich uszy, poderwanie łba, wygięcie szyi, gdy niby radarem wychwytywały w pobliżu obcego.

Kiedyś, gdy byli na patrolu, właśnie prawdziwy kawaleryjski kasztan z czarną grzywą uratował mu życie. Nagle na piaszczystej drodze oparł się gwałtownie przednimi kopytami w ziemię. Stał parę centymetrów przed płytko zakopaną miną. Gdy zsuwali się z siodła, dostali ogień z boku. Ranny został wtedy właśnie Józek Kurak, ale nieciężko, powierzchownie. Przeszli już na prawą stronę Nysy Łużyckiej, a wówczas podpułkownik Jurkiewicz osadził go z oddziałem w miasteczku z przejściem granicznym.

Kiedyś w czasie inspekcji powierzonego mu odcinka spoglądając na most Jurkiewicz zapalił papierosa i nie zwracając się bezpośrednio do Ignaca zapytał:

— A ty co myślisz?

Stropił się młody podporucznik. W sprawach politycznych nie był zbyt mocny, a sądził, że Jurkiewicz chce go jakoś, z tej strony. Musiał się wymigać.

— Proszę o powtórzenie pytania, obywatelu pułkowniku, bo ni w ząb nie rozumiem.

— Pytam się, smarkaczu, co myślisz ze sobą zrobić? No, teraz, po wojnie, co będziesz robił?

Zaskoczył go pułkownik jeszcze bardziej, niż gdyby pytał o nacjonalizację przemysłu, reformę rolną czy rolę partii w nowym ustroju.

Odpowiedział szczerze:

— Nie wiem.

— W wojsku byś został?

— Tylko to umiem.

— Znaczą strzelać, łeb nastawiać pod kule...

— Raczej go chować.

— I tak dobrze, choć tyle nauczyłeś się na wojnie: nie zginąć, zadanie wykonać. A więcej co?

Ignac nie odpowiadał. Wtedy Jurkiewicz poinformował go o powstawaniu nowej jednostki, Wojsk Ochrony Pogranicza. Ceni sobie Ignaca, może po swojemu go nawet lubi i chciałby wziąć do siebie. Naturalnie krótkie przeszkolenie go nie minie, a później będzie musiał odbyć trzymiesięczny kurs dowódców kompanii w Szkole Oficerów Piechoty. Będzie to jedyny, skrócony — podkreślił — kurs szkoły oficerskiej dla dowódców, którzy awansowali w czasie wojny.

— Ale to mało — dodał. Ignac zdumiony słuchał nic nie rozumiejąc. — Musisz o tym wiedzieć, że inne wojsko jest podczas wojny, a nieco inne w czasie pokoju.

— Teraz jasne. Nie potrzeba osiłków, co umieją tylko strzelać i gotowi są nawet, w razie czego, dać się zabić.

Zabrzmiało to gorzko. Nie pogniewał się Jurkiewicz. Przeciwnie, przytaknął.

— Dobrześ to ujął... osiłku. Ze szkoły oficerskiej wrócisz, dostaniesz wyższy stopień, ale to będzie twój ostatni awans, a może szansa pozostania w wojsku.

Ignac nie wrywał się już ani z pytaniami, ani z własnym zdaniem, bo znał Jurkiewicza z tego, że potrafi zniecka chłopaka obciąć. Czekał, co powie dalej.

— Musisz średnią szkołę skończyć. Nie pytałem cię nigdy o świadectwo szkolne, ale teraz idą inne czasy. Nie będzie partyzantów ani kowbojów. Nikt cię nie będzie oceniać tylko za to, czy wyciągniesz szybciej pistolet. Pojąłeś to, synku? Ignac był rodem z Warszawy, trzy razy mu nie powtarzaj, jednak podpułkownik Jurkiewicz zbyt prędko chciał zlekceważyć zdolność szybkiego wyciągnięcia pistoletu.

Tym razem zaskoczyli ich we wsi, gdzie tylko dwa gospodarstwa objęli osadnicy, w tym jedno wypisany ze szpitala, niezdolny do służby jakiś kanonier z przeciwlotniczej. Właśnie ów kanonier kilka razy zachodził do nich skarżąc się, że chyba tu nie wysiedzi, repatriowanej ze Wschodu żony nie doczeka, bo coraz nachodzą jacyś uzbrojeni ludzie, słychać w pobliżu wybuchy granatów, słowem — niepokój, obywatelu poruczniku, niepokój. Smętnie jakoś zerkał ów kanonier, więc Ignac postanowił przyjrzeć się bliżej okolicy.

W samo południe pojechali w sześciu. Rozdzielili się wcześniej, by wjechać po dwóch z różnych stron. Kurak już podleczonej przez Ankę, lewą rękę miał jeszcze niesprawną, ale prawą władał wyśmienicie. Dojeżdżali do końca ulicy w ściśle zabudowanej wsi, gdy nagle zastąpiło im drogę trzech uzbrojonych przeciwników. Niemieckie wojskowe czapki, buty z cholewami i bryczesy, cywilne koszule. Ten pośrodku drogi trzymał pod pachą gotowego szmajsera, dwóch czatowało po obu stronach, za płotem. Józek nie czekał nawet na rozkaz porucznika. Konia właściwie nie prowadził, a prawą zdrową ręką trzymał w grzywie gotowe do strzału parabellum. Wybrał najbliższego zza płotu i zsuwając się jednocześnie z konia, by zniknąć jako cel temu drugiemu, wygarnął bezbłędnie. Ignac również był szybszy niż osobnik ze szmajserem. Tu jego pistolet TT okazał się niezawodny. Strzelił prosto w czoło i ruszył kłusem, by z nawrotu posłać dwa pociski temu, który zagrażał obecnie Józkowi. Nadjechali żołnierze z patrolu, którzy mieli dostać się z drugiej strony wsi. Opłotkami pędzili następni zgarniając przed sobą trzech chłopaków po cywilnemu, z rękami założonymi na głowie.

— Przydybalim ich z tyłu, jak się podkradali. Byłoby gorąco porucznikowi.

Na pewno więc Jurkiewicz miał rację z tym pistoletem, ale to był pogląd jeszcze nie na lato 1945...

Może i zdziwił się Fabian, gdy idąc wtedy ze stacji kolejowej od schroniska przez wymarłe ulice miasteczka dostrzegł otaczających ich żołnierzy z pistoletami maszynowymi w pogotowiu. Ignac musiał się zabezpieczyć, bo bywały przypadki, że z gruzów wyskakiwały podejrzane typy grabiąc i zabijając zapóźnionych przechodniów. Czarne, wiejące grozą ruiny dawały schronienie napastnikom.

Pierwsze dni października 1945. Grzegorz otulony jesionczyną z amerykańskiego demobilu drżał z zimna w swojej bibliotece.

— O! Porucznik! Czym może służyć zasuszony w książkach bibliotekarz?

— Doktorze! Sprawa osobista.

Siedzieli, gadali do północy. Żadna trudność, cieszył się Grzegorz. Razem z Inką wezmą się za dzielnego oficera i pomogą.

— Rany boskie! Chce mnie doktor między dzieci usadzić? Do ławki?

— Do żadnej ławki. Nie bądź taki strachliwy.

Śmiał się bestia diabelsko. Poszedł do biblioteki, poszperał. Tak, będzie mu po przyjeździe pożyczał książki. Z Inką będą go prywatnie przygotowywać do matury. — Czekaj — odezwał się Ignac — ale dlaczego mnie? Dlaczego tylko dla mnie takie względy?

— Podejrzliwyś — podchwycił Grzegorz. — Jeden drugiemu pomóc, tak zwyczajnie, pomóc nie może? Myślałem zawsze, że to w twoim stylu.

— Cholera! — zaklął Ignac. — Wstydzilibym się tej małej, gdyby mnie zapytała, a ja...

— Niczym baran, co? Nie ma czego się wstydzić. Wiesz, czego można się wstydzić? Własnego nieuctwa. A że nauczycielka młoda, to może i przyjemnie. Dobra dziewczyna, mówię ci, choć nieraz może cię objechać.

— Niczym w wojsku gołowasy kapral.

— W sednoś trafił! Ile razy taki cię na kursie pogoni? Los nieuchronny. Młodzi zdobywają wiedzę i to jest ważne! Pożegnali się serdecznie, a Grzegorz jeszcze na stopniach biblioteki stojąc zawinięty w swój frencz pocieszał porucznika, by nie zamartwiał się zbytnio. Na pewno łatwiej zdobyć

maturę niż gniazdo szkopskich karabinów maszynowych.

W czasie nieobecności Ignaca nastąpiło przejęcie służby nad granicą przez WOP. Niemal cały dawny oddział Ignaca stacjonujący w miasteczku znalazł się w obsadzie strażnicy, tak że przejęcie służby przez nową jednostkę odbyło się prawie formalnie. W zastępstwie wyznaczonego na komendanta Ignaca pełnił tę funkcję młody absolwent Szkoły Oficerów Piechoty, podporucznik Małynicz. Jurkiewicz prosił nawet Fabiana, by szczególną uwagę zwrócił na tę strażnicę i po ojcowsku zaopiekował się Małyniczem. Obolski i inni dadzą sobie na pewno radę sami. Ignac po przyjeździe w same święta Bożego Narodzenia zastał idealny porządek na strażnicy, choć mocno „dokręconą” dyscyplinę przez młodego oficera. Frontowi żołnierze powitali nawet z pewną ulgą powrót swego dowódcy. Tymczasem nie zapomniał, co kiedyś powiedział pułkownik Jurkiewicz. Fabian podtrzymywał zresztą gorąco myśl pułkownika i nieraz do niej nawracał. Kiedyś jednak Ignac sam zagadnął kapitana w sprawie celowości i sensu swojej nauki. Nie bardzo wierzył, by mógł podołać. Kto go ma uczyć? Inka?

— Możesz się oddać bez obawy w jej ręce.

— Gówniara.

Fabian zaśmiał się głośno.

— Idź do szkoły, posłuchaj, jak daje sobie radę z dziećmi. Zobaczysz, że zdobyła ich serca. W niecałe cztery miesiące. To doskonała nauczycielka.

— Zakochałeś się w niej czy jak?

— Zapytaj Grzegorza. Uważa, że miasteczko zyskało wspaniały nabytek. Szkoła i biblioteka stały się jedną instytucją. Nasz burmistrz chodzi dumny jak paw. Opowiada wszystkim, że jego szkoła jest na pewno najlepsza w powiecie, a może i w województwie. I wiesz? Grzegorz przestał być taki kąśliwy.

— Grzegorz nienawidził kobiet!

— Grzegorz?

W pytaniu Fabiana było tyle zdumienia, że Ignac już nic nie rozumiał, co zmieniło się w miasteczku. Grzegorz na progu swego gabinetu powitał go jak zwykle wylewnie i serdecznie. Odwrócił Ignaca twarzą do okna, skąd sączyło

się słabe światło pochmurnego dnia zimowego. Uznał, że służba wysubtelniła twarz młodego oficera i żartując wprowadził go do pokoju.

Za biurkiem siedziała Inka nad stertą kartek bibliotecznych. Na widok wchodzących zerwała się z krzesła, ale Grzegorz prosił, by pozostała. Oni nie mają między sobą tajemnic, zresztą sprawa porucznika na pewno i ją zainteresuje. Wiedział, że Ignac pamięta rozmowę z październikiem.

Porucznik chętnie by zadusił rozmownego bibliotekarza, ale tamten nie bacząc na jego minę przystąpił do ustalania planu nauki Ignaca. Porucznik nawet nie spostrzegł, gdy nie tylko włączył się do rozmowy na temat przyszłej swej nauki, ale szczerze wyznawał przed dziewczyną swe wątpliwości, opory wewnętrzne, obawy, czy umysł jego będzie na tyle chłonny, by cokolwiek zapamiętać.

— Brak wprawy, rozumie pani...

Sama podsunęła projekt, by zaczęli naukę od języka polskiego, historii i geografii.

— Szczególnie dzieje Polski pozwolą panu na rozpoczęcie treningu. Nie będzie tak źle. A wie pan dlaczego? Każde zdanie będzie bliskie i znajome.

Miała drobne, szczupłe palce, co chwila poruszające kartki papieru lub książki, jakby nie potrafiły spoczywać beczynn timer. Słyszał od Anki o jej pracy przy budowie fortyfikacji pod wsią Pokora. Nie wyobrażał sobie, by te drobne ręce mogły chwycić za drewniany trzonek ciężkiego kilofa czy łopaty. Spokojne oczy wpatrywały się uparcie w rozmawiającego, jakby próbowała wzrokiem pomóc słowom. Nie dziwił się Grzegorzowi i jego zmianom nawet w sposobie bycia, co zauważył Fabian. Doktor miał już przygotowany dla Ignaca podręcznik „Historii Polski” Dąbrowskiego.

— To też znalazło się w węzełkach tułaczy. Wycygałem, ale nie za darmo, tylko za „Urodę życia” Żeromskiego.

Inka parsknęła śmiechem. Potrafiła się jednak śmiać. Jakże tu się nie śmiać z zabawnego doktora handlującego książkami. A co miał im dać za Dąbrowskiego? Kilo słoniny? Skąd ją weźmie?

— Węgla też nie masz. Zimno tu jak w psiarni. — Ignac zatarł ręce.

— Miałem, ale...

— Oddał mi do szkoły.

Oddałby ci i ostatnią koszulę, moja panno, tego był pewien Ignac, byle tylko ujrzeć uśmiech w twoich smutnych niegdyś oczach. Pozazdrościł Grzegorzowi owego zapału, chęci ofiarowania wszystkiego.

Nikt nie uwierzyłby, lecz Ignac w tajemnicy przed Małyniczem i Zalewajką zaczął każdą wolną godzinę służby poświęcać podręcznikom. Grzegorz przerobione przez niego tematy po prostu dyskutował, jakby rozmawiał o najbardziej współczesnych i aktualnych sprawach. Dla Ignaca i właściwie dla wszystkich jego żołnierzy na strażnicy początki państwa polskiego, piastowski szlak, były istotnie bliskie. Zaproponował dyrektorowi prelekcje. Grzegorz, o dziwo, choć bronił się przed nauką w szkole, przystał na tę propozycję.

Bibliotekarz był błyskotliwym gawędziarzem. Żołnierze nie pełniący służby zbierali się w salce, którą Małynicz przy pomocy Rocha i dwóch młodych żołnierzy przyozdobił jako świetlicę. Małynicz był mądrym chłopcem i Ignac przyznawał mu to bez zawiści. Jako komendant cieszył się z tej świetlicy, a wykłady Grzegorza zaciekały również Jurkiewicza. Sam niby niechcący zajrzał kiedyś na taką wieczornicę. Prosił, by nikt nie zwracał na niego uwagi, i słuchał z zaciekawieniem Grzegorza opowiadającego barwnie o walkach Chrobrego. Od czasu do czasu wsuwał się dyżurny podoficer i szeptem wywoływał żołnierzy, na których przypadało objęcie „elementu służby granicznej”. Wychodzili cicho, jeszcze łowiąc ostatnie słowo Grzegorza.

Ignac jednak nadal odczuwał pewne skrępowanie, a może nawet respekt przed Inką. Czerwienił się równie jak jego wypracowanie od ołówka pani nauczycielki. Twierdził, że nigdy nie nauczy się poprawnie pisać, ale Inka życzliwie potrafiła spojrzeć i szepnąć:

— Pan nie potrafi się wziąć w garść?

Brzmiało to niemal, jak „pan, taki bohater...”

Brał się więc w garść. Nieraz w złości łamał ołówki, kiedyś trzasnął o podłogę zeszytem. Zawstydzony podniósł go szybko, wygładził kartki i po kilka razy, dla siebie, przepisywał wyrazy z błędami ortograficznymi. A służbę

trzeba było pełnić bez przerwy, bez żadnych ulg. Ciężko pogodzić z nauką, do tego ten mityczny Rudi: Bodajby go szlag trafił!

Ignac pamiętał rozmowę z Jurkiewiczem. Nieraz zresztą poruszali ten temat z Klimkiem i Baranowiczem.

— Trzeba pilnie uważać na nasz most. Nie chodzi w tym przypadku o jakieś znaczenie strategiczne, dziś, w czasie pokoju. Po prostu nie honor, by kolejowy most graniczny wyleciał w powietrze lub nawet został tylko uszkodzony. Na podstawie umów dwa razy dziennie przejeżdża przez niego z naszej kopalni pociąg z węglem dla elektrowni po drugiej stronie Nysy.

Pociąg przejeżdżał niemal przez środek miasta ciągnąc za sobą pióropusz czarnego dymu. Sierżant-burmistrz nieraz powracał do myśli, jakby tu przebudować tę linię tranzytową. Psuła mu wygląd miasta, a przy tym stwarzała niebezpieczeństwo, gdyby ktoś wpadł na zbrodniczy plan. Dlatego pogłoski o zapowiedziach przybycia owego Rudiego stawiały na nogi wszystkich żołnierzy.

Najmniej wierzył w niego Grzegorz, choć to i owo usłyszał. Myślał natomiast o zupełnie odmiennym kierunku zagrożenia. Pewnego razu, jesienią czterdziestego piątego, dyrektor biblioteki wsiadł do wypożyczonego od ogrodnika powoziku i ruszył na wieś ze sporą paczką książek.

Pomysł miał celny. Chłopak pilnujący gospodarstwa, do którego niegdyś zajechał Ignac z Fabianem, tak samo powitał go najeżoną lufą pepeszy, ale gdy Grzegorz wręczył mu przywiezione egzemplarze, chciał z radości urznąć bimbrem cudownego bibliotekarza.

— Ta, panie, ja od dwóch lat książki w rękę nie miałem.

Grzegorz ocenił wkrótce, że mógłby ciągnąć za sobą dwie platformy, a jeszcze byłoby za mało.

Do Cielątkowa nie skręcił. Nie chciał burzyć chwilowego szczęścia swego przyjaciela. Może wstąpię, pomyślał, gdy rotmistrz da nogę od zaborczej Magdy. Wtedy na nią popatrzę.

Miał już zaledwie kilka książek na dnie powoziku, gdy przypomniał sobie o zapadłym w lesie gospodarstwie, które znał jeszcze z czasów, kiedy pędzeni byli do roboty przez Niemców.

Gajowy, stare, żylaste chłopisko z równie żylastą żoną gospodarzyli przy pomocy dwóch Polek wziętych na roboty oraz Polaka i Francuza. Ciekawy był teraz, czy Niemcy zostali, czy uciekli, i gdzie podziali się robotnicy, z którymi Grzegorz zdążył się wtedy zaprzyjaźnić.

Z dala, spoglądając znad kolebiącego się w truchcie zadu kobyły, dojrzał już dom murowany, kryty czerwoną dachówką. Nic się tu nie zmieniło. Obok również murowana stajnia i stodoła, porządnie wszystko ogrodzone, jak niegdyś. Coś go powstrzymało, by nie krzyknąć głośno, na cały las:

— Wiktoryna! Wiktoryna!

Pamięta dobrze to imię niecodzienne, przysadzistej nieco, mocnej w biodrach dziewczyny o cerze niby mleko. Miała cienkie usta i wąskie szparki oczu. Razem z wystającymi kośćmi policzkowymi mogła być wzięta za Tatarkę lub Mongołkę.

Dlaczego miała na imię Wiktoryna, tego nawet ona nie wiedziała, a pochodziła z Podlasia. Dla Grzegorza, umęczonego nędzarza, była najpiękniejszą dziewczyną na świecie, gdy podeszła do nich, siedzących bez sił na porębie, niosąc przed sobą gliniany garnek z mlekiem. Oglądała się ostrożnie za siebie. Sama przytknęła mu ten garnek do spieczonych ust, okolonych gęstym szczeciniastym zarostem. Na pytanie, jak ma na imię, odpowiedziała krótko:

— Wiktoryna.

Dlaczego nie Wiktorina? Nie wiedziała. Nie była jednak zbyt ostrożna, bo gdy zniknęła za domem, do uszu Grzegorza doszedł wrzask jej gospodarza, jakaś szamotanina i nad płotem ukazała się głowa starego oraz ramię z batem stajennym w ręku.

Uparta była. Na drugi dzień przyszła do nich z mlekiem na wyrąb, z drugą dziewczyną. Na przegubach rąk Wiktoryny, na łydkach zobaczył wtedy czerwone pręgi od smagnięć. Chwycił jej dłoń i przycisnął do ust, ale wyrwała mu ją wzruszając ramionami.

— Bolało? Co mi tam...

Jagoda, jej koleżanka, zaśmiała się z cicha.

— Stare próchno, nawet batem nie ma siły porządnie zaciąć.

Grzegorz poznał również dwóch mężczyzn, robotników przymusowych zatrudnionych u gajowego. Jean pochodził ze wsi w północnej Francji. Szczupły, mizerny, ale czarniawy na gębie, jak Jagoda potrafił śmiać się i wierzył w swoją dobrą gwiazdę. „Merde” mówił o wojnie. Weźmie ze sobą swoją dziewczynę i zawiezie do Francji, a może, gdy będzie tam ciężko żyć na niewielkim poletku, ruszą w świat po pieniądze. Szczęście tu znalazł. Przygarniał wtedy bez namysłu swoją Jagodę i przy wszystkich całował w usta. Odpychała go, ale się śmiała:

— Najpierw ojce muszą pobłogosławić.

Wojtek był niewielkiego wzrostu i dlatego może wodził oczami za brzydką, ale mocno zbudowaną Wiktoryną. Na pewno też się pobiorą i pozostaną tu, mówił Jean, w gajówce. „Ta wasza ziemia, polska...” Grzegorz pracował w lesie wraz ze swoją grupą roboczą przez dwa tygodnie i wtedy oglądał choć przez chwilę jedynie cztery naprawdę ludzkie twarze: Wiktoryny, Jagody, Jeana i Wojtka. Twarze ludzi z wyrębu lasu zatraciły rysy człowiecze z umęczenia nadmiernego i głodu, a pilnujący mieli w swych oczach tylko śmierć.

Popędzono ich później dalej, tam gdzie powstawała sieć umocnień.

— Wiktoryno!

Na pewno będzie jej przyjemnie, że Grzegorz pamięta o tym mleku, najlepszym mleku, jakie kiedykolwiek pijał. Nie wątpił, że pozostała w gajówce ze swym mikrym Wojtkiem i gospodarzy na ziemi. Kupiła ją uczciwie własną darmową pracą.

Zatrzymał szkapinę przed furtką i zawołał, jak nawołują się zagubieni ludzie w lesie.

— Hop! Hop!

Tuż przy sztachetach zaszczekał znieścaka duży, czarny wilczur, aż kobyłka Grzegorza szarpnęła do przodu. Grzegorz nie zląził z powoziku. Trzymając mocno lejce spoglądał w zamknięte drzwi gajówki. Na chwilę tylko ujrzał jakby poruszone przez kogoś zazdrostki w oknach. Obserwuje go? Boi się obcego? Wreszcie gospodyni otworzyła drzwi i wyczekująco stanęła na progu. Grzegorz zaskoczony nie mógł oderwać wzroku od wysokiej,

postawnej dziewczyny, chyba dość ładnej, o ile mógł ocenić z tej odległości.

Jasne włosy przepasywała jaskrawą chustką wiązaną nad czołem w supeł. Miała ręce odsłonięte po łokcie w męskiej chyba, jasnej koszuli. Niezbyt długą, ciemną spódnicę okrywał pasiasty fartuch. Brązowe półbuciki i krótkie skarpetki pozwalały oglądać smukłe nogi o jędrnych łydkach.

Skrzyżowały się na chwilę spojrzenia Grzegorza i dziewczyny kroczącej wolno, z namysłem dróżką w kierunku furtki. Czyżby Wiktoryna tak się zmieniła? Szukał w tej ładnej twarzy tatarsko-mongolskich rysów. Nie znalazł. Zresztą widywał Wiktorynę tylko przez dwa tygodnie, najczęściej krótko, a już minął od tamtych spotkań rok z miesiącami. Od zakończenia wojny przeszło też niemal pół roku, a to wiele dla kobiety nie czującej na sobie ciężkiej ręki gajowego...

Grzegorz zwykle był człowiekiem ostrożnym. A jeżeli nie chce go poznać? Ma jakieś ku temu powody... Inny mężczyzna niż Wojtek jest jej mężem?

Przedstawił się jako bibliotekarz z miasteczka. Końcem bata szeroko zakreślił koło odpowiadając, gdzie gościł.

— Dawno w ręku nie miałam polskiej książki.

Grzegorz gramolił się z powoziku i zaciekawiony, jakby nie widząc, że gospodyni nie zaprasza, sięgnął ręką pod kozioł po paczkę i ruszył w stronę furtki. Zawahała się, ale tylko na chwilę, ostro odpędziła psa, a to Grzegorzowi wystarczyło.

— Proszę. — Sama otwierała teraz furtkę.

— Pani tu mieszka samotnie, w takiej głuszy?

— Czworo nas jest i... — jakby nad czymś myślała — i jeden Niemiec, dawny gajowy.

— Nie uciekł stąd? Chce tu pozostać?

— To stary człowiek. Nie ma dokąd iść. W czasie walk zabili mu żonę.

Coraz bardziej zaciekawiony wchodził natrętnie do wnętrza domu zagadując gospodynię. Wręcz ostentacyjnie wodził wzrokiem po jej postaci.

— Szkoda tak ładnej dziewczyny. — Nie rozumiała, ale w oczach jej ujrział chłodną czujność. — Marnuje się tu pani mieszkając w lesie. Nie

stworzona pani do takiego życia. Duże miasto to miejsce dla pani.

Zaśmiała się sadzając go na pluszowej otomanie okrytej lnianą narzutą.

— Niech pan tego głośno nie mówi przy moim mężu. Wojtek nie byłby dla pana zbyt uprzejmy. Szczyci się tym, że pochodzi ze wsi i przysięga pozostać chłopem. — Omal nie poderwał się z miejsca. Nie dała mu czasu na pytanie. — Mieszka tu również drugie młode małżeństwo. Też dawna robotnica. Wyszła za mąż za Francuza. Nie jest więc to dla nas głusza, tylko odpoczynek po wojnie.

Niespokojnie odwróciła głowę w stronę drzwi, skąd dochodziły jakieś głosy.

Jagoda?

W drzwiach stanęła teraz dziewczyna podobna z typu i urody do gospodyni. Może to halucynacja. Jagoda miała smagłą twarz. Z uwagą przyjrzała się Grzegorzowi.

— Nasz bibliotekarz z miasteczka. Objeżdża okoliczne wsie i wypożycza książki.

Grzegorz przeprosił i dopiero teraz się przedstawił. Na dworze panował chłód mimo ciepłej jesieni, więc gospodyni, tak, żeby nie było złudzeń — Wiktoryna, poszła zaparzyć kawę. Grzegorz czarował obie młode kobiety, mizdrzył się nawet, sypał komplementami. Śmiały się na pewno zadowolone. Mieszkają tu już trzeci czy czwarty rok. Polubiły odludzie. Niemcy zabrali je z domów na przymusowe roboty. Obecnych mężów również, więc pobrali się po wojnie i pozostali wszyscy, nawet gajowy.

— Chciał pozostać?

Jagoda podniosła na niego duże niebieskie oczy.

— Nie miał wyboru, a zna pan na pewno Niemców. Uznają każdą władzę, toteż z gospodarza stał się parobkiem i służącym. Dostaje za to jeść, ma dach nad głową i spokój.

Grzegorz nie ujrzał tego dnia ani Jeana, ani Wojtka. Stary również krył się po kątach. Już przy furtce spojrział w stronę ujadającego psa. Dostrzegła to Wiktoryna.

— Alzacki wilczur, na pewno esesmański, ale na taki las dobry. Może to

pana dziwi, lecz nie może się do tej pory nauczyć po polsku.

Na pewno spostrzegła, że wtedy, gdy zapędzała zwierzę do budy, warknęła po niemiecku.

— Psy trudniej się uczą języków.

Był szarmancki, całował na pożegnanie ręce dziewcząt, może nawet zbyt długo, obiecał po zimie wrócić, by wymienić książki.

— Może któraś z nas przyjedzie do pana? Nie zaprasza pan?

— Jeżeli mężowie nie będą zazdrośni i nie wyrwą mi nogi ze stawów, to nawet na tydzień.

Machały mu przyjaźnie na pożegnanie stojąc przy płocie, gdy oddalał się jego powozik.

Gdzieś po Nowym Roku przyjechała do miasteczka Wiktoryna. Wybierała długo książki chodząc między regałami i nawet nie bronila się, gdy przyciągnął ją w kącie do siebie całując w zimne od mrozu usta. Łapiąc oddech uderzyła go lekko wierzchem dłoni, a właściwie samymi palcami po policzku.

— Nie wiedziałam, że doktor taki prędko.

Doktor? Nie mówił, że ma tytuł doktora. Wyjaśniła to zresztą szybko:

— Wszyscy tu pana znają.

Piła później drobnymi łyżkami gorącą kawę.

— Przyjechałam właściwie nie do pana — powiedziała szczerze, a on przyjął to z zadowoleniem — podobno otworzył tu warsztat szewc z Polski i wyrabia modne kapce. Mam dosyć tych niemieckich buciorów.

Może dlatego to powiedziała, bo zauważył od razu nie pasujące do jej nóg buty wojskowe. Szpiczaste nieco kolana nad cholewami wyglądały spod spódniczki. Szkoda, że nie ma ładniejszych, pomyślał Grzegorz.

— A tak, w rynku. Nowy fason przywiózł mu ktoś z Warszawy.

Żartował, subtelnie kpił, nie szczędził komplementów. Przyjęła tę zasadę gry. Jakże wyrabiają się wiejskie dziewczęta. Rozmawiał niczym z dziewczyną z krakowskiego gimnazjum. Podchwytywała drobne niedomówienia, potrafiła również kpić mrużąc powieki. Do tego pokoju zaprosił ją na tydzień? Chodziła po zagraconym gabinecie trącając czubkiem

buta sterty książek. Radziła, by znów przyjechał, inaczej zadusi go ten kurz biblioteczny. Wojtek? Wojtek robi interesy, wyjaśniła z wieloznaczącym uśmiechem, i rzadko bywa w domu. Podała mu rękę, a on, jakby chciał przyjrzeć się z bliska dużej, ale kształtnej dłoni, całował każdy palec...

Po wyjściu Wiktoryny siedział bez ruchu za biurkiem ze wzrokiem utkwionym w okno. Dobrze, że dziewczyna nie widziała tego spojrzenia.

Może w tydzień po jej wizycie zaszedł do burmistrza. Były sierżant siedział w gabinecie maleńkiego ratusza obłożony przez interesantów. Spraw pilnych, bardzo pilnych i najpilniejszych zwałło się z każdym dniem na jego głowę coraz więcej. Obdzielam nimi, tłumaczył Grzegorzowi, każdego po trochu. I pierwszy sekretarz PPR dostanie trochę, i ten z PPS-u, i od ludowców, a komendant milicji ucieka przede mną, bym mu nowej biedy na głowę nie złożył. Cóż robić? Zima ciężka, a ludzie muszą ją przetrzymać. Wspólnie więc brali na głowę przypadki trudne do załatwienia, nawet wprost... tragiczne.

Grzegorza widział zawsze u siebie chętnie, bo ten skory był w każdej chwili do pomocy. Darzył go teraz tym większą przyjaźnią, gdy spostrzegł jego opiekę nad szkołą.

— Z czym przychodzisz, serdeńko? Dla ciebie, jak wiesz, zrobię wszystko.

— Drobną sprawą, ale muszę mieć w bibliotece porządek. Wie pan prezydent, jak to jest z wypożyczaniem książek. Każdemu dam do czytania, ale chcę, by wróciły z powrotem. Trzeba zaprowadzić porządną ewidencję czytelników, a wszystkich nazwisk nie znam. Gubią mi się.

— Kto ci się zgubił?

— Tacy jedni, dwie polskie dziewczyny, dwóch ich mężów i gajowy Niemiec.

— Trzeba było zacząć od tego Niemca. Mam ich wszystkich w ewidencji. Wezwał szefa biura. Wkrótce przyniesiono wykazy. Gajówka? Tak, podlega pod powiat, ale początkowo burmistrz spisywał wszystkich w okolicy, gdy rozdzielano gospodarstwa. Założył okulary i czytał, a Grzegorz szybko notował.

— Gajowy to Zygmunt Smółka.

— Polak?

— Może była Polką jego prababka z pradziadkiem, tylko zniemczała. Gajówkę z kawałkiem pola, z dwoma końmi i jedną krową dostały dwa małżeństwa, byli robotnicy przymusowi. Jedni nazywają się zwyczajnie, Karasie...

— Karasie?

— No, przecież nie pstrągi. On ma na imię Wojciech, ona Wiktoryna. Drudzy to Francuzi.

— Czekaj pan, prezydencie! Jak to Francuzi?

— Może niezupełnie, on chyba Jan, popatrz doktor.

— Lescure — czytał Grzegorz. — Jean Lescure, lat 28, a żona Jadwiga. To wszystko?

— A co byś chciał więcej?

Grzegorz nie był gadatliwy i nie miał zamiaru dzielić się z nikim swoimi wątpliwościami. Wiktoryna? Mocna, nieurodziwa, wiejska dziewczyna. Szatańsko wyładniała! Można rzec, wydelikatniała.

Grzegorz prowadząc z sobą bezgłośnie rozmowy krążył po bibliotecznym pokoju. Na pewno wysubtelniała pod palcami pani Janiny, cudotwórczym miasteczka. Wiedział, że bywała tam na przemian z Jagodą. Obie sobie sprawiały na miarę kapce u pana Stanisława. Jagoda również odwiedziła go w zimę, ale w rozmowie była bardziej wstrzemięźliwa, nawet ironiczna. Świat się zmienia, czas wojenny mija i ludzie stają się bardziej wyrafinowani i subtelniejsi.

Na początku marca Grzegorz znów wybrał się do gajówki. Dziwnie zresztą jechał. Kluczył drózkami, jakby gubiąc kierunek, spoglądał na zegarek, szperał wzrokiem po krzakach.

Tym razem miał szczęście. Zastał wszystkich mieszkańców. Stary Niemiec kłaniając się ku ziemi zabierał wilczura, Wiktoryna wyszła mu naprzeciw. Krótco zlustrował jej nogi. Mogła to śmiało wziąć za natręctwo doktora, ale on wiedział swoje. Wiktoryna do południa nie wychodziła z domu na gospodarskie podwórze, nie była na pewno ani w stajni, ani w oborze.

Miała na nogach owe brązowe półbuty doskonale oczyszczone, jak poprzednim razem. Również Jagoda zapewne nie wychodziła z domu. Mogły wyglądać na dwie miejskie panienki z ulicy Floriańskiej. Co one w takim razie robią przez cały dzień?

— To mąż Jagody, Jean.

Chłop miał ponad sto dziewięćdziesiąt wzrostu, byczy kark, głębę tragarza. Zagadnął po francusku, czy doktor może rozmawiać w tym języku. Uszczęśliwiony śmiał się hałaśliwie, mówił o tym, jak tęskni za swoją Francją, za Bordeaux i... na pewno damami pod czerwoną latarnią, dodał Grzegorz, czym jeszcze ubawił Jeana. Przyzwyczał się nawet, pan wie, tłumaczył, tyle lat. Teraz właściwie nie prowadzą gospodarstwa, bo on i Wojtek, mąż Wiktoryny, handlują. Złote czasy nastały w Europie. Mogą sobie pozwolić, by obie żony nie pracowały, niech za nie robi ten stary bosz. Rozmawiali tak zapamiętale, że nie tylko rozgniewali kobiety słabo znające język francuski, ale przegapili wejście Wojtka. Zmężniał jakoś, nasunęła się ironiczna uwaga Grzegorzowi, wygląda bardziej teraz na pruskiego junkra niż na wiejskiego chłopca spod Łomży. Nie mógł i w nim znaleźć doktor podobieństwa ani w rysach twarzy, ani w postawie do mikrego chłopaka z ostatnich miesięcy wojny. Mimo że Grzegorz próbował w rozmowie wychwycić jakieś fałszywe odezwanie, z przykrością stwierdził, że nie potrafi im dać rady. Bystrzy są. Może tylko złapał na drobiazgach. Nic nie wspominali o obcokrajowcach rąbiących las późną jesienią 44 roku, a Jagoda szczerze zdziwiła się, gdy Grzegorz zaczepił ją nagle.

— Była pani z Jeanem u ojców po błogosławieństwo?

— U ojców? Nie bardzo rozumiem, o czym pan mówi.

— No, ojcowie musieli chyba wyrazić zgodę na ślub z Francuzem?

— To przebrzmiałe czasy. Dawno już nie byliśmy w kościele. Wystarczy nam ślub cywilny.

Grzegorz pił dużo, nie unikał kolejek szczerze proponowanych przez Jeana i Wojtka. Kobiety ledwo sączyły, w czasie rozwijającej się rozmowy ścichły, nastawione jakby jedynie „na odbiór”. Grzegorz rozgadał się, stawał się coraz bardziej szczerzy, przerażająco szczerzy. Z pomocą gajowego

podsadzili go na wózek. Odjeżdżał trzeźwy. Strzelą mi z tyłu w łeb, czy nie? Przez całą wojnę nie nosił broni. Teraz też, a okazja dla tamtych nadarzała się niepowtarzalna. Nie wątpił, że pokpił sprawę. Spłoszyć, może nie spłoszył, ale sam niewiele ustalił poza drobiazgami. Dłonie... śmiał się w głos. Tak, wszyscy czworo nie mieli w życiu w rękę nawet przez jeden dzień łopaty czy wideł. Jagoda i ci ojcowie... ależ to drobiazgi, doktorku, nic nie dające drobiazgi. Chciał się jednak upewnić i co do drobiazgów.

Pani Janina rozwiała wszystkie wątpliwości. Chłopskie dłonie, nawykłe do ciężkiej pracy, dostosowują do tych czynności budowę. Palce stają się spłaszczone. Paznokcie nigdy nie nabiorą kształtów. Właściwie dlatego mówi się ręce arystokratyczne, czyli nienawykłe do pracy, wypiełgnowane. Jak rasa koni pełnej krwi ma swoiste cechy, tak tych cech nabierają ręce. One nigdy nie kłamią.

— Recte — skłonił głowę przed doświadczeniem Janiny.

Zamieszanie spowodowane przybyciem transportu z Ugandy nie wytrąciło z równowagi, albo może... nie oderwało Grzegorza od myślenia o Wiktorynie i Jagodzie.

Nieco zamącił mu w głowie Wypych, sąsiad Anki. Przyszedł do biblioteki tak, jak to on lubił pogadać. Nagle przerwał i ni z tego, ni z owego wypalił:

— Ja wiem, kto to jest ów cholerny Rudi, o którym głośno zaczyna być w miasteczku.

Grzegorz parsknął śmiechem.

— Panie Wypych! Niedługo jeden na drugiego będziemy się patrzyli spode łba i widzieli wzajemnie tego Rudiego.

— A strzelanie do kapitana?

— Było.

— W pobliżu huty?

— Zgadza się.

— Na skraju szosy, przy wjeździe do miasteczka?

— Jak w pysk strzelił, też zgadza się.

— Znaczy w hucie.

Grzegorz jakby dech wypuścił z piersi.

— Panie Wypych, właścicielką jest nasza Anka.

— Wiem.

— No...

— A jeżeli ona w niebezpieczeństwie?

— Panie Wypych! Wyprowadzam się do Poznania. Spokój tam, cisza, a tu za każdym krzakiem jakiś pętaś z karabinem siedzi. Nie na moją głowę.

— Na moją też nie, tylko ja chcę tu mieszkać i tu żyć...

Grzegorz wstał zza biurka, zdjął z półki parę książek i zza nich wydołał butelczynę.

— Po jednym?

— Może być...

Siedzieli pochyleni ku sobie i rozmawiali ściszymi głosami. Wypych zbyt dobrze znał swojego kolegę, by uważać Franka Balbulę za fantastę, człowieka puszczającego słowa na wiatr. Na pewno poznał w majstrze Ziemskim byłego funkcjonariusza kripo. Balbula mieszkał w czasie okupacji na Pradze, prowadził wiele przedziwnych interesów, których centralą była ulica Brzeska i bazar Różyckiego. Na bazarze zawierało się transakcje i znajomości. Majster Ziemski nie mógł poznać Franka Balbuli, bo w klitce na czwartaku kamienicy sąsiadującej z bazarem było ciemno od dymu papierosów i biesiadowało wielu handlujących. Franek Balbula widział jednak dobrze Ziemskiego, małego blondynka w skórzanym płaszczu i tyrolskim kapelusiku, gdy włamał się nie czekając na gościnne otwarcie do „salonu”, na czele czterech innych drabów terroryzując obecnych pistoletami gotowymi do strzału.

— Hände hoch! Kriminalpolizei.

W niecałą godzinę później grzeczni przybysze siedzieli w zgodnej atmosferze z obecnymi z „salonu”. Wzięli, co mieli wziąć, zaproponowali wspólne różne interesy. Później Balbula widywał go również na bazarze i w melinach na Brzeskiej.

Ziemski pasował Grzegorzowi do owego Rudiego, o którym mówiono wśród napływających na ziemię zachodnie mętów. Pewno miał wśród nich wiele dawnych powiązań. Odpadało jednak chyba w tym przypadku

podejrzanie o sabotaż. Organizować mógł natomiast sprawnie działające bandy rabunkowe. Ze słabą tu jeszcze milicją mogli sobie dać lepiej radę niż z wojskiem.

— Czy pani Ance grozi niebezpieczeństwo?

Pytanie ogrodnika Wypycha powróciło powtórnie. Grzegorz rozmawiał ze sobą na głos. Dla Ziemskiego huta może być dobrym przykryciem, a więc nie będzie chciał „spalić się” działając przeciwko Ance, chyba że zechce po pewnym czasie zwinąć interesy i przenieść się gdzie indziej. Ten moment przenosin mógłby być dla Anki niebezpieczny.

— Panie Wypych, zaczekamy jeszcze pod warunkiem, że Balbula będzie go miał na oku. Franek jest uzbrojony?

— Dziś nie wolno posiadać broni.

— Panie Wypych, czy pan i Franek jesteście z Kłaja, czy z Warszawy?

Grzegorz tego jeszcze dnia zajrzał do burmistrza. Były sierżant z uwagą przyjrzał się doktorowi, gdy ten znów zagadnął go o mieszkańców gajówki. Dokładne miejsce, skąd przybyli? Można, ale jednak...

— Nie lepiej przez milicję?

Mierzyli się wzrokiem. Krasicki już wiedział, jakie ma wątpliwości ich doktor.

— Nie. To jest tymczasem moja prywatna sprawa. Pewnej dziewczynie o imieniu Wiktoryna winieniem powiedzieć dziękuję za mleko, którym karmiła mnie, gdy byłem głodny. Rozumie to prezydent? Tej dziewczynie człowiek głodny chce powiedzieć proste słowo „dziękuję”, albo...

— Albo...?

Grzegorz położył na jego dłoni swoją rękę. Ma żelazny uchwyt, stwierdził ze zdumieniem Krasicki.

— Niech tę inną Pan Bóg ma pod opieką, jeżeli naturalnie posiada własnego Pana Boga. — Już od drzwi dodał: — A myślałem, że wreszcie będę mógł zająć się wyłącznie moimi ulubionymi książkami...

Grzegorz otrzymał formalny urlop od pana burmistrza. Na początku maja minął rok od czasu otrzymania nominacji na dyrektora biblioteki i muzeum, mógł więc ruszyć w Polskę bez jakichkolwiek domysłów. Na

gospodarstwie pozostawił Marysię oraz Kalinę, gotową pomagać siostrze. Z Inką niewiele rozmawiał przed wyjazdem. Zbliżające się zakończenie roku szkolnego i nieco zwariowana koncepcja Inki zorganizowania tego lata pierwszych kolonii dla dzieci pochłaniały ją bez reszty. Grzegorz z Krasickim odradzali pani kierownicze ryzykowny pomysł. Czasy są jeszcze niespokojne, może narazić na niebezpieczeństwo nauczycieli i dzieci. Inka zmrużyła złośliwie oczy.

— Mężczyźni nie potrafią dzieciom zapewnić bezpieczeństwa? Uważam właśnie nasze pierwsze kolonie za dowód, że czujemy się tu gospodarzami, nie boimy się, mieszkamy na własnej ziemi, nie jesteśmy sterroryzowani ani niepewni jutra.

Krasicki aż westchnął. „Zażyła nas z mańki”, odpowiedział mu później Grzegorz warszawskim porzekadłem, z taką nie wygrasz. Wiedział, że Inka wyraźnie złośliwa, rozmawia z nim od pewnego czasu ostentacyjnie zimno. Nie uszły jej uwadze wizyty w bibliotece rzekomej Wiktoryny. Na pewno cierpi. Zdawał sobie z tego sprawę, bo i on coraz silniej odczuwał potrzebę obecności dziewczyny. Musiał jednak, uważał to za swój obowiązek, rozegrać możliwie najsprytniej akcję z tajemniczymi mieszkańcami gajówki. Był niemal teraz już pewny, kim są w rzeczywistości, a podejrzewał, jaki los spotkał robotników przymusowych.

Przed wyjazdem rozmawiał z ogrodnikiem Wypychem i hutnikiem Balbulą. Na ich głowie pozostawił bezpieczeństwo Anki. Balbula zaopatrzył się w broń. Zbyt dobrze zna tamtego. W razie czego nie będzie czekać, aż Ziemiński pierwszy wyciągnie pistolet. O to może być doktor spokojny. Szefowej nie da zrobić krzywdy. Gdyby sytuacja stawała się groźna, poprosi o pomoc ze strażnicy. Ignacowi nie trzeba było wiele tłumaczyć, tego Grzegorz był pewny. Wyjeżdżając nie mógł rozmawiać z Fabianem. Kapitan od dnia przybycia pociągu z repatriantami z Ugandy nie pojawił się w mieście. Często objeżdżał swój odcinek graniczny, wpadał niespodziewanie do strażnic, podciągał dyscyplinę, sprawdzał w terenie służby. Do miasta sprowadził go dopiero alarmujący telefon Ignaca, że w czasie kontroli pustych wagonów powracającego z Niemiec składu pociągu przewożącego

węgiel odkryto szmugiel tajemniczych pasażerów.

Z tym pociągiem mieli ciągle nowe niespodzianki. Jakże trudno było skontrolować przeszło trzydzieści wagonów. Wysyłane na stacje patrole służby granicznej w sile trzech żołnierzy z podoficerem mogły przeprowadzić kontrolę wyrywkową. Zwyczajnie zajrzeli tu i tam i puszczali pociąg dalej. W niektórych wypadkach obsługa pociągu sama przekazywała meldunek, że dostrzegła coś niepokojącego i wtedy wzmacniano patrole. Nieraz wykrywano szmuglowane z Niemiec maszyny do szycia, radioodbiorniki, części urządzeń przemysłowych, a nawet całą, nie używaną tokarkę. Przewóz ten był legalny lub półlegalny, bo kryły go jakieś zaświadczenia różnojęzyczne, zezwolenia lub nawet listy przewozowe, choć Ignac miał pewność, że jest to cały łańcuch handlowych powiązań. W stronę Niemiec często pod węglem, a nie przesypiesz wszystkich wagonów, przewożono z Polski żywność. Oglądał i Jurkiewicz te zaświadczenia opatrzone kolorowymi pieczętkami i wruszał ramionami. Jeszcze nie znano instytucji i przepisów regulujących szybko odradzający się handel.

Ten szmugiel ludzki szedł z Niemiec pod ochroną. W chwili gdy wieczorem pociąg towarowy wtoczył się na stację, a patrol służby granicznej ruszył wzdłuż długiego składu w stronę ostatniego wagonu, dostrzeżono w słabym świetle padającym od budynku dworcowego trzy postacie w radzieckich mundurach. Kapral Kopiński trochę był zaskoczony. Zwykle dowódca pobliskiej jednostki radzieckiej powiadamiał komendanta strażnicy o kierunku wysyłanych patroli. Ci zresztą, jak to z daleka ocenił Kopiński, nie byli na służbie, nie mieli broni. Kapral podchodząc powiedział coś do najbliższego stojącego osobnika w mundurze radzieckim, gdy nagle krótko błysnął nóż. Wopista nawet nie jęknął osuwając się na ziemię. Wtedy rzucono się na dwóch szeregowych, młodych, niedoświadczonych jeszcze żołnierzy. Kaziuk odbił cios noża kolbą pistoletu maszynowego i pociągnął za spust, jednak Litwinienkę dosięgło ostrze przez materiał letniego munduru. Jeden z napastników, po którym przejechała seria Kaziuka, upadł na kamienie, ale szeregowiec musiał uskoczyć między wagony dojrawszy w rękach pozostałych pistolety. Próbowali go upolować. Był już po drugiej stronie

pociągu. Położył się na ziemi, przyczał i między kołami wagonów obserwował nogi napastników biegających w pobliżu. Nie bardzo wierzył, by mógł unieszkodliwić ich razem jedną serią. Czekał ściskając broń. Nagle dojrzał między wagonami sylwetkę. Krótka seria i odskok. Gdy już miał pociągnąć po nogach drugiego, po blasze wagonów zadźwięczały pociski gdzieś z tyłu.

Czołgając się próbował szukać schronienia za sągiem drewna ustawionym tuż przy ostatnim torze. Chłopaki na pewno usłyszą strzelaninę. Przyjdą z pomocą. Czaił się więc za tym sągiem wypatrując, skąd nadciągnęli nowi napastnicy. Ujrzał przeskakujące w stronę pociągu dwie sylwetki. Ten trzeci, nie draśnięty, w radzieckim mundurze, przeskoczył po zderzakach i dołączył do nich. Kaziuk czekał w milczeniu. Może jeszcze jest ukrywający się w odwodzie. Nie chciał zdradzić swego stanowiska. Nie szukali go jednak. Jeden z pistoletem maszynowym ubezpieczał, dwóch pozostałych wślizgnęło się do wagonu. Zrzucali jakieś paczki.

Z ulgą dosłyszał Kaziuk kroki biegnących żołnierzy. Teraz pociągnął krótkimi seriami. Miał dobrą osłonę, a tamten ledwie krył się za szynami.

Podporucznik Małynicz na czele trzech żołnierzy po ostrzegawczym okrzyku musiał odpowiedzieć ogniem tym z wagonów.

Starcie na stacji zdenerwowało Ignaca. Miał zabitego kaprała i ciężko ranionego szeregowca. Z napastników tylko jednego można było uratować przy dużych staraniach lekarzy.

W niedługim czasie przed strażnicą zatrzymał się willys Fabiana.

— Radiostacja w częściach, nowoczesna.

— Musiało im bardzo na niej zależeć, skoro zdecydowali się wieźć ją pod ochroną. A bandzior?

Wyciągnięty z łóżka lekarz rozłożył bezradnie ręce. Kapitan spojrzał po twarzach oficerów. Znów nitka się urwała.

Niewiele mogli powiedzieć kolejarze z drużyny towarowego pociągu. Nie dostrzegli pasażerów na gapę. Kiedy wrzucili do otwartego wagonu tę przesyłkę? Wzruszenie ramion. Mogli w każdej chwili, w każdym miejscu, nawet w elektrowni, gdzie pociąg wjeżdża bocznica.

— Nasz Rudi nie jest jednak niczym wymysłem.

Grzegorz wysiadając z przygodnego samochodu, którym dojechał do miasteczka po przyjeździe z urlopu, był jednak odmiennego zdania słysząc o strzelaninie na stacji. Powracał tu z dowodami świadczącymi, że obecni mieszkańcy gajówki przywłaszczyli sobie dokumenty Wiktoryny, Jagody i zapewne dawnych robotników przymusowych.

Ani Wiktoryna, ani Jagoda nie napisały nawet kartki do rodziców, a poszukiwania, by odnaleźć dziewczęta przez PCK, nie odniosły skutku. Grzegorz wypożyczył od rodziców zdjęcia dziewcząt. Przesądzały one ostatecznie o tożsamości kobiet mieszkających w gajówce. Jakże zdumiony był, gdy ujrzał bryczkę zajeżdżającą na rynek. Sfrunęła z niej rzekoma Wiktoryna. Była niemal czuła wobec Grzegorza. Wyrzucała mu, że rzadko do nich zagląda. Po pożegnaniu fałszywej Wiktoryny, która przybyła pod pretekstem odwiedzenia zakładu fryzjerskiego, Grzegorz odszukał Ignaca. Tę rozmowę długo obaj później pamiętali.

Ignac bez zasłaniania się tajemnicami służby przyznał, że nie mieli szczęścia. Wszyscy nieproszeni goście z towarowego pociągu zginęli w czasie strzelaniny na dworcu. Fabian? Pojechał do komendy.

- Słuchaj — natarł Grzegorz — był jednak jeden ranny.
- Co z tego, kiedy zmarł.
- On musi z powrotem ożyć.
- Zwariowałeś!
- Ja go wskrzesiłem.

Grzegorz nie miał innej rady jak tylko opowiedzieć Ignacowi o swoich podejrzeniach w sprawie mieszkańców gajówki. Pokazał zdobyte zdjęcia.

— Przed chwilą rzekoma Wiktoryna bardzo szczegółowo wypytywała mnie o strzelaninę i o to również, czy kogoś żywego schwytano. Rozumiesz? Powiedziałem, że odwieziono jednego z nich do szpitala. Ignac sklął Grzegorza za śledztwo na własną rękę. Nie rozumiał, dlaczego bibliotekarz bierze się za robotę, o której nie ma pojęcia.

— Dalej prowadziłbym tę grę sam — dodał Grzegorz — gdyby nie zdarzenia na dworcu. Dlatego o tym nie powiedziałem. Co byś wtedy uczynił? Otoczyłbyś gajówkę żołnierzami i nic być nie znalazł.

— Sądziś, że tamtych robotników wymordowano zagarniając ich dokumenty?

Grzegorz skinął głową.

— Chciałbym odnaleźć ich mogiłę, ale... nieżyjący mogą jeszcze poczekać, żywych trzeba dosięgnąć.

Grzegorz z Ignacem nawiązali kontakt z komendą odcinka. Fabian porozumiał się natychmiast z pułkownikiem Jurkiewiczem.

— Plan tego doktora dobry. Wykonać. Doktor niech na mnie poczeka.

Grzegorz powtórzył raz jeszcze, co wiedział o dawnych i nowych mieszkańcach gajówki. Nie patrząc na Fabiana wyjawiał również podejrzenia odnoszące się do majstra w hucie Anki.

Baranowicz w nagłej złości aż trzasnął pięścią w stół ponuro spoglądając na Grzegorza.

— Mogłeś pozostawić ją w niebezpieczeństwie?

— Jest pod dobrą opieką hutnika z Warszawy.

— Zdjąć natychmiast tego bandziora.

Grzegorz z dezaprobatą kręcił głową. Zdjąć? Pod jakimi zarzutami? Jedynym świadkiem o pracy majstra w czasie okupacji w kripo jest Balbula. Ptaszek wyfrunie, wykręci się. Banda, której przewodzi, bo pewien był, że zorganizował ów Rudi bandę rabunkową, przeniesie się gdzie indziej. Za miesiąc mogą ją mieć z powrotem na karku. Oficerowie z informacji oraz pułkownik Jurkiewicz przyznali rację Grzegorzowi.

— Dziewczynę chcecie wystawić jak na polowaniu — stwierdził z goryczą Baranowicz. Odmeldował się pod pozorem ważnych spraw i nie spoglądając na Grzegorza wyszedł trzaskając drzwiami.

— Może Balbuli podrzucić kogoś do pomocy w hucie — zaproponował Ignac.

— Będzie podejrzewał — oponował oficer informacji. — Wypuszczę swoich chłopców na przeczesanie różnych melin. Nikogo nie będziemy zdejmować, ale wzmocnimy obserwację. Może szykują jakiś skok?

Ignac powracał do miasta z Grzegorzem. Milczał w czasie jazdy, aż wreszcie zatrzymując samochód zapytał wprost:

— Kim ty właściwie jesteś?

— Kim? — Grzegorz zmęczonym wzrokiem wpatrywał się w drogę. — Żyłem w czasie okupacji, niejedno widziałem. Zawód mój i tytuł naukowy znasz. Pozornie może naraziłem Ankę, ale inaczej nie można, skoro chcemy żyć tu spokojnie.

Do szpitala powiatowego przywieziono rannego bandytę. Plutonowy Wiśniak wybrany przez Ignaca do odegrania tej roli nudził się w oddziale. Stary partyzant i dawny towarzysz zrzutów na tyły wroga czuł się w zdyscyplinowanej jednostce jak w przyciasnym garniturze. Propozycję wzięcia udziału w niebezpiecznej akcji przyjął z zadowoleniem. Podśmiewał się, gdy bandażowano go w izbie przyjęć.

— Nie bójcie się — pocieszał go porucznik Klimek — macie dobrą obstawę.

Wiśniaka oddano pod wyłączną opiekę pracujących w szpitalu lekarzy i pielęgniarek dywizyjnych. Pod żadnym pozorem nikt inny nie mógł wchodzić do separatki, gdzie go umieszczono. Jednocześnie w szpitalu pojawiło się kilku nowych... pielęgniarzy, dobranych przez porucznika Klimka.

W komendzie odcinka panowała napięta atmosfera. Łącznie z Baranowiczem przez kilka dni cały sztab oraz pluton dowodzenia znajdował się w stanie alarmowym. Czekano...

Jak w kryminalnej powieści, gdy napięcie oczekiwania zaczynało przechodzić w stan zniechęcenia i niewiary, wróg uderzył z ukrycia. W środku dnia.

Wiśniak był przygotowany na najgorsze. Miał przy sobie swój nóż sprężynowy i tetetkę.

Przy przewiezieniu do szpitala poznano go z personelem. Ścisnął więc pod kołdrą rękojeść noża, gdy ujrzał wchodzącą do pokoju nieznaną pielęgniarkę.

— Przyszłam panu zrobić zastrzyk uśmierzający ból — powiedziała do szczerze obandażowanego Wiśniaka.

— Dziękuję, siostró — wyszeptał.

Zbliżyła się ze strzykawką, pochyliła odkrywając kołdrę. Nie czekał

dłużej. Znał mordercze chwyt ramieniem wykręcające szyję aż do skręcenia karku. W tym momencie otworzyły się drzwi. Sanitariusz! Rzucił się w kierunku plutonowego i rżężącej rzekomej siostry, ale wystarczył półobrót starego partyzanta i sprężynowy nóż dźgnął w rękę napastnika. Wiśniak głęboko oddychał, gdy nadbiegła pomoc.

— Po cholerę żeście mnie obandażowali? Nie miałem swobody ruchu.

— Może chcecie zastrzyk na uspokojenie? — pytał troskliwie lekarz.

Plutonowy błyskawicznie zerwał się z łóżka.

— Szklanekę spirytusu, nie zastrzyk!

Porucznik Klimek troskliwie pochylił się nad ledwie dyszącą kobietą. Zbyt mocno przycisnął ją Wiśniak. Lekarze jednak żartowali, że zemdlą zapewne ze strachu przed natarczywością partyzanta. Klimek z oficerem z bezpieczeństwa postawili na nogi cały personel opiekujący się Wiśniakiem. Sprawa wyjaśniła się prawie natychmiast. Nie można było podejrzewać zdrady. Jedna z pielęgniarek dywizyjnych, której wypadł o tej porze dyżur, została znaleziona w piwnicy. Niestety, to ona przypłaciła życiem zasadzkę. Sanitariusz? To już gapiostwo jednego z żołnierzy ochrony. Nieraz i starzy policjanci zostają wyprowadzeni w pole — bronił go Baranowicz — a nasi dopiero właściwie wszystkiego się uczą, w czasie służby. Po raz pierwszy mieli realną nić w ręku. Udający sanitariusza bandyta nieco się wykrwawił od ciosu noża Wiśniaka, ale żył. Żyła również kobieta.

Przybył do komendy odcinka pułkownik Jurkiewicz. Rozpoczęły się badania.

— Płotki — kłął Baranowicz. — Zwykli bandyci, znają tylko bezpośrednich rozkazodawców.

Nie było to mało. W Kłodzku zatrzymano dwóch osobników rzekomo handlujących. Podejrzewano ich od dłuższego czasu, ale nie miano przeciw nim żadnych dowodów winy. To ich nazwiska podała fałszywa pielęgniarka.

Badanie zatrzymanych w Kłodzku nie przyniosło rezultatów, ale jednak wyznaczono na piętnastego czerwca akcję „gajówka”. Postanowiono działać intuicyjnie idąc po śladzie Grzegorza. Wątpliwości związane z osobą dyrektora muzeum przeciął pułkownik po rozmowie z Ignacem.

— Bibliotekarz szuka sprawiedliwości i to jego prawo. Może nawet chce pomóc swoich przyjaciół. Nic nam do niego.

Fabian niespokojny o Ankę odwiedził swoje mieszkanie. Dojrzała go oknem, gdy otwierał furtkę. Azor chciał dotrzeć do swego pana, ale Anka nie puściła psa z mieszkania. Spoglądała przez firankę na zbliżającego się Baranowicza. Nie wiedziała, jak ma postąpić. Wątpliwości rozwiąła Inka.

— Pomóż mu — powiedziała, — O ile zdecydowałaś się wcześniej, nie bądź teraz tchórzliwa. Teraz wszystko zależy od ciebie. Może wreszcie ty jedna będziesz szczęśliwa...

Anka nie rozumiała goryczy przebijającej ze słów młodej nauczycielki. Wiedziała, że przyjaciółka miała rację. Nie mogła dłużej chować głowy w piasek. Była potrzebna Fabianowi.

W rozchełstanej koszuli siedział przy stole kurząc papierosa. Jakby nie słyszał wejścia Anki. Stała dłuższą chwilę obok niego, gdy wreszcie się odezwał:

— Jednak przyszłaś...

— Dlaczego miałabym nie przyjść?

— Nie wiem. Myślałem, że bawisz się starym żołnierzem. Cieszy cię, gdy wykonuje przewidziane ruchy. Później zabawkę odrzucasz...

Więcej już nie mówił. Mocna dłoń Anki położona na ustach stłumiła dalsze słowa. Bali się siebie, to było zrozumiałe dla obojga, ale wreszcie jedno z nich musiało znaleźć wyjście.

— Przestań ode mnie uciekać — szeptała dziewczyna pochylając twarz nad Fabianem. — Do zakonu nie wstąpisz, a musisz żyć, żyć jak normalny człowiek.

— I zdecydowałabyś się, mimo mojego wieku?

Nie dała mu dalej mówić. Ledwie oddychał całowany z pasją, aż wreszcie mógł wtrącić.

— Jestem dzikim człowiekiem pełnym kompleksów. Będę służył w wojsku nie dłużej niż rok lub dwa. Pragnę uciec na gospodarkę, uprawiać rolę.

— Pójdę z tobą wszędzie. Nie rozumiesz tego? Dożyjemy starości, należą

się nam lata spokoju i nikt tego prawa nam, żołnierzom, nie odbierze.

Anka pragnęła własnego domu. Trzeba było przeżyć owe sześć lat, by ją zrozumieć. Fabian tej nocy słuchał przerażającej spowiedzi dziewczyny ze staromiejskiej sutereny. Próbował przerwać ten akt ekshibicjonizmu, ale Anka nie pozwoliła na to. Chciała może dokonać przed samą sobą rozrachunku z przeszłością. Fabian delikatnie ścierał płynące łzy z policzków Anki. Cóż znaczą dni poniżenia wobec służby dla ginącego żołnierza. Ile westchnień tych cierpiących chłopców gonilo ją czekając na ratunek? I to ona ma poczucie winy? Ona?

Podniósł ją z klęczek, całował oczy. Nie zapalali światła, siedzieli blisko siebie jak samotni ludzie odnalezieni w mroku.

Fabian nagle drgnął. Gdzieś za oknami w sąsiedztwie dosłyszał szamotania. Z przyzwyczajenia narzucił na siebie kurtkę, sięgnął po pistolet.

— Zostań tu — rozkazał.

— Nie. Zawsze będę z tobą.

Anka pobiegła do swego mieszkania. Za chwilę szła w ślad za kapitanem z dużym naganem w dłoni w towarzystwie Azora. Nie pozwoli sobie zabrać jedyne go mężczyzny, którego zesłał jej los. Szamotanie dochodziło z domu ogrodnika. Przesadzili płot. Baranowicz omal nie roześmiał się w głos. Przez otwarte drzwi sionki dojrzał trzy skulone postacie leżące na podłodze. Nad nimi stali Wypych oraz Balbula. Wyżlica ogrodnika, Aszantka, z kawałkiem nogawki spodni w zębach, na widok Azora zjeżyła sierść.

— Próbowali zrobić skok — wyjaśniał Fabianowi ogrodnik — szczęście, że Franek miał u mnie nocować. Daliśmy sobie radę z ciapciakami. Jeden chyba krwawi, to przez Aszantkę, kąśliwa suka, bez warknięcia rzuca się do gardła.

Baranowicz pomógł odstawić bandytów do strażnicy. Nie mówił Ance nic o Rudim i domysłach Grzegorza, do którego zresztą czuł w dalszym ciągu żal. Pamiętał, co ustalono na odprawie. Każdy akt bandycki mógł naprowadzić na ślad Rudiego.

Razem z Ignacem przesłuchiwali bandytów. Ignac wzruszył zresztą ramionami po pierwszych pytaniach. To są bandyci? Drobne płotki. Przerażeni, że zostali schwytani na gorącym uczynku, mówili wszystko. Tak,

oczekiwali od dłuższego czasu na szefa, który miał przybyć z centralnej Polski. Nie, tę robotę zrobili na własną rękę, ale...

Anka ze zdziwieniem ujrzała rankiem w swym zakładzie Fabiana oraz Ignaca w towarzystwie żołnierzy. Wopiści ustawili pod ścianą pracowników warsztatu. Fabian kazał zrewidować majstra. Nie znaleziono przy nim broni.

— Klucze do magazynu! Anka próbowała protestować:

— To jakaś pomyłka.

— Nie ma żadnej pomyłki — przeciął krótko Baranowicz — proszę o klucze. Ze zdziwieniem oglądała Anka ukryte „dobro” w części magazynu. Przywieziono rzezimieszków, którzy usiłowali zrobić skok na ogrodnika. Majster już się nie zapierał.

— Moja wina. Myślałem, że na tym naszym dzikim zachodzie znajdę odpowiednich chłopców. Jest tu kopalnia porzuconego dobra, tylko brać i wywozić...

— Albo odbierać innym siłą — wtrącił Ignac.

— Nie miałem zamiaru organizować rabunków. To tacy jak ci — wskazał na schwytych — urządzali skoki na własną rękę. Nie potrafiłem utrzymać dyscypliny.

Wyparł się jednak zamachu na życie Baranowicza. Nie miał w tym żadnego celu. Zastraszenie żołnierzy granicznych? Wzmocniono by oddziały i szaber byłby utrudniony. Z ironią spojrział na Balbulę.

— Pana obchodziłem z daleka, bo bałem się, że przez przypadek zastrzeli mnie pan z tego gnata noszonego pod fartuchem. Poznałem pana Balbulę, ale liczyłem, że on mnie nie zapamiętał. Szkoda. Krzywdy szefowej nigdy bym nie zrobił. Po co? Miałem tu wygodny i bezpieczny magazyn.

— Jedno mamy z głowy — mruknął do siebie Ignac powracając do strażnicy. Sprawa Rudiego została zamknięta. Milicja wspólnie ze wspierającymi ją wopistami wyłapie bandytów z okolicznych miasteczek. Majster nie miał żadnych skrupułów podając ich nazwiska i wydając miejsce pobytu. „Głupich należy tępić” dodawał, jakby na usprawiedliwienie. Może się mścił albo próbował sobie zapewnić łagodniejszy wyrok.

Anka unikała wzroku Fabiana, gdy odwiedził ją na krótko w mieszkaniu.

Wstydziła się swojej naiwności.

— Dwóch łachudrów zrobiło w konia dziewczynę ze Starówki.

— Dwóch?

— Pan prezes — mówiła odwrócona do okna — ukradł mi ciężarówkę, wywiózł ze swego mieszkania meble i uzbierany majątek. Wraz z moim kierowcą uciekli w niewiadomym kierunku. Wścieknę się chyba ze złości.

Fabian z żartobliwym uśmiechem przytulił dziewczynę gładząc ją po włosach. Nie przywiązywał wagi do dóbr ruchomych, a że amant ulotnił się, to i dobrze. Zszedł mu z oczu. Pomyślał jednocześnie o Grzegorzu. Był w stosunku do niego niesprawiedliwy. Doktor wspólnie z ich sąsiadem ogrodnikiem zapewnił jednak Ance w hucie pewną ochronę. Balbula może nie był tak sprytny jak majster, ale czekał z determinacją, by w odpowiedniej chwili zastrzelić Ziemskiego.

Grzegorz nie wiedział jeszcze, że Fabian darował mu narażenie Anki. Nie rozmawiali ze sobą, ponieważ Baranowicz opuścił miasteczko wezwany przez pułkownika Jurkiewicza. Na drugi dzień bibliotekarz wsiadł do powoziku. Po odwiedzeniu kilku gospodarstw i wymianie książek zajechał przed gajówkę.

Stary Niemiec witał go jak zwykle uniżenie odciągając psa. Wiktoryna niby z żurnala mód, aktorka przebrana na chłopkę, wionęła ku niemu suto marszczoną spódnicą z szelkami przytrzymującymi białą, prostą bluzkę. Chciała nakrywać do śniadania w ogrodzie, ale Grzegorz miał jej coś do powiedzenia. Nie chciał, by dobiegło do niepowołanych uszu.

Zaciekawiona wprowadziła go do pokoju. Usiadł na otomanie, ale tak, że miał za plecami kąt pokoju, naprzeciw drzwi, po lewej stronie okno. Nie pytając, czy o tej porze pije alkohol, przyniosła butelkę wódki, wędlinę. Mężowie jak zwykle w drodze. Bardzo żałował.

— A Jagoda?

— Jest w ogrodzie.

— Ta sprawa dotyczy także jej, więc prosiłbym...

Zjawiła się zaciekawiona, ale wroga. Usiadła za stołem, Wiktorynę miał po swojej prawej ręce. Wtedy sięgnął do kieszeni i położył na stole zdjęcie Wiktoryny i Jagody, powiększone i retuszowane. Nie patrząc na obie kobiety

beznamiętnie relacjonował:

— Ta brzydka, z wystającymi kośćmi policzkowymi, to Wiktoryna, córka Jana i Anieli, zamieszkała we wsi Stróże. Zabrana na przymusowe roboty w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim, rok później znalazła się w gospodarstwie gajowego. W chwili zajmowania tego terenu przez wojsko polskie została wraz z pozostałymi robotnikami: Jagodą, Wojtkiem i Francuzem Jeanem, zamordowana przez grupę specjalną SS. Chciałbym, by panie pokazały mi mogiłę. Zapewne tu w ogrodzie, pod grządkami kwiatów.

Otrzymał w tym momencie cios z lewej ręki kobiety o pseudonimie „Wiktoryna”, od którego padłby byk. Grzegorz jednak był przygotowany na to uderzenie. Przewidział je, nim usiadł za stołem. Chwycona nagle w chwili, gdy cios miał zwalić Grzegorza, gruchnęła z całej siły czołem w drewniany blat.

— Och ty! — Jagoda stała naprzeciw niego po drugiej stronie stołu z pistoletem w dłoni. — Wiedziałam, żeś szpicel.

Grzegorz zaśmiał się wyzywająco. Stropiona nieco, zawahała się, nim nacisnęła spust. To wystarczyło.

— Ręce do góry! Służba graniczna!

W oknie, z którego poleciały szyby, i w drzwiach ukazali się żołnierze z pistoletami maszynowymi gotowymi do strzału.

Obie kobiety obezwładnione, z nieco ogłupiałymi minami, siedziały na otomanie. Za chwilę przyprowadzono gajowego.

Kapitan Baranowicz stał w rogu pokoju. Nie patrzył na zatrzymanych, lecz w okno, na porządnie utrzymany ogród. Grzegorz spokojnie zapalił papierosa, a Ignac siadając na krześle jak na koniu naprzeciw tamtych zapytał przeciągając słowa:

— No, ślicznotki, mówcie teraz szybko, bo nie mam czasu. Gdzie pochowaliście pomordowanych robotników.

Jagoda z wściekłością plunęła w jego kierunku. Od drzwi odezwał się sierżant Sieliczko:

— A może by tak po mordzie, obywatelu poruczniku?

Ignac jakby nie słyszał.

— Mężulkowie trochę nam wyjaśnili, ale jeszcze nie wszystko.

Rzekoma Wiktoryna zaśmiała się w głos.

— Mężulków już nie zobaczycie.

— Panie się mylą. Dziś o czwartej nad ranem ujęliśmy ich w hotelu we Wrocławiu. Nie byli zbyt rozmowni, ale... nie chcielibyśmy niszczyć całego ogrodu.

— Sierzancie — rozległ się w milczeniu chrapliwy głos Grzegorza — dawno czytaliście „Potop”?

Baranowicz sądził, że jego przyjaciel zwariował. Odwrócił się spoglądając na Grzegorza. Nie rozumiał nic z tego również Ignac, ale w lot chwycił Sieliczko.

— Przypieczeni?

— Przypieczeni! Pod kuchnią jest wystarczający ogień, na pewno znajdziecie tam i pogrzebacz. Panienki będą rozmowne, szybko wskażą mogiłę. Pomoże wam stary gajowy, on dobrze znał zamordowane dziewczęta i tych dwóch chłopców.

Na widok powracającego Sieliczki z rozżarzonym żelazem stary gajowy zaczął krzyczeć:

— Nie! Nie! Sam was zaprowadzę. Pomagałem zakopywać grób. One nie są winne. Przyjechały z żołnierzami SS. Wypytywały tamte dziewczyny o ich rodzinę, dom...

— Chciały zdobyć dla siebie legendę — wtrącił Grzegorz. — Były tamte dziewczyny?

Gajowy milczał. Zresztą Grzegorz i tak wyobrażał sobie tę scenę, gdy zajechali do gajówki esesmani, wywołując przerażenie w oczach Wiktoryny, Jagody, Jeana i mikrego Wojtka. A te esesmanki są niewinne! Może nie są bezpośrednio winni śmierci Wiktoryny i tamci aresztowani we Wrocławiu?

Do pokoju wszedł porucznik Klimek myszkujący podczas badania zatrzymanych po całym obejściu. Akcja dała niespodziewane wyniki. Dzielił się półgłosem wiadomościami z kapitanem Baranowiczem. Znalaziono nie tylko radiostację, dobrze zakonserwowaną broń, ale również klucze do szyfrów, z określeniem dat używania.

— Tylko jakiś przypadek mógłby naprowadzić nas na tę siedzibę wywiadowczą, gdyby dyrektor biblioteki nie chciał podziękować nie znanej mu dziewczynie za okazaną w ciężkich chwilach życzliwość. Zaprowadzono gajowego i zatrzymane agentki w głąb ogrodu, gdzie rosły bujne kwiaty.

Żołnierze kopali ostrożnie w miejscu wskazanym przez starego. Grzegorz wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w ostrza łopat. Jeszcze kilka ruchów. Ukazały się oblepione ziemią szczątki czterech ciał...

Do późnego wieczora Grzegorz tkwił bez ruchu w ciemnościach za swym biurkiem w gabinecie biblioteki. Przez pustkę, którą czuł w głowie, wlokły się wolno oderwane myśli, nawracały różne obrazy z czasów własnej niewoli i poniżenia, we mgle rozmywała się brzydka twarz dziewczyny o wystających kościach policzkowych. Mimo że bronił się rozpaczliwie, z maniakalnym uporem powracał znów myślami do tego głębokiego dołu...

Kto jest winien śmierci czterech bezbronnych ludzi? Przez twarz Grzegorza przebiegł skurcz podobny do uśmiechu. Jak zwykle, winne są ofiary, bo stanęły na drodze, a zbrodniarze pójdą do spowiedzi. Ofiary zawsze zamieniają się w końcu we wstydlivy balast historii.

Nagle drgnął. Ktoś poruszył klamkę wejściowych drzwi. Czyżby nie zamknął? Zapewne nie zauważył, kiedy odeszła Marysia. Ostrożne kroki w ciemnościach... Nie poruszył się z miejsca. Jeżeli ktoś chce zabić, niech zabije. Już dawno przestał obawiać się śmierci, bo niewiele oczekiwał od życia.

Wieczór był pogodny, księżycowy, dlatego mógł wreszcie rozpoznać osobę, która stanęła w smudze padającej od okna. Inka?

— Dobrze, że przysłaś — odezwał się pierwszy. — Chciałem powiadomić, że...

— Nie kończ — szepnęła.

— Chciałem cię powiadomić — mówił z uporem — że... możesz już bez obawy wywieźć dzieci na kolonie.

— Wiem o tym i dlatego przysłałam. Przepraszam cię za wszystko i... — Umilkła niepewnie. Wtedy wśród srebrnego mroku wyciągnął ku niej rękę.